

JOHN FANTE

PYŁ

Przełożył
Andrzej Appel



Przedmowa

JAKO MŁODY CZŁOWIEK przymierałem głodem, piłem i próbowałem zostać pisarzem. Przesiadywałem godzinami w bibliotece publicznej w centrum Los Angeles, ale nic z tego, co czytałem, nie odnosiło się do mnie, do codziennego życia ulicy ani do ludzi wokół mnie. Wydawało się, że wszyscy autorzy po prostu bawią się językiem i że tylko ci pisarze, którzy nie mają nic do powiedzenia, cieszą się uznaniem. Ich utwory stanowiły zgrabną mieszankę subtelności, rzemiosła i formy; czytano je i omawiano, przyswajano i przekazywano dalej. Literaci uwili sobie przytulne gniazdko w eleganckiej i ostrożnej Kulturze Słowa. Jeśli ktoś szukał w literaturze ryzyka i pasji, musiał sięgać po dzieła przedrewolucyjnych pisarzy rosyjskich. Zdarzały się dobre utwory, ale bardzo rzadko, więc ich lekturę kończyło się szybko, a potem człowiek znów zostawał z długimi rzędami niebywale nudnych książek. Współcześni pisarze mimo przewagi, jaką dawał im fakt, że mogli się uczyć od mistrzów poprzednich epok, niczym szczególnie imponowali.

Zdejmowałem z półek kolejne książki. Dlaczego nikt nie powiedział? Dlaczego nikt nie krzyknął?

Próbowałem szczęścia w innych salach. Dział ksiązek religijnych był dla mnie niczym ogromne grzędawisko. Wgryzłem się więc w filozofię. Znalazłem paru zgorzkniałych Niemców, którzy na pewien czas poprawili mi humor, ale na tym się skończyło. Potem próbowałem czytać książki matematyczne, ale z wyższą matematyką było jak z religią - szybko się znudziłem. Miałem wrażenie, że szukam igły w stogu siana.

Zaciekawiła mnie geologia, ale - jak się niebawem okazało - nie na długo.

Potem natrafiłem na kilka ksiązek poświęconych chirurgii. Spodobały mi się, były w nich słowa, których nie znałem, i wspaniałe ilustracje. Opis operacji krezki okrężnicy tak bardzo przypadł mi do gustu, że nauczyłem się go na pamięć.

Porzuciłem chirurgię i wróciłem do dużej sali z powieściami i zbiorami opowiadań. (Kiedy dysponowałem tanim winem, nie chodziłem do biblioteki. Warto było tam iść, kiedy nie miało się nic do picia i do jedzenia, a właścicielka kamienicy upominała się o zaległy czynsz. W bibliotece można było przynajmniej korzystać z bezpłatnych toalet). Widywałem tam wielu kloszardów, większość z nich spała na stertach ksiązek.

Krażyłem wytrwale po wielkiej sali - ściągałem książki z półek, czytałem po kilka zdań, kilka stron, a potem odkładałem na miejsce.

Pewnego dnia sięgnąłem po jakąś książkę, otworzyłem ją i to było to. Stałem przez chwilę i czytałem. Potem, czując się jak człowiek, który znalazł złoto na miejskim śmietniku, zaniósłem ją do stolika. Linijki tekstu toczyły się swobodnie,

płynęły. Każda tętniła energią. Sama struktura poszczególnych linijek nadawała stronie formę, tak że można było odnieść wrażenie, iż coś w niej wryto. Oto wreszcie był człowiek, który nie bał się uczuć. Humor i ból współistniały na kartach książki w sposób prosty i naturalny. Początek powieści poraził mnie jak grom.

Miałem kartę biblioteczną. Wypożyczyłem tę książkę, wróciłem z nią do swojego pokoju, położyłem się na łóżku i zacząłem czytać. Na długo przed ukończeniem lektury wiedziałem już, że mam do czynienia z pisarzem, który wypracował własny styl. Powieść miała tytuł *Pyl*, a jej autorem był John Fante. Jego książki wywarły na moją twórczość przemożny wpływ i tak jest aż do dzisiaj. Po przeczytaniu *Pylu* odszukałem w bibliotece inne książki Fantego, były jeszcze dwie: *Dago Red* i *Wait Until Spring, Bandini*. To książki równie dobre, też napisane prosto z serca i z głębi trzewi.

Tak, Fante miał na mnie ogromny wpływ. Wkrótce po przeczytaniu jego książek zamieszkałem z pewną kobietą. Była jeszcze większą pijaczką niż ja i dochodziło między nami do ciągłych awantur. Wtedy krzyczałem do niej: „Nie mów, że jestem skurwysynem! Ja jestem Bandini, Arturo Bandini!”.

Fante był moim bogiem. Wiedziałem, że bogów należy zostawić w spokoju, że nie puka się do ich drzwi. Jednak lubiłem snuć domysły na temat miejsca, w którym mieszkał przy Schodach Aniołów, i wyobrażać sobie, że nadal tam mieszka. Niemal codziennie przechodziłem tamtędy i zadawałem sobie pytania: Czy to jest okno, przez które wślizgnęła się Camilla? Czy to są drzwi tego hotelu? Czy to ten hol? Mogłem się tylko domyślać.

Trzydzieści dziewięć lat później, czyli w tym roku, znów przeczytałem *Pył*. Książka nie straciła na świeżości, podobnie jak inne utwory Fantego, ale ten do dziś jest moim ulubionym, bo dzięki niemu odkryłem magię twórczości tego pisarza. Oprócz *Dago Red* i *Wait Until Spring, Bandini* Fante napisał jeszcze *Full of Life* i *Bractwo winnego grona*. Obecnie pracuje nad powieścią zatytułowaną *A Dream of Bunker Hill*.

Pewne okoliczności sprawiły, że w tym roku poznałem Johna Fantego osobiście. Jego losy są znacznie bogatsze niż to, co poznajemy z kart jego książek - to historia szczęścia, bolesnych doświadczeń i rzadkiej, naturalnej odwagi. Kiedyś ta historia zostanie opowiedziana, ale sądzę, że on by nie chciał, abym zrobił to tutaj. Powiem więc tylko tyle: to, co Fante pisze i co robi, jest takie samo - mocne, dobre i ciepłe.

Wystarczy. Oddaję książkę w wasze ręce.

Charles Bukowski
5 czerwca 1979 roku

1

PEWNEJ NOCY siedziałem na łóżku w pokoju hotelowym na Bunker Hill, w samym sercu Los Angeles. To była ważna noc w moim życiu, bo musiałem podjąć decyzję co do dalszego pobytu w hotelu. „Płacisz albo się wynosisz” - kartkę tej treści wsunęła mi pod drzwi właścicielka. Poważny problem, wymagający stosownego namysłu. Rozwiązałem go w taki sposób, że zgasilem światło i położyłem się spać.

Kiedy obudziłem się rano, postanowiłem rozprostować kości. Wykonałem w tym celu kilka skłonów. Potem umyłem zęby, poczułem w ustach krew, zobaczyłem różowy kolor na szczoteczce, przypomniałem sobie reklamy i postanowiłem pójść na kawę.

Udałem się do tego samego baru co zwykle. Usiadłem na stołku przy długim kontuarze i zamówiłem kawę. To, co mi podano, przypominało w smaku kawę, ale nie było warte tych pięciu centów, które zapłaciłem. Wypaliłem kilka papierosów, przejrzałem w gazecie wyniki meczów Ligi Amerykańskiej, nie zwracając najmniejszej uwagi na wyniki meczów Ligi

Narodowej, i z zadowoleniem przyjąłem fakt, że Joe DiMaggio wciąż przynosi Włochom chlubę jako czołowy pałkarz ligi.

DiMaggio, genialny pałkarz! Wyszedłem z baru, stanąłem na wprost wyimaginowanego miotacza i celnym uderzeniem posłałem piłkę za parkan, uzyskując home run. Potem ruszyłem ulicą w kierunku Schodów Aniołów, zastanawiając się, co począć z tak miło rozpoczętym dniem. Nie miałem nic do roboty, więc postanowiłem się przejść po mieście.

Na Olive Street minąłem brudną żółtą czynszówkę. Była jeszcze przesiąknięta wilgocią po nocnej mgle. Pomyślałem o swoich przyjaciółach, Ethie i Carlu, którzy pochodzili z Detroit, a teraz mieszkali w tym budynku. Przypomniało mi się, jak Carl uderzył Ethie, kiedy okazało się, że zaszła w ciążę; zrobił to, bo nie chciał mieć dzieci. Ale mają dziecko i oto cała historia. Przypomniało mi się również wewnątrz ich mieszkania, cuchnące myszami i kurzem, oraz stare kobiety, które przesiadywały w holu w upalne popołudnia, zwłaszcza jedna z nich - o pięknych nogach. Był tam również windziarz, sfluwany facet z Milwaukee, który zdawał się uśmiechać szyderczo, ilekroć ktoś powiedział, na które piętro chce jechać, jakby wybór tego konkretnego piętra świadczył o bezgranicznej głupocie; ten gość miał zawsze w windzie tacę z kanapkami i jakiegoś brukowca.

Zacząłem schodzić ze wzgórza, podążając dalej Olive Street między odrapanymi drewnianymi domami śmierdzącymi zbrodnią. Kiedy już byłem przy filharmonii, przypomniało mi się, jak poszliśmy tam z Helen na koncert Chóru Kozackiego i jak śmiertelnie się wtedy wynudziłem, co zresztą stało się powodem naszej sprzeczki. Helen była w białej sukni. Kiedy

jej dotknąłem, poczułem żar w łędźwiach. Och, Helen, gdzie teraz jesteś?

Dotarłem do skrzyżowania Olive i Piątej. Huczało tam od łoskotu tramwajów, smród benzyny sprawiał, że palmy wydawały się smutne, ulice były mokre po nocnej mgle.

Miałem teraz przed sobą hotel Biltmore i szedłem wzdłuż kolejki żółtych taksówek; wszyscy taksówkarze spali z wyjątkiem tego, którego auto stało przy głównym wejściu. Pomyślałem o wiedzy, jaką dysponują ci delikwenci, i przypomniało mi się, jak kiedyś jeden z nich zdradził mnie i Rossowi pewien adres, po czym łypnął oblesnie okiem i zawiózł nas na Tempie Street, gdzie czekały już dwie brzydule. Ross poszedł na całość, a ja siedziałem w saloniku przestraszony i samotny, słuchając muzyki z gramofonu.

Kiedy mijałem portiera z Biltmore, natychmiast go zniechęciłem za te jego żółte galony, sześć stóp wzrostu i aurę godności, lecz właśnie wtedy podjechał do krawężnika czarny automobil i wysiadł z niego jakiś mężczyzna. Wyglądał na zamożnego. Potem wysiadła piękna kobieta w futrze ze srebrnego lisa. Przemknęła przez chodnik i zniknęła za wahadłowymi drzwiami. Myślałem potem o niej przez jakiś czas, całą dzień i całą noc o niej myślałem, była niczym sen, gdy szedłem dalej, czując zapach jej perfum unoszący się w wilgotnym porannym powietrzu.

Później sporo czasu spędziłem przed witryną sklepu z fajkami, zapomniałem o bożym świecie, widziałem tylko tę witrynę i wystawione w niej fajki, wydawało mi się, że palę je wszystkie, i wyobraziłem sobie siebie jako wielkiego pisarza, który wysiada z czarnego auta, trzymając w jednej ręce elegancką

włoską fajkę z korzenia wrzośca, w drugiej - laskę, i któremu towarzyszy kobieta w futrze ze srebrnego lisa, dumna z niego jak diabli. Po zameldowaniu się w hotelu idziemy na drinka, potem tańczymy, potem znowu sączymy drinki, recytując sanskryckie wersety, a życie jest wspaniałe, bo co dwie minuty jakaś piękność posyła mi zalotne spojrzenie, mnie, wielkiemu pisarzowi, domagając się złożenia autografu na menu, a kobieta w futrze ze srebrnego lisa jest bardzo zazdrosna.

Los Angeles, daj mi cząstkę siebie! Los Angeles, przyjdź do mnie tak, jak ja przyszedłem do ciebie, przemierzając twoje ulice, piękne miasto, które tak bardzo kochałem, smutny kwiecie pośrodku pustyni, ty, piękne miasto.

Dzień w dzień biblioteka z wybitnymi autorami na półkach, stary Dreiser, stary Mencken, cała ferajna, odwiedzałem ich regularnie, cześć, Dreiser, cześć, Mencken, cześć, cześć - na pewno znajdzie się miejsce dla mnie, zaczyna się na „B”, półka na „B”, Arturo Bandini, zróbcie miejsce dla Arturo Bandiniego, miejsce na jego książkę. Siedziałem przy stoliku i wpatrywałem się w miejsce przeznaczone na moją książkę, było zaraz obok Arnolda Bennetta, Arnold Bennett to wprawdzie nikt nadzwyczajny, ale ja miałem podnieść rangę „B”, stary Arturo Bandini, jeden z wielkich, czekający na dzień, w którym kobieta rozsiewająca wokół siebie zapach perfum zakłóci stukotem obcasów monotonię jego sławy. Co za dzień, co za marzenie!

Jednak siwowłosa właścicielka hotelu pisała kolejne poganienia. Pochodziła z Bridgeport w stanie Connecticut, po śmierci męża została sama na świecie, więc nikomu nie ufała, nie mogła sobie na to pozwolić, tak mi mówiła, mówiła

też, że muszę zapłacić. Mój dług rósł nieubłaganie niczym dług publiczny, musiałem zapłacić albo się wyprowadzić, zapłacić wszystko co do centa, pięć tygodni zaległości, dwadzieścia dolarów, w przeciwnym razie właścicielka zatrzyma moje kufry, tyle że ja nie miałem żadnych kufrów, tylko jedną tekturową walizkę i to bez paska, bo ten pasek podtrzymywał moje spodnie, co zresztą nie było trudne, gdyż niewiele z nich zostało.

- Właśnie dostałem list od swojego agenta - powiedziałem jej. - Od agenta z Nowego Jorku. Zapewnia, że sprzedał moje opowiadanie, nie napisał komu, ale sprzedał bezsprzecznie. Proszę się nie martwić, pani Hargraves, spokojna głowa, za dzień lub dwa będę miał pieniądze.

Ale ona nie wierzyła ani jednemu mojemu słowu. Tak naprawdę to nie było kłamstwo, raczej pobożne życzenie, a może wcale nie życzenie, tylko fakt najprawdziwszy. Żeby to sprawdzić, musiałem bacznie obserwować listonosza, mieć go cały czas na oku, przeglądać pocztę, którą kładł na recepcyjnym kontuarze, pytać prosto z mostu, czy ma coś dla Bandiniego. Jednak po sześciu miesiącach spędzonych w hotelu nie musiałem już pytać. Widząc mnie, listonosz kiwał głową na tak lub nie, zanim jeszcze zdążyłem zapytać: nie - trzy miliony razy, tak - raz.

Pewnego dnia nadszedł piękny list. Och, dostawałem mnóstwo listów, ale tylko ten był piękny, przyszedł rano, jego autor napisał, że przeczytał *Śmiech małego pieska* i utwór ten bardzo mu się spodobał; panie Bandini, napisał, jest pan prawdziwym geniuszem. Miał na imię Leonardo, był wybitnym włoskim krytykiem, tyle że nikomu nieznanym krytykiem,

ot zwyczajnym facetem z Wirginii Zachodniej, ale to był wielki człowiek i krytyk, który wkrótce umarł. Nie żył już, kiedy mój list wysłany pocztą lotniczą dotarł do Wirginii Zachodniej, list odesłała mi jego siostra. Ona też napisała piękny list, bo też była całkiem niezłym krytykiem, napisała, że Leonardo umarł na gruźlicę, lecz do końca był szczęśliwy, a tuż przed śmiercią usiadł w łóżku i napisał do mnie o *Śmiechu małego pieska*, że to sen inspirowany życiem, ale bardzo ważny; Leonardo, nieżyjący już Leonardo, święty w niebie, równy dwunastu apostołom.

Wszyscy w hotelu przeczytali *Śmiech małego pieska*; czyta się to jednym tchem i bynajmniej nie jest to opowieść o psie, tylko mądra historia, czysta poezja. Wielki wydawca, J.C. Hackmuth we własnej osobie, którego podpis przypominał chińskie pismo, napisał mi w liście, że to doskonale opowiadanie i że z dumą je opublikuje. Kiedy pani Hargraves przeczytała moje dzieło, urosłem w jej oczach. Pozwoliła mi zostać w hotelu, nie wyrzuciła na mróz, czy też na skwar, bo często było upalnie, i zawdzięczałem to *Śmiechowi małego pieska*. Pani Grainger z pokoju 345, członkini stowarzyszenia Christian Science (kształtne biodra, ale wiek podeszły), pochodząca z Battle Creek w stanie Michigan, przesiadywała w holu, czekając na śmierć, ale *Śmiech małego pieska* tchnął w nią życie, wyraz jej oczu świadczył o tym dobitnie, i to mnie pokrzepiło, ale miałem nadzieję, że pani Grainger zapyta o moją sytuację finansową, jak sobie radzę, a potem pomyślałem, że sam ją poproszę o pożyczenie pięciu dolarów, lecz nie uczyniłem tego, tylko oddaliłem się zniesmaczony, pstrykając nerwowo palcami.

Hotel nazywał się Alta Loma. Został zbudowany na zboczu Bunker Hill, w dół stoku, tak że parter znajdował się na poziomie ulicy, a dziesiąte piętro - dziesięć poziomów niżej. Jeśli ktoś miał pokój numer 862, zjeżdżał windą osiem pięter w dół, a jeśli ktoś chciał się dostać do piwnicy, musiał pojechać w górę, na strych usytuowany bezpośrednio nad parterem.

Moja meksykańska dziewczyna! Myślałem o niej bez przerwy. Nie miałem meksykańskiej dziewczyny, ale na ulicach było ich pełno, na Plaza i w Chinatown aż się od nich roiło, więc wyobrażałem sobie, że wszystkie są moje, i ta, i tamta, a jednocześnie wiedziałem, że kiedy dostanę następny czek, moje marzenie stanie się rzeczywistością. Na razie jednak miałem je wszystkie za darmo, księżniczki Azteków i Majów, młode wyrobnice na Targu Centralnym i w kościele Najświętszej Maryi Panny, chodziłem nawet na mszę, żeby na nie popatrzeć. To świętokradztwo, ale byłoby jeszcze gorzej, gdybym nie chodził do kościoła, bo kiedy pisałem do matki w Kolorado, mogłem przynajmniej pisać prawdę: droga matko, byłem w niedzielę w kościele. Na Targu Centralnym niby przypadkiem wpadałem na moje księżniczki. Dzięki temu mogłem z nimi chwilę porozmawiać, uśmiechnąć się i przeprosić. Były takie szczęśliwe, kiedy ktoś zachowywał się wobec nich jak dżentelmen, a ja, dotknąwszy ich, wracałem z tym pięknym wspomnieniem do swojego pokoju, gdzie kurz zbierał się na maszynie do pisania, a Pedro siedział w swojej mysiej dziurze i czarnymi oczami obserwował mnie pogrążonego w marzeniach i zadumie.

Pedro był dobrą myszą, ale nieudomowioną, nie odpowiadała mu rola oswojonego pupilka. Zobaczyłem go, kiedy po raz pierwszy wszedłem do mojego pokoju; w tamtym okresie miałem swoje pięć minut, bo w najnowszym, sierpniowym numerze ukazał się *Śmiech małego pieska*. To było pięć miesięcy temu, w dniu, w którym przyjechałem do miasta z Kolorado ze stu pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni i wielkimi planami w głowie. Miałem wtedy swoją filozofię. Byłem miłośnikiem ludzi i zwierząt, a Pedro nie stanowił wyjątku. Z czasem jednak ser zaczął mnie zbyt dużo kosztować, bo Pedro skrzyknął swoich kumpli i w pokoju zaroilo się od myszy, więc w pewnym momencie powiedziałem dosyć i odtąd karmiłem je chlebem. Myszom chleb nie smakował, bo je rozpieściłem, i poszły sobie gdzie indziej, wszystkie oprócz ascetycznego Pedra, który potrafił zaspokoić głód stronicami starej hotelowej Biblii.

Ach, ten pierwszy dzień! Pani Hargraves otworzyła drzwi mojego pokoju i ujrzałem go w całej okazałości - czerwony dywan na podłodze, angielskie pejzaże na ścianach, prysznic we wnęce. Był to pokój numer 678 na szóstym piętrze, jego okno znajdowało się tuż przy zielonym zbocz, więc nie potrzebowałem klucza, bo okno było zawsze otwarte. Zobaczyłem przez nie pierwszą w moim życiu palmę, oddaloną zaledwie o sześć stóp, i pomyślałem o Niedzieli Palmowej, Egipcie i Kleopatrze, ale palma była poczerniała od tlenku węgla z tunelu na Trzeciej Ulicy i dławiała się pyłem i piaskiem z pustyni Mojave i Santa Ana.

Droga matko, pisałem do domu w Kolorado, droga matko, idzie ku dobremu. Do miasta przyjechał wielki wydawca, by-

liśmy na lunchu i podpisałem umowę na publikację kilku opowiadań, ale nie będę cię zanudzał szczegółami, droga matko, bo wiem, że nie interesuje cię moje pisanie, ojca też, lecz to świetna umowa, tyle że pieniądze dostanę dopiero za parę miesięcy. Więc przyślij mi dziesięć dolarów, matko, przyślij pięć, matko droga, bo wydawca (podałbym nazwisko, ale wiem, że to cię nie interesuje) postanowił mnie wylansować.

Droga matka i drogi Hackmuth, wielki wydawca, byli głównymi adresatami moich listów, praktycznie jedynymi adresatami. Stary Hackmuth z wiecznym grymasem na twarzy i przedziałkiem na środku głowy, wielki Hackmuth z piórem dzierzonym dumnie niczym miecz. Miałem na ścianie jego zdjęcie opatrzone autografem przypominającym chińskie pismo. Hackmuth, zachwycałem się, ależ ty pięknie piszesz! Potem nadeszły chude dni i Hackmuth otrzymywał ode mnie długie listy. Panie Hackmuth, coś jest ze mną nie tak, opuściło mnie natchnienie, nie mogę pisać. Czy sądzi pan, panie Hackmuth, że to ma związek z tutejszym klimatem? Czy sądzi pan, panie Hackmuth, że piszę tak dobrze jak William Faulkner? Proszę o odpowiedź. Czy sądzi pan, panie Hackmuth, że to ma coś wspólnego z seksem, albowiem, panie Hackmuth, albowiem, albowiem... I opowiedziałem mu wszystko. Opowiedziałem o blondynce, którą poznałem w parku. Opowiedziałem, jak próbowałem złamać jej opór i jak mi uległa. Opowiedziałem całą historię, tyle że nie była prawdziwa, to były zwykłe wymysły, ale lepsze to niż nic. W ten sposób doskonałem warsztat pisarski i podtrzymałem kontakt z wielkim człowiekiem, który zawsze odpowiadał na moje listy. Swój chłop! Odpowiadał od razu, wielki

człowiek nie pozostawał obojętny na problemy utalentowanego młodzieńca. Nikt nie dostawał od Hackmutha tylu listów co ja, wychodziłem z nimi na spacer, czytałem je po wielokroć, całowałem. Bywało, że stałem przed zdjęciem Hackmutha i ze łzami w oczach zapewniałem go, że tym razem postawił na właściwego człowieka, na wielki talent, na Bandiniego, Arturo Bandiniego, na mnie.

Chude dni pełne determinacji. Słowo „determinacja” pasuje tu jak ulał: Arturo Bandini tkwiący przez dwa dni z rzędu przy maszynie do pisania, próbujący coś stworzyć. Ale nic z tego nie wyszło, największy przejaw determinacji w jego życiu nie przyniósł skutku, nie powstało ani jedno zdanie, a cała strona była zapisana tylko jednym uporczywie powtarzanym słowem: palma, palma, palma; walka na śmierć i życie między palmą a mną, i palma zwyciężyła - spójrzcie, kołysz się słodko na wietrze, cicho poskrzypując. Po dwóch dniach zażartej walki palma zwyciężyła. Wyszedłem przez okno i usiadłem u jej stóp. Po chwili zasnąłem, a małe brązowe mrówki zaczęły buszować w owłosieniu moich nóg.

2

MIAŁEM WTEDY dwadzieścia lat. Spokojnie, mówiłem sobie, masz czas, Bandini. Masz dziesięć lat na napisanie książki, nie spiesz się, wyjdź na ulicę i poznaj życie. Na tym polega twój problem: nic nie wiesz o życiu. Na litość boską, człowieku, czy ty zdajesz sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie byłeś z kobietą? Skądże, byłem nie raz. Nie byłeś. Potrzebujesz kobiety, potrzebujesz kąpieli, potrzebujesz kopa w tyłek, potrzebujesz pieniędzy. Powiadają, że to kosztuje dolara, a w ekskluzywnych miejscach - dwa, ale na Plaza to tylko dolar; wybornie, tyle że ty nie masz dolara i czegoś jeszcze, tchórzku, nawet gdybyś miał dolara, to byś nie poszedł, bo miałeś już taką okazję w Denver i nie skorzystałeś. Tak, tchórzku, bałeś się i wciąż się boisz, jesteś zadowolony, że nie masz dolara.

Boi się kobiet! On, wielki pisarz! Jak może pisać o kobietach, skoro nigdy z żadną nie był? Ty nędzny hochsztaplerze, oszuście jeden, nic dziwnego, że nie możesz pisać! Nic dziwnego, że w *Śmiechu małego pieska* nie ma żadnej kobiety!

Nic dziwnego, że to nie jest historia miłosna, głupcze, cholerny szczeniaku.

Napisać historię miłosną, poznać życie.

Pieniądze przyszły pocztą. Nie był to czek od potężnego Hackmutha ani list z „Atlantic Monthly” czy też „Saturday Evening Post” informujący o przyjęciu mojego opowiadania do druku. To było tylko dziesięć dolarów, aż dziesięć. Pieniądze przysłała matka: „Spieniżyłam naszą skromną polisę ubezpieczeniową, Arturo, i to jest twoja część”. Dziesięć dolarów za kilka takich kartek czy innych, grunt, że coś zostało sprzedane.

Włóż pieniądze do kieszeni, Arturo. Umyj twarz, uczesz włosy, poperfumuj się, żebyś ładnie pachniał, kiedy będziesz patrzył w lustro, szukając siwych włosów; bo ty się trapisz, Arturo, trapisz się, a od tego przybywa siwych włosów. Jednak nie było ani jednego siwego włosa. No dobrze, ale co z lewym okiem? Wydaje się nieco poblądłe. Dbaj o wzrok, Arturo Bandini, nie nadwerężaj go, pamiętaj, co spotkało Tarkingtona, pamiętaj, co spotkało Jamesa Joyce'a.

Nieźle, mówię do zdjęcia Hackmutha, stojąc na środku pokoju, nieźle, Hackmuth, będzie z tego opowiadanie. Jak wyglądam, Hackmuth? Czy zastanawiasz się czasem, Herr Hackmuth, jak ja wyglądam? Zastanawiasz się, czy ten Bandini, autor znakomitego *Śmiechu małego pieska*, jest przy stojny?

Kiedyś w Denver była podobna noc, tyle że w Denver nie byłem jeszcze pisarzem, wtedy również stałem na środku pokoju i snułem wiadome plany, ale wszystko zakończyło się katastrofą, bo gdy znalazłem się w owym przybytku, przez ca-

ły czas myślałem o Świętej Panience i przykazaniu „nie cudzołóż”, i w końcu ciężko pracująca dziewczyna pokręciła ze smutkiem głową i dała za wygraną, lecz to było dawno, a tej nocy sprawy potoczą się zupełnie inaczej.

Wyszedłem przez okno i wspiąłem się po zboczach na szczyt Bunker Hill. Noc dla moich nozdrzy, uczta dla moich nozdrzy chłonących zapach gwiazd, kwiatów, pustyni i pyłu uspiętego na szczycie Bunker Hill. Miasto rozpościerało się w dole niczym bożonarodzeniowa choinka, czerwono-zielono-niebieskie. Witajcie, stare domy, śliczne hamburgery śpiewające w tanich barach; śpiewał też Bing Crosby. Ona będzie dla mnie miła. Nie taka jak dziewczęta z mojego dzieciństwa, okresu dorastania i lat studenckich. Tamte napawały mnie lękiem, były wyniosłe i niechętne, ale moja księżniczka taka nie będzie, ona mnie zrozumie, ponieważ nią też pogardzano.

Bandini idzie przed siebie, niewysoki, ale dobrze zbudowany, dumny ze swoich mięśni, pręży twarde bicepsy, upaja się nimi, nieustraszony Bandini, który nie boi się niczego prócz tego, co nieznanne w cudownym świecie pełnym tajemnic. Czy ludzie powstają z martwych? Książki mówią, że nie, noc krzyczy, że tak. Mam dwadzieścia lat, osiągnąłem intelektualną dojrzałość i będę przemierzał ulice w poszukiwaniu kobiety. Czy moja dusza już została skalana, czy powinienem zawrócić, czy anioł roztacza nade mną opiekuńcze skrzydła, czy modlitwy matki rozwiewają moje lęki, czy modlitwy matki mnie złoścą?

Dziesięć dolarów. Mogę zapłacić czynsz za dwa i pół tygodnia albo kupić trzy pary butów i dwie pary spodni, albo tysiąc znaczków pocztowych i wysłać teksty różnym

wydawcom. Dobra myśl! Ale przecież ty nie masz żadnych tekstów, twój talent jest wątpliwy, pożałowania godny w ogóle nie masz talentu, więc przestań się oszukiwać, ponieważ doskonale wiesz, że *Śmiech małego pieska* to marne opowiadanie i nigdy lepsze nie będzie.

A zatem idziesz po Bunker Hill, wygrażając pięścią niebu. Wiem, co sobie myślisz, Bandini, myślisz o swoim ojcu, a każda myśl jest niczym smagnięcie bata na plecach, palący ogień w czaszce, myślisz, że to wszystko nie twoja wina - urodziłeś się biedny jako syn udręczonych farmerów, gnało cię w świat, bo byłeś biedny, uciekłeś z małego miasteczka w Kolorado, bo byłeś biedny, snujesz się brudnymi ulicami Los Angeles, bo jesteś biedny, marzysz o napisaniu książki, bo chcesz się wzbogacić, gdyż ludzie, którzy tobą pogardzali w Kolorado, nie będą już tobą gardzić, kiedy napiszesz książkę. Jesteś tchórzem, Bandini, zdrajcą własnej duszy, nędznym łgarzem przez obliczem płaczącego Chrystusa. To dlatego piszesz, to dlatego byłoby lepiej, gdybyś umarł.

Tak, to prawda, ale ja widziałem domy w Bel-Air z ładnymi trawnikami i zielonymi basenami. Pragnąłem kobiet, których buty były warte więcej niż cały mój dobytek. Widziałem kije golfowe w witrynie sklepu Spaldinga przy Szóstej Ulicy tak piękne, że pragnąłem choć raz ująć je w dłoń. Łaknąłem krawata niczym pobożny człowiek odpustu. Zachwycałem się kapeluszami u Robinsona jak krytycy dziełami Michała Anioła.

Zszedłem Schodami Aniołów ku Hill Street, po stu czterdziestu stopniach, z zaciśniętymi pięściami; nie bałem się niko, mój lęk budził tunel na Trzeciej Ulicy, bałem się nim

przejsć - klaustrofobia. Boję się też wysokości, widoku krwi, trzęsienia ziemi, poza tym właściwie niczego z wyjątkiem śmierci, tego, że krzyknę w tłumie, zapalenia wyrostka robaczkowego, kłopotów z sercem i jeszcze czegoś: oto siedzę w pokoju ojca, w jednej ręce trzymam zegarek, drugą przyciskam do jego szyi, mierząc puls, słysząc dziwny bulgot dobywający się z jego żołądka. Poza tym nie boję się niczego.

Oto pomysł na opowiadanie z motywem pieniędzy: te same schody, miasto w dole, gwiazdy na wyciągnięcie ręki, chłopak poznaje dziewczynę; to niezły pomysł, w sam raz na opowiadanie o pieniądzach. Dziewczyna mieszka w szarej czynszówce, chłopak jest włóczęgą. Ten chłopak to ja. Dziewczyna przymiera głodem, bo choć jest bogatą dziewczyną z Pasadeny, nienawidzi pieniędzy. Wyniosła się stamtąd, zostawiając swoje miliony, bo była znużona dostatnim życiem. Piękna dziewczyna, olśniewająca. Wspaniała historia, patologiczny konflikt. Dziewczyna z niechęcią do pieniędzy, freudowskie klimaty. Kocha ją jakiś bogaty facet. Ja jestem biedny. Spotykam swojego rywala. Najpierw rozprawiam się z nim za pomocą ciętego dowcipu, potem jeszcze zadaję kilka ciosów pięściami. Dziewczyna jest pod wrażeniem. Zakochuje się we mnie. Oferuje mi miliony. Mówię jej, że się z nią ożenię pod warunkiem, że pozostanie biedna. Ona się zgadza. Jednak wszystko kończy się dobrze, bo dziewczyna jest przebiegła i w dniu ślubu ustanawia dla mnie okazały fundusz powierniczy. Jestem tym oburzony, ale wybaczam jej, bo ją kocham. Niezły pomysł, ale czegoś tu brakuje, taka tam historyjka, w sam raz dla tygodnika „Collier's”.

Najdroższa matko, dziękuję za te dziesięć dolarów. Mój agent zapewnia, że sprzedał kolejne opowiadanie, tym razem słynnemu magazynowi z Londynu, ale płacą dopiero po publikacji, więc ta drobna suma przyda mi się na bieżące potrzeby.

Poszedłem na burleskę. Miałem najlepsze miejsce z możliwych, zapłaciłem za nie dolara i dziesięć centów, tuż pod sceną, z wymarzonym widokiem na czterdzieści chórzystek w postrzępionych spódniczkach; pewnego dnia one wszystkie będą moje, kupię jacht i popłyniemy w rejs po południowym Pacyfiku. W ciepłe popołudnia będą tańczyć dla mnie na słonecznym pokładzie. Moje kobiety będą piękne, wybrane ze śmietanki towarzyskiej, będą ze sobą rywalizować o dostęp do uciech w mojej prywatnej kajucie. Cóż, to dla mnie dobre, obecność na tym przedstawieniu, nie jestem tu bez powodu, kiedyś przeleję swoje doświadczenia na papier, ukazę ciemną stronę życia.

Potem pojawiła się Lola Linton, niczym atlasowy wąż wślizgnęła się na scenę pośród ogłuszających gwizdów i tupotu nóg, lubieżna Lola Linton, bezlitośnie rozpalająca moje zmysły, a kiedy skończyła, bolały mnie zęby, bo tak kurczowo były zaciśnięte, i nienawidziłem otaczającego mnie motłochu, tych ryczących prostaków, którzy rozkoszowali się tym, co winno być tylko moim udziałem.

Skoro mama sprzedała polisę, to znaczy, że w domu krucho i nie powinienem tu być. W latach chłopięcych widywałem zdjęcia różnych Loli Linton i niecierpliwie się powolnym upływem czasu, tęskniąc za chwilą taką ja ta, i oto jestem tutaj, nic się nie zmieniłem, Lole Linton również, ale wtedy wyobrażałem sobie, że będę bogaty, a jestem biedny.

Main Street po przedstawieniu, północ - neony i lekka mgiełka, knajpy i całonocne kina. Sklepy z używaną odzieżą i filipińskie sale taneczne, bary z drinkami po piętnaście centów, nieustająca zabawa, ale ja byłem już w tych wszystkich miejscach wiele razy, wydałem w nich mnóstwo pieniędzy z Kolorado. Poczuję się samotny jak spragniony człowiek trzymający pusty kubek i z dziwnym uczuciem, niesmaku raczej niż bólu, ruszyłem w stronę dzielnicy meksykańskiej. Był tam kościół Najświętszej Maryi Panny, bardzo stary, o poczerńniętych murach. Ze względów sentymentalnych wejść do środka. Wyłącznie ze względów sentymentalnych. Nie czytałem Lenina, ale słyszałem, jak go cytowano, religia to opium dla mas. Mówię do siebie na schodach kościoła: no tak, opium dla mas. Jestem ateistą, czytałem Antychrysta i uważam, że to świetna książka. Wierzę w przewartościowanie wartości. Kościół musi odejść, to azyl dla ludzi podejrzanego autorkamentu - głupków, kanalii i szarlatanów.

Kiedy uchylałem olbrzymie wrota, wydały z siebie ciche, płaczkliwe jęki. Nad ołtarzem płonęło wieczne światło, czerwone niczym krew, pogrążając w szkarłatnym cieniu ciszę prawie dwóch tysięcy lat. To było jak śmierć, ale pomyślałem też o niemowlętach płaczących podczas chrztu. Ukląknęłam. Zrobiłem to z przyzwyczajenia. Potem usiadłem. Nie, już lepiej klęczeć, bo piekący ból kolan odwraca uwagę od przerażającej ciszy. Modlitwa. Tylko jedna, ze względów sentymentalnych. Wszechmogący Boże, wybac mi, że jestem teraz ateistą, ale gdybyś czytał Nietzschego... Co za książka! Wszechmogący Boże, postawię sprawę jasno. Mam dla Ciebie propozycję. Jeśli sprawisz, że zostanę wielkim pisarzem,

wrócę na łono Kościoła. I jeszcze jedna prośba, spraw, Boże, by moja matka była szczęśliwa. Mniejsza o starego, on ma swoje wino i końskie zdrowie, ale matka tak bardzo się martwi. Amen.

Zamknąłem pojękujące drzwi i stanąłem na schodach, mgła przesłaniała świat jak wielkie białe zwierzę, plac tonął w białej ciszy niby ośnieżony gmach sądu w moim rodzinnym mieście. Ale dźwięki rozchodziły się szybko i wyraźnie w ciężkim powietrzu, moich uszu dobiegł stukot wysokich obcasów, a zaraz potem z mgły wyłoniła się dziewczyna w starym zielonym płaszczu. Miała na głowie zieloną chustę związaną pod brodą. Na schodach stał Bandini.

- Cześć, kochanie - powiedziała z uśmiechem, jakby Bandini był jej mężem albo kochankiem. Potem podeszła do schodów i podniosła na niego wzrok. - To jak, kochanie? Zabawimy się?

Śmiały kochanek, śmiały, zuchwały Bandini.

- Nie - odparł. - Dziękuję. Może innym razem.

Oddalił się szybkim krokiem, dziewczyna patrzyła za nim, mówiła coś, ale impet ucieczki zagłuszył słowa. Bandini przeszedł kawałek ulicą. Był zadowolony. Ta dziewczyna złożyła mu propozycję. Dostrzegła w nim mężczyznę. Zagwizdał wesoło jakąś melodię. Bywalec salonów ma bogate doświadczenia. Uznany pisarz opowiada o nocy spędzonej z ulicznicą. Sławny pisarz Arturo Bandini opisuje swoją przygodę z prostytutką z Los Angeles. Krytycy okrzykują książkę arcydziełem.

Bandini (w wywiadzie udzielonym tuż przed wyjazdem do Szwecji): Moja rada dla młodych pisarzy jest prosta. Nie bój-

cie się nowych doświadczeń. Bierzcie życie pełnymi garściami, nie cackajcie się z nim, wyciśnijcie jak cytrynę.

Reporter: Panie Bandini, co pana zainspirowało do napisania książki, za którą otrzymał pan literacką Nagrodę Nobla?

Bandini: Książka jest oparta na wydarzeniach, w których uczestniczyłem pewnej nocy w Los Angeles. Każde słowo jest prawdziwe. Ta książka to owoc moich osobistych doświadczeń.

Dosyć. Wszystko jasne. Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem w kierunku kościoła. Mgła była nieprzenikniona. Dziewczyny już nie było. Szedłem dalej w nadziei, że ją dogonię. Stała na rogu, rozmawiała z jakimś Meksykaninem. Przeszli przez ulicę i weszli na plac. Zacząłem ich śledzić. Mój Boże, Meksykanin! Takie kobiety jak ona nie powinny się zadawać z kolorowymi. Byłem wściekły na tego Latynosa. Przemierzali plac, idąc pod palmami bananowymi, a echo ich kroków niesło się we mgle. Usłyszałem śmiech Meksykanina. Potem zaśmiała się dziewczyna. Przeszli przez ulicę i ruszli aleją wiodącą do Chinatown. Orientalne neony nadawały mgłę różową barwę. Obok chińskiej restauracji był dom z pokojami do wynajęcia. Skręcili i weszli po schodach. Na piętrze budynku naprzeciwko odbywała się potańcówka. Wzdłuż wąskiej uliczki, po obu jej stronach, stały żółte taksówki. Oparłem się o przedni zderzak tej, którą zaparkowano przed domem z pokojami do wynajęcia, i czekałem. Zapaliłem papierosa i czekałem. Będę czekał, aż piekło zamarźnie. Będę czekał, aż Bóg mnie uśmierci.

Minęło pół godziny. Rozległy się kroki na schodach. Otworzyły się drzwi. Meksykanin wyszedł na zewnątrz, zapalił papierosa i ziewnął. Potem uśmiechnął się jakby nieco rozkojarzony, wzruszył ramionami i zniknął w oparach mgły. Śmiało,

uśmiechaj się, śmierdzący Latynosie! Myślisz, że nie wiem, dlaczego się uśmiechasz? Twoja rasa jest poniżana i poniewierana, ale ty poszedłeś do pokoju z białą dziewczyną. Myślisz, że miałbyś jakiegokolwiek szanse, gdybym przyjął jej propozycję na schodach kościoła?

Chwilę później dał się słyszeć stukot obcasów i we mgle stanęła dziewczyna. Ta sama, w tym samym zielonym płaszczu i chuście. Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się.

- Cześć, kochanie. Zabawimy się?

Tylko spokojnie, Bandini!

- Och - odrzekłem. - Może. A może nie. Jaką zabawę masz na myśli?

- Wejdz na górę i sam się przekonaj.

Przestań głupio chichotać, Arturo. Trochę ogłady!

- Mogę pójść na górę - powiedziałam. - Ale mogę też nie pójść.

- Nie daj się prosić, kochanie.

Jej koścista twarz, kwaśny zapach wina z ust, fałszywa słodycz, głód pieniędzy w oczach.

Bandini mówi:

- Ile to teraz kosztuje?

Wzięła mnie pod rękę i pociągnęła w stronę drzwi, ale delikatnie.

- Chodź, kochanie. Porozmawiamy o tym na górze.

- Jestem zmęczony - powiedział Bandini. - Wracam z hucznego przyjęcia.

Zdrowaś Mario, łaski pełna, nie dam rady pójść na górę. Muszę stąd uciec. Korytarze cuchnące karaluchami, żółte żarówki na sufitach, to godzi w twoje poczucie smaku, dziew-

czyna trzymająca mnie pod rękę, coś z tobą nie tak, Arturo Bandini, jesteś mizantropem, człowiekiem skazanym na wieczną wstrzemięźliwość, powinieneś być zostać księdzem jak ojciec O'Leary, który opowiada o radości płynącej z wyrzeczzeń, a tu chodzi jeszcze o pieniądze mojej matki, Matko Boska, Niepokalana, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy - kiedy wspinamy się po schodach, idziemy zakurzonym ciemnym korytarzem do pokoju na samym końcu, gdzie ona gasi światło, kiedy już tam jesteśmy.

Pokój mniejszy od mojego, bez dywanu, obrazów, tylko łóżko, stół i umywalka. Dziewczyna zdjęła płaszcz. Miała pod nim sukienkę w niebieskie wzory i gołe nogi. Zdjęła chustę z głowy. Nie była prawdziwą blondynką. Zauważyłem czarne odrosty. Miała lekko krzywy nos. Bandini usadowił się swobodnie na łóżku, pozując na człowieka, który wie, jak się sioda na łóżku.

Bandini: Przytulne gniazdko.

Mój Boże, muszę się stąd wydostać, to okropne.

Dziewczyna usiadła obok mnie, objęła mnie, przywarła do mnie pierściami, zaczęła całować, wodzić zimnym językiem po moich zębach. Zerwałem się na równe nogi. Wymyśl coś, mój umyśle, mój drogi umyśle, proszę, wyciągnij mnie z tego, a przyrzekam, że to już nigdy się nie powtórzy. Wrócę na łono Kościoła. Będę żył jak Bóg przykazał.

Dziewczyna położyła się na łóżku, z rękami pod głową, nogami na podłodze. Zanim umrę, powącham jeszcze bzy w Connecticut, zobaczą białe skromne kościółki z czasów mojej młodości, ogrodu pastwisk, które połamalem, żeby uciec.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedziałem.

Założyła nogę na nogę.

- Jestem pisarzem - dodałem. - Zbieram materiał do książki.

- Wiedziałam, że jesteś pisarzem - odparła. - Albo biznesmenem, albo kimś takim. Wyglądasz na człowieka uduchowionego, kochanie.

- Jestem pisarzem. Podobasz mi się. Jesteś w porządku i w ogóle. Ale najpierw chciałbym porozmawiać.

Usiadła.

- Masz pieniądze, kochanie?

Pieniądze - cha! Wyciągnąłem zwinięty plik banknotów. Jasne, że mam pieniądze, mam ich mnóstwo, bez liku, pieniądze to nie problem, nic dla mnie nie znaczą.

- Ile bierzesz?

- Dwa dolary, kochanie.

Daj jej trzy, bez wahania, lekką rączką, uśmiechnij się i daj, bo pieniądze to dla ciebie nie problem, jest ich więcej tam, skąd przybyły, twoja matka siedzi właśnie przy oknie z różańcem w dłoniach i czeka na powrót męża do domu, ale pieniądze są - zawsze.

Wzięła pieniądze i wsunęła je pod poduszkę. Była wdzięczna i teraz jej uśmiech zmienił swój wyraz. Pisarz chciał porozmawiać. Jakie macie obecnie warunki pracy? Czy podoba ci się takie życie? Och, daj spokój, kochanie, nie rozmawiajmy, przejdźmy do rzeczy. Nie, chcę z tobą porozmawiać, to ważne, chodzi o nową książkę, materiał do niej. Zawsze tak robię. Jak trafiłaś do tej branży? Kochanie, na litość boską, to też chcesz wiedzieć? Pieniądze nie grają roli, naprawdę. Mój czas jest cenny, kochanie. A zatem masz tu jeszcze dwa dolary. To w su-

mie pięć, o Boże, pięć dolarów, a ja wciąż tu jestem, nienawidzę cię, wstrętna dziewucho. Jednak ty jesteś czystsza niż ja, bo nie sprzedajesz umysłu, a tylko swoje biedne ciało.

Była oszołomiona, gotowa zrobić dla mnie wszystko, mogłem zaznać każdej rozkoszy, próbowała mnie do siebie przyciągnąć, ale nie, nie spieszymy się tak. Chcę z tobą porozmawiać, pieniądze nie grają roli, masz tu jeszcze trzy dolary, to w sumie osiem, ale to żaden problem. Weź te osiem dolarów i kup sobie coś ładnego. Potem pstryknąłem palcami jak człowiek, który o czymś sobie przypomniał, o czymś ważnym, o umówionym spotkaniu.

- A niech to! - zawołałem. - Która godzina?

Ocierała się brodą o moją szyję.

- Nie przejmuj się czasem, kochanie. Możesz zostać całą noc.

Ważny człowiek, no tak, wreszcie sobie przypomniałem, mój wydawca, przylatuje jeszcze tej nocy. Jego samolot ma lądować w Burbank. Trzeba złapać taksówkę i pojechać tam bezzwłocznie, trzeba się spieszyć. Żegnaj, żegnaj, zatrzymaj te osiem dolarów, kup sobie coś ładnego, żegnaj, żegnaj, bieg po schodach, ucieczka, upragniona mgła w drzwiach na dole, och, słodka mgła, widzę cię i przybywam, czyste powietrze, wspaniały świecie, biegnę wam na spotkanie, żegnaj, rzucam za siebie, jeszcze cię odwiedzę, zatrzymaj te osiem dolarów i kup sobie coś ładnego. Osiem dolarów, cały czas mam je przed oczami. Jezus, zabij mnie i odeślij ciało do domu, zabij i zrób to tak, bym umarł jak poganin, bez szansy na rozgrzeszenie, bez ostatniego namaszczenia, osiem dolarów, osiem dolarów...

3

CHUDE DNI, BŁĘKITNE NIEBO bez jednej chmurki, ocean błękitu dzień po dniu i dryfujące po nim słońce. Dni obfitości - obfitujące w zmartwienia i pomarańcze. Jadłem je w łóżku, jadłem na obiad, wcinałem na kolację. Pomarańcze - po pięćcentów za tuzin. Słońce na niebie, słoneczny sok w moim żołądku. Chodziłem na japoński targ. Widząc mnie, uśmiechnięty Japończyk o okrągłej twarzy sięgał po papierową torbę. To był szczodry człowiek, dawał mi piętnaście, czasem nawet dwadzieścia pomarańczy za jedną pięciocentówkę.

- Lubi pan banany? - Jasne, więc dawał mi parę bananów. Miła odmiana, pomarańcze i banany. - Lubi pan jabłka? - Jasne, więc dawał mi parę jabłek. Wreszcie coś innego: pomarańcze i jabłka. - Lubi pan brzoskwinie? - Owszem, i wracałem z brązową torbą do swojego pokoju. Miła odmiana, brzoskwinie i pomarańcze. Moje zęby rwały owoce na strzępy, ucierały na miazgę, a soki mieszały się ze sobą na dnie żołądka, pojękując żałośnie. Było naprawdę smutno na dnie mojego żołądka - płacz nieutulony i obłok gazu, który szczypał w serce.

Ciężka dola pchała mnie ku maszynie do pisania. Siedziałem przy niej ogarnięty współczuciem dla Arturo Bandiniego. Czasem w pokoju pojawiał się pomysł. Fruwał po nim niewinnie niczym mały biały ptak. Nie miał złych zamiarów. Chciał tylko pomóc, ptak kochany. Ale ja rzucałem się na niego jak wariat, bębniłem nim po klawiaturze i umierał biedak w moich dłoniach.

Co się ze mną działo? Kiedy byłem małym chłopcem, modliłem się do świętej Teresy o nowe pióro wieczne. Moje modlitwy zostały wysłuchane. W każdym razie dostałem nowe pióro. Teraz znów pomodliłem się do świętej Teresy. Proszę, moja kochana święta, podsuń mi pomysł. Ale ona mnie opuściła, wszyscy bogowie mnie opuścili, i jak Huysmans stoję samotnie, z zacisniętymi pięściami i łzami w oczach. Gdyby przynajmniej ktoś mnie kochał, choćby robak albo mysz, ale to też należało już do przeszłości; nawet Pedro mnie opuścił, gdy nie miałem mu do zaoferowania nic poza skórkami pomarańczy.

Pomyślałem o domu, o spaghetti w gęstym pomidorowym sosie posypanym parmezanem, o cytrynowych ciastach mojej matki, o pieczeniach jagnięcych, gorącym chlebie, i zrobiło mi się tak smutno, że wbiłem sobie paznokcie w rękę i tak mocno ścisnąłem, że na skórze pojawiła się plamka krwi. To sprawiło mi olbrzymią satysfakcję. Byłem najbardziej udręczonym spośród bożych stworzeń, zmuszonym zadawać sobie tortury. Z pewnością nie było na świecie istoty bardziej nieszczęśliwej ode mnie.

Hackmuth musi się o tym dowiedzieć, potężny Hackmuth, który promuje geniusza na łamach swojego pisma. Drogi panie Hackmuth, napisałem, po czym przystąpiłem do opisywania

swojej szczęśliwej przeszłości, strona po stronie, a tymczasem na zachodzie ognista kula słońca tonęła z wolna we mgle podnoszącej się nad wybrzeżem.

Rozległo się pukanie do drzwi, ale siedziałem cicho, bo to mogła być właścicielka ścigająca mnie w związku z zaległym czynszem. Uchyliły się drzwi i ukazała się w nich łyśa głowa mężczyzny o kościstej, zarośniętej twarzy. Pan Hellfrick, mój sąsiad. Pan Hellfrick był ateistą, który po odejściu z wojska żył ze skromnej emerytury, ledwie starczącej na alkohol, mimo że kupował najtańszy dżin na rynku. Chodził w szarym szlafroku bez paska i guzików i choć zachowywał pewne pozory skromności, tak naprawdę niespecjalnie się tym przejmował, więc szlafrok był zawsze rozchylony i w niewielkim stopniu zakrywał owłosiony kościsty tors. Pan Hellfrick miał przekrwione oczy, bo każdego popołudnia, kiedy słońce oświetlało hotel od zachodu, spał z głową za oknem, a resztą ciała w środku. Od pierwszego dnia mojego pobytu w hotelu był mi winien piętnaście centów, ale po licznych nieudanych próbach odebrania długu straciłem nadzieję, że kiedykolwiek odzyskam te pieniądze. To doprowadziło do ochłodzenia naszych stosunków i dlatego zdziwiłem się, widząc jego głowę w swoich drzwiach.

Spojrzał tajemniczo, przyłożył palec do ust i wydał z siebie przeciągłe „ćśś”, mimo że nie odezwałem się ani słowem. Chciałem, żeby wiedział, co o nim myślę, chciałem mu dać do zrozumienia, iż nie szanuję ludzi, którzy nie wywiązują się ze swoich zobowiązań. Zamknął drzwi i podreptał na kościstych palcach w moją stronę; jego szlafrok był szeroko rozchylony.

- Lubisz mleko? - spytał szeptem.

Lubiłem i tak też mu powiedziałem. Wtedy wyjawiał mi swój plan. Człowiek, który rozwoził mleko po Bunker Hill, był jego przyjacielem. Codziennie o czwartej nad ranem zostawiał ciężarówkę z mlekiem za hotelem, po czym wspinał się tylnymi schodami do pokoju Hellfricka, żeby wychylić z nim szklaneczkę dżinu.

- Więc jeśli lubisz mleko - powiedział Hellfrick - możesz się poczęstować.

Pokręciłem głową.

- To niegodziwe - odparłem, zastanawiając się nad charakterem przyjaźni łączącej Hellfricka i mleczarza. - Czemu chcesz kraść mleko, skoro ten człowiek jest twoim przyjacielem, a w dodatku pije twój dżin? Nie możesz go poprosić o mleko?

- Ja nie lubię mleka - wyjaśnił Hellfrick. - Robię to dla ciebie.

Wyglądało mi to na próbę wymigania się od zwrotu długu. Pokręciłem głową.

- Nie, dzięki. Uważam się za człowieka uczciwego.

Hellfrick wzruszył ramionami i owinął się szlafrokiem.

- W porządku, młody. Chciałem ci tylko wyświadczyć przysługę.

Wróciłem do pisania listu, ale niemal natychmiast zacząłem tęsknić za smakiem mleka. Po jakimś czasie stało się to nie do zniesienia. Położyłem się na łóżku w półmroku i jeszcze przez chwilę toczyłem nierówną walkę z pokusą. Potem uznałem swoją porażkę i zapukałem do drzwi Hellfricka. Wnętrze jego pokoju przypominało krajobraz po bitwie: na podłodze szmatławe magazyny o tematyce westernowej, na łóżku poczerniała pościel, porozrzucane wszędzie części garderoby,

a w ścianie ostentacyjnie puste haczyki na ubrania niby połamane zęby w czaszce. Poza tym brudne talerze na krzesłach, niedopałki zgaszone na parapecie. Pokój był taki jak mój, z tą różnicą, że w kącie umieszczono małą kuchenkę gazową i półki na naczynia. Hellfrick umówił się z właścicielką na niższy czynsz, zapewniając, że sam będzie sprzątał pokój i słał łóżko. Nie robił jednak ani jednego, ani drugiego. Teraz siedział w szlafroku na bujanym fotelu, a wokół jego stóp stały butelki po dżinie. Pił z butelki, którą trzymał w ręku. Zresztą pił zawsze, dniem i nocą, ale nigdy się nie upijał.

- Zmieniłem zdanie - oznajmiłem.

Hellfrick nappełnił usta dżinem, przez chwilę smakował alkohol, po czym przełknął go z niekłamaną rozkoszą.

- To bułka z masłem - zapewnił.

Potem wstał z fotela i podeszedł do leżących na podłodze spodni. Przez chwilę myślałem, że chce zwrócić dług, ale on tylko pogrzebał w kieszeniach w niewiadomym celu i wrócił z pustymi rękami na fotel.

- Właśnie sobie o czymś przypomniałem - odezwałem się.

- Czy mógłbyś mi oddać pieniądze, które ci pożyczyłem?

- Nie mam - odrzekł.

- To może tylko część, powiedzmy, dziesięć centów?

Pokręcił głową.

- Pięć?

- Jestem splukany.

Potem pociągnął kolejny łyk. Tym razem z innej butelki, prawie pełnej.

- Nie mam gotówki, ale dopilnuję, żeby nie zabrakło ci mleka.

Następnie wtajemniczył mnie w szczegóły swojego planu. Mleczarz przyjedzie około czwartej. Wtedy muszę już być na nogach i nasłuchiwać pukania. Zatrzyma go u siebie przez co najmniej dwadzieścia minut.

To był wybieg, sposób na uchylenie się od zwrotu długu, ale ja pragnąłem mleka.

- Długi trzeba zwracać, Hellfrick. Masz szczęście, że nie naliczam odsetek.

- Zapłacę ci, młody - obiecał. - Zwrócę wszystko co do centa, kiedy tylko będę mógł.

Trzasnąłem drzwiami i wróciłem do swojego pokoju. Nie chciałem być chamski, ale tego było już za wiele. Wiedziałem, że Hellfrick płaci co najmniej trzydzieści centów za pół litra dżinu. Mógł więc chyba zapanować nad swoim nałogiem na tyle, by zwrócić dług.

Noc nadciągała niechętnie. Siedziałem przy oknie, robiąc skręty z grubo pokrojonego tytoniu i kwadratowych kawałków papieru toaletowego. Kupiłem tytoń, kiedy lepiej mi się wiodło - całą puszkę z dołączoną bezpłatnie fajką, przyczepioną do puszkki gumką. Potem jednak zgubiłem fajkę. Tytoń był tak gruby, że w zwykłej bibułce do papierosów ledwie się tlił, ale kiedy owinęło się go dwukrotnie papierem toaletowym, powstawał mocny, solidnie zrobiony skręt, który czasem wybuchał płomieniem.

Noc nadciągała powoli - najpierw jej chłodny zapach, następnie ciemność. Za moim oknem rozpościerało się wielkie miasto; latarnie uliczne oraz czerwone, niebieskie i zielone neony budziły się do życia niczym jasne nocne kwiaty. Nie byłem głodny, miałem pod łóżkiem mnóstwo pomarańczy,

a tajemniczy rechot w otchłani mojego żołądka pochodził od uwieczonych tam kłębów dymu tytoniowego, które rozpaczliwie usiłowały wydostać się na zewnątrz.

A więc w końcu do tego doszło: miałem zostać rabusiem, złodziejem mleka. Oto wasz niedoszły geniusz, autor jednego opowiadania, złodziej. Z głową ukrytą w dłoniach kołysałem się w przód i w tył. Matko Boska! Nagłówki w gazetach: „Obiecujący pisarz przyłapany na kradzieży mleka”, „Słynny protegowany J.C. Hackmutha stanął przed sądem pod zarzutem dokonania drobnej kradzieży”. Tłoczący się wokół mnie dziennikarze, błysk fleszy. Prosimy o komentarz, panie Bandini. Jak do tego doszło? Otóż to było tak, moi kochani. Jak wicie, mam mnóstwo pieniędzy ze sprzedaży swoich utworów i w ogóle, ale pracowałem nad opowiadaniem o człowieku, który ukradł litr mleka, więc chciałem to przeżyć na własnej skórze. Oto cała tajemnica, moi kochani. Opowiadanie ukaze się w „Post” i będzie nosić tytuł *Złodziej mleka*. Zostawcie adresy, prześlę wam bezpłatne egzemplarze.

Jednak to nie będzie tak wyglądało, bo nikt nie zna Arturo Bandiniego, dostaniesz pół roku, zabiorą cię do miejskiego więzienia, będziesz kryminalistą. I co powie twoja matka? Co powie twój ojciec? Czy nie słyszysz, jak ci kolesie na stacji benzynowej w Boulder w stanie Kolorado nabijają się z wielkiego pisarza, którego przyłapano na kradzieży mleka? Nie rób tego, Arturo! Jeśli masz jeszcze w sobie choć odrobinę godności, nie rób tego!

Wstałem z krzesła i zacząłem chodzić po pokoju tam i z powrotem. Wszechmogący Boże, daj mi siłę! Słum we mnie te kryminalne zapędy! Nagle cały plan wydał mi się żaloszny

i głupi, bo przyszło mi do głowy coś, o czym jeszcze mógłbym napisać w liście do wielkiego Hackmutha, i przez dwie godziny pisałem, aż rozbolały mnie plecy. Kiedy spojrzałem przez okno na olbrzymi zegar na hotelu St. Paul, dochodziła jedenaście. List do Hackmutha był bardzo długi - liczył już dwadzieścia stron. Przeczytałem go. Wydał mi się głupi. Poczujęm piekące wypieki na twarzy. Hackmuth uzna mnie za idiotę, jeśli wyślę mu list z takimi infantylnymi bredniami. Zebrałem kartki i cisnąłem je do kosza na śmieci. Jutro znów wstanie dzień i może wtedy zrodzi się pomysł na opowiadanie. Tymczasem zjem parę pomarańczy i pójdę spać.

To były nędzne pomarańcze. Siedząc na łóżku, wbijałem paznokcie w ich cienkie skórki. Moja skóra ścierpła na ich widok, usta napełniły się śliną, przymrużyłem oczy. Kiedy zatapiłem zęby w żółtym mięszu, doznałem szoku jak pod zimnym prysznicem. Och, Bandini rozmawiający ze swoim odbiciem w lustrze nad komodą, jakże ty się poświęcasz dla sztuki! Mogłeś zostać prominentnym przedsiębiorcą, księciem handlu, wielkim bejsbolistą, czołowym pałkarzem Ligi Amerykańskiej ze średnią uderzeń 0,415, ale nie! Czołgasz się przez kolejne dni głodny, wierny swojemu świętemu powołaniu. Cóż za bohaterstwo!

Leżałem bezsenne w łóżku pograżony w ciemności. Co na to wszystko powiedziałyby potężny Hackmuth? Przyklasnęłyby, napisał piękny pean na moją cześć. Zresztą ten list do Hackmutha nie był wcale taki zły. Wstałem, wygrzebałem go z kosza i przeczytałem ponownie. Niezwykły list z lekką nutką humoru. Rozbawiłby Hackmutha, nie pozostawiając wątpliwości, iż wyszedł spod pióra autora *Śmiechu małego*

pieska. To dopiero opowiadanie! Otworzyłem szufladę wypełnioną egzemplarzami magazynu, w którym opublikowano mój utwór. Leżąc w łóżku, czytałem je kolejny raz i śmiałem się do rozpuku, podziwiając cięty dowcip, nie mogąc się nadziwić, że ja to napisałem. Potem zacząłem czytać na głos, gestykulując przed lustrem. Kiedy skończyłem, w moich oczach były łzy zachwytu i stanąłem przed zdjęciem Hackmutha, żeby mu podziękować, iż poznał się na moim geniuszu.

Potem usiadłem przy maszynie do pisania i podjąłem pracę nad listem. Czas mijał, stron przybywało. Ach, gdyby wszystko pisało się tak łatwo jak list do Hackmutha! Stron było coraz więcej, dwadzieścia pięć, trzydzieści, a potem nagle spojrzałem na swój pępek i zauważyłem fałdy tłuszczu. Co za ironia! Tyłem, pomarańcze rozpychały mój brzuch! Natychmiast wstałem i przystąpiłem do ćwiczeń. Skłony, przysiady, skręty tułowia. Pot lał się ze mnie strumieniami, dostałem zadyszki. Spragniony i wycieńczony, padłem na łóżko. Szklanka chłodnego mleka dobrze by mi teraz zrobiła.

W tym momencie usłyszałem pukanie do drzwi Helłfricka. Potem jego burknięcie, kiedy ktoś wchodził do środka. To mógł być tylko mleczarz. Spojrzałem na zegar, dochodziła czwarta. Ubrałem się szybko: spodnie, buty, sweter. Korytarz był pusty i wyglądał złowieszczo w czerwonym świetle starej żarówki. Nie skradałem się, zmierzałem pewnym krokiem, jakbym kierował się do toalety na końcu korytarza. Zszedłem dwa piętra irytująco poskrzypującymi schodami i już byłem na dole. Czerwono-biała ciężarówka firmy Alden stała nieopodal hotelu, w wąskiej uliczce zalanej księżycową poświatą. Sięgnąłem do wnętrza pojazdu i pewnym ruchem złapa-

lem za szyjki dwie litrowe butelki mleka. Czułem je w dłoniach - chłodne, wspaniałe. Po chwili byłem już z powrotem w swoim pokoju. Postawiłem butelki na komodzie. Zdawały się wypełniać sobą cały pokój. Były jak kobiety - piękne, zdrowe i bogate.

Hej, Arturo, szczęściarz z ciebie! Może zawdzięczasz to modlitwom matki, a może Bóg wciąż cię miłuje, mimo że zadajesz się z ateistami, tak czy owak, szczęściarz z ciebie.

Przez wzgląd na stare czasy ukląknęłam i odmówiłam modlitwę dziękczynną, tak jak to robiliśmy w szkole podstawowej, tak jak uczyła mnie w domu matka: „Pobłogosław, Panie Boże, nas i te dary, które z Twej szczodroblewości spożywać mamy. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”. Jednak nie poprzestałam na tej jednej modlitwie. Klęczałam jeszcze długo po tym, jak mleczarz opuścił pokój Hellfricka, modliłam się przez dobre pół godziny, aż zapragnąłem spróbować mleka, aż rozboleły mnie kolana i poczułem tępy ból w łopatkach.

Kiedy wstałem z klęczek, zatoczyłem się, bo miałem zdrętwiałe nogi, ale wiedziałem, że warto było. Wyjąłem ze szklanki szczoteczkę do zębów, otworzyłem jedną z butelek i nalałem do pełna. Następnie odwróciłem się i spojrzałem na wiszące na ścianie zdjęcie J.C. Hackmutha.

- Twoje zdrowie, Hackmuth! Niech ci się wiedzie!

A potem piłem łączywie do chwili, gdy ścisnęło mnie w gardle i wstrętny smak wstrząsnął całym moim jestestwem. Takiego mleka nie cierpiałem. To była maślanka. Wypłułem ją, wypłukałem usta wodą i spojrzałem na drugą butelkę. W niej też była maślanka.

4

BAR PRZY SPRING STREET, naprzeciwko sklepu z używaną odzieżą. Poszedłem tam na kawę z ostatnią pięciocentówką. Miejsce w dawnym stylu, trociny na podłodze, niechlujnie namalowane akty na ścianach. Kowbojski saloon, gdzie spotykali się starzy ludzie, piwo było tanie i kwaśne, a przeszłość trzymała się mocno.

Usiadłem przy jednym ze stolików pod ścianą. Pamiętam, że siedziałem z głową ukrytą w dłoniach, a kiedy usłyszałem jej głos, nawet nie podniosłem wzroku. Pamiętam, że spytała, co podać, a ja poprosiłem o kawę ze śmietanką. Siedziałem tak do czasu, aż postawiła przede mną filiżankę, długo tak siedziałem, myśląc o swoim beznadziejnym losie.

Kawa była bardzo niedobra. Kiedy śmietanka wymieszała się z nią, zdałem sobie sprawę, że to wcale nie jest śmietanka, bo kawa przybrała szarą barwę i smakowała jak pomyje. Miałem ostatnie pięć centów, więc trochę mnie to wkurzyło. Rozejrzałem się za kelnerką, która mnie obsługiwała. Stała pięć czy sześć stolików dalej i podawała gościom piwo z tacy. Była od-

wrócona do mnie plecami, zobaczyłem miękką linię jej ramion pod białym fartuszkim, lekko zarysowane mięśnie rąk i czarne włosy - gęste i lśniące.

Kiedy się w końcu odwróciła, pomachałem do niej. Niezwykle ją to zainteresowało, uniosła brwi w wyrazie znudzenia i wyniosłości. Jeśli pominąć kontur twarzy i wspinałe zęby, nie była piękna. W tamtym jednak momencie uśmiechnęła się do jednego ze starych klientów i dostrzegłem błysk nieskazitelnej bieli. Miała nos typowy dla Majów, płaski z szerokimi nozdrzami, mocno umalowane na różowo usta, wargi grube jak Murzynka. Z taką niebanalną, latynoską urodą mogła się podobać, ale dla mnie jej uroda była zbyt dziwna. Skośne oczy, skóra ciemna, ale nie czarna. Kiedy szła, jędrny biust lekko falował.

Po pierwszym spojrzeniu rzuconym w moją stronę zignorowała mnie. Podeszła do baru, zamówiła kolejne piwa i czekała, aż chudy barman napełni kufle. Czekając, pogwizdywała sobie pod nosem, zerknęła na mnie przelotnie i dalej gwizdała. Przestałem machać, uznawszy, że dałem jej wystarczająco jasno do zrozumienia, że chcę, by podeszła do mojego stolika. Nagle odchyliła głowę do tyłu i, nie wiedzieć czemu, wybuchnęła śmiechem, nawet barman wydawał się tym zdziwiony. Potem oddaliła się tanecznym krokiem, wywijając zgrabnie tacą, lawirując między stolikami w kierunku grupki gości w głębi sali. Barman powiódł za nią wzrokiem, wciąż skonfundowany jej śmiechem. Ale ja znałem powód tego śmiechu. Chodziło o mnie. Śmiała się ze mnie. Było coś w moim wyglądzie, mojej twarzy pozie przy stoliku - coś, co ją rozbawiło. Zacisnąłem pięści, czując złość i upokorzenie. Potem dotknąłem włosów -

były uczesane. Pomacałem kołnierzyk i krawat - wszystko w porządku. Wychyliłem się tak, by móc zobaczyć swoje odbicie w barowym lustrze - owszem, twarz miałem smutną i pobladłą, ale bynajmniej nie śmieszna. Kipiałem ze złości.

Zacząłem się uśmiechać szyderczo, obserwowałem ją i uśmiechałem się. Nadal nie chciała podejść do mojego stolika. Chwilami była bardzo blisko, nawet przy sąsiednim stoliku, ale dalej się nie zapuszczała. Ilekroć widziałem jej ciemną twarz, duże, czarne, roześmiane oczy, wyginałem usta w szyderczym uśmieszku. To stało się dla mnie rodzajem zabawy. Kawa stygła, na jej powierzchni utworzyła się mleczna zawiesina, aleja nawet jej nie tknąłem. Dziewczyna poruszała się jak tancerka na swoich silnych jedwabistych nogach, a kiedy śmigała po marmurowej posadzce, do jej porwanych butów przyczepiały się trociny.

Te buty to były *huaraches*, sandały ze skórzanej plecionki, bardzo zniszczone *huaraches*; niektóre skórzane paseczki się rozplatały. Gdy ujrzałem te buty, niezmiernie się ucieszyłem, bo oto znalazłem u tej dziewczyny coś, co zasługiwało na krytykę. Była wysoka, miała około dwudziestu lat i proste ramiona - istota bez skazy, gdyby nie te porwane buty. Skupiłem na nich wzrok, wodziłem za nimi oczami, nawet obracałem się na krześle i wyciągałem szyję, żeby na nie popatrzeć, a czyniąc to, uśmiechałem się szyderczo i chichotałem w duchu. Czerpałem z tego wszystkiego nie mniejszą uciechę niż ona z widoku mojej twarzy czy też czegoś innego, co ją we mnie tak rozbawiło. Moje zachowanie stropiło dziewczynę. Coraz rzadziej wykonywała taneczne piruety, zaczęła przemykać szybko tam i z powrotem, a potem już tylko skradała

się ostrożnie niczym lis. Była wyraźnie zakłopotana, raz nawet spojrzała na swoje buty. Po kilku minutach już się nie śmiała, jej twarz przybrała ponury wyraz, a ona sama popatrywała na mnie z gorzką nienawiścią.

Byłem wniebowzięty, dziwnie szczęśliwy. Poczulem ulgę. Na świecie roilo się od zabawnych ludzi. Kiedy chudy barman spojrział w moją stronę, puściłem do niego oko. Odpowiedział kiwnięciem głowy. Westchnąłem i odchyliłem się na krzesło, pogodzony z życiem.

Kelnerka nie wzięła jeszcze pieniędzy za kawę. W końcu musiała to zrobić, chyba że zostawiłbym pięciocentówkę na stoliku i wyszedł. Ale ja nie zamierzałem wychodzić. Czekałem. Minęło pół godziny. Gdy teraz szła do baru po piwo, nie stawała przy kontuarze, gdzie widziałbym ją jak na dłoni, ale wchodziła tam od tyłu. W ogóle już na mnie nie spoglądała, lecz ja wiedziałem, że ona wie, iż ją obserwuję.

W końcu podeszła do mojego stolika. Uczyniła to dumnie, z podniesionym czołem i opuszczonymi po bokach rękami. Próbowałem się gapić na jej buty ale to było ponad moje siły. Odwróciłem wzrok, nie przestając się uśmiechać.

- Życzy pan sobie czegoś jeszcze? - zapytała.

Jej biały fartuszek pachniał krochmalem.

- To ma być kawa? - rzuciłem.

Wtedy znów się roześmiała. To był histeryczny, szalony śmiech przypominający brzęk tłuczonych naczyń, trwał jednak tylko chwilę. Znów spojrzałem na jej buty. Czułem, że lekko spanikowała. Chciałem ją zranić.

- Może to wcale nie jest kawa? - powiedziałem. - Może to woda, w której wygotowano twoje paskudne buty? -

Spojrzałem w jej czarne płonące oczy. - Może sama nie wiesz? Może ciebie w ogóle nic nie obchodzi? Ale ja na twoim miejscu nie pokazywałbym się w tych butach na Main Street.

Kiedy skończyłem, byłem zasapany. Jej grube wargi drżały, zaciśnięte pięści wypychały kieszenie fartuszka.

- Nienawidzę cię - oznajmiła.

Czułem jej nienawiść, a mimo to znów uśmiechnąłem się szyderczo.

- To dobrze - odrzekłem. - Bo musi być coś szczególnego w człowieku, który budzi w tobie nienawiść.

Potem powiedziała coś dziwnego. Dobrze to pamiętam.

- Mam nadzieję, że umrzesz na zawał. Tutaj, na tym krześle.

Sprawiło jej to niekłamaną satysfakcję, mimo że się roześmiałem. Odeszła od stolika z uśmiechem na ustach. Potem stała przy barze, czekając na piwo, z wlepionymi we mnie oczami rozjaśnionymi jej dziwnym życzeniem, i poczułem się nieswojo, jednak śmiałem się dalej. A ona znów zaczęła tańczyć. Śmigiała z tacą od stolika do stolika i ilekroć na nią spojrzełem, posyłała mi złowrogi uśmiech, aż w końcu podziałało to na mnie i pomyślałem o swoim organizmie - o biciu mojego serca i trzepotaniu w brzuchu. Czułem, że dziewczyna już nie podejdzie do mojego stolika. Pamiętam, że byłem z tego zadowolony i że ogarnął mnie dziwny niepokój, tak iż zapragnąłem jak najprędzej opuścić tamto miejsce, wydostać się poza zasięg jej uśmiechu. Zanim wyszedłem, zrobiłem coś, co sprawiło mi wielką przyjemność. Wyjąłem z kieszeni pięciocentówkę i położyłem ją na stoliku. Następnie wylałem na nią pół filiżanki kawy, wiedząc, że dziewczyna będzie musiała to wytrzeć. Brązowa ciecz rozlała się po blacie stolika, a kiedy

wstałem, żeby wyjść, skapywała już na podłogę. Przystanąłem przy drzwiach, by spojrzeć na kelnerkę raz jeszcze. Wciąż uśmiechała się złowrogo. Kiwnąłem głową w stronę rozlanej kawy. Potem zasalutowałem na pożegnanie i wyszedłem na ulicę. Znowu się dobrze poczułem. Znowu było tak jak wcześniej. Na świecie roiło się od zabawnych sytuacji.

Nie pamiętam, co robiłem potem. Może udałem się do Benny'ego Cohena, który mieszkał nad Targiem Centralnym. Benny miał drewnianą nogę z małymi drzwiczkami. W środku były skręty z marihuany. Sprzedawał je po piętnaście centów za sztukę. Sprzedawał też gazety - „Examinera” i „Timesa”. W jego pokoju piętrzył się stos egzemplarzy komunistycznego periodyku „New Masses”. Może Benny jak zwykle przygłębził mnie swoją ponurą wizją przyszłości. Może wymierzył we mnie poplamione palce i przeklął za zdradę proletariatu, z którego się wywodziłem. Może jak zawsze wyszedłem od niego roztrzęsiony i zbiegłem po brudnych schodach na zasnutą mgłą ulicę, pragnąc zacisnąć palce na szyi pierwszego spotkanego imperialisty. Może tak, może nie. Nie pamiętam.

Jednak pamiętam, co działo się ze mną tamtej nocy w moim pokoju. Neony hotelu St. Paul rzucały na łóżko czerwone i zielone refleksy, kiedy w nim leżałem cały w dreszczach, tęskniąc za gniewem tej dziewczyny, jej tańcem między stolikami i spojrzeniem jej czarnych oczu. To pamiętam doskonale, nawet lepiej niż to, że byłem biedny i nie miałem pomysłu na opowiadanie.

Zacząłem jej szukać wczesnym rankiem. O ósmej byłem już na Spring Street. Miałem w kieszeni egzemplarz *Śmiechu*

małego pieska. Nie ulegało kwestii, że kelnerka zmieni zdanie na mój temat, kiedy przeczyta to opowiadanie. Miałem je w tylnej kieszeni spodni, podpisane, gotowe do podarowania przy najbliższej okazji. Ale o tej porze bar był jeszcze zamknięty. Nazywał się Columbia Buffet. Przycisnąłem nos do szyby i zajrzałem do środka. Krzesła były ustawione na stolikach, a jakiś starszy mężczyzna w gumowych butach zmywał podłogę. Poszedłem dalej ulicą, do pierwszej lub drugiej przecznicy. Wilgotne powietrze było już niebieskawe od oparów tlenu węgla. Nagle przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Wyjąłem magazyn i zamazałem autograf. Potem napisałem dedykację: „Dla księżniczki Majów od podłego gringo”. Wydawała się w porządku, w odpowiednim duchu. Wróciłem do Columbia Buffet i zapukałem w okno. Staruszek otworzył drzwi. Miał mokre ręce, z jego włosów skapywał pot.

- Jak się nazywa dziewczyna, która tu pracuje? - zapytałem.

- Chodzi panu o Camillę?

- O dziewczynę, która była tu wczoraj.

- Tak, to ona - powiedział. - Camilla Lopez.

- Mógłby pan jej to dać? - zapytałem. - Niech pan powie, że ktoś prosił, żeby jej to przekazać.

Staruszek wytarł ręce w fartuch i wziął magazyn.

- Proszę na to uważać - dodałem. - To cenna rzecz.

Staruszek zamknął drzwi. Widziałem przez szybę, jak kuśtyka z powrotem do swojego mopa i wiadra. Położył magazyn na barze i znów zabrał się do pracy. Lekki powiew wiatru przewrócił kartki magazynu. Idąc potem ulicą, bałem się, że staruszek zapomni o mojej prośbie, a kiedy dotarłem

do Civic Center, zdałem sobie sprawę, że popełniłem wielki błąd, gdyż moja dedykacja nie zrobi na tej dziewczynie żadnego wrażenia. Wróciłem szybko do Columbia Buffet i zastukałem w okno. Słyszałem, jak staruszek gdera pod nosem i przeklina, mocując się z zamkiem. Otarł pot ze swoich starych oczu i ujrzał mnie ponownie.

- Może mi pan dać ten magazyn? - poprosiłem. - Chciałbym coś napisać.

Staruszek nic z tego nie rozumiał. Westchnął, pokręcił głową i powiedział, żebym wszedł.

- Sam pan sobie weź, do cholery. Mam robotę.

Rozłożyłem magazyn na barze, zamazałem dedykację i napisałem:

Szanowna Właścicielko Porwanych Butów,

Może o tym nie wiesz, ale wczorajszego wieczoru obraziłaś autora tego opowiadania. Umiesz czytać? Jeśli tak, poświęć piętnaście minut na lekturę tego arcydzieła. A następnym razem uważaj, bo nie każdy, kto wstępuje do tej speluny, jest me-nelem.

Arturo Bandini

Potem próbowałem podać magazyn staruszkowi, ale nawet nie podniósł na mnie wzroku.

- Proszę to przekazać panie Lopez - powiedziałem. - Proszę oddać do rąk własnych.

Staruszek upuścił mopa, otarł pot z pomarszczonej twarzy i wskazał mi drzwi.

- Wynocha! - wrzasnął.

Położyłem magazyn na barze i zacząłem się oddalać nie spiesznym krokiem. W drzwiach odwróciłem się i pomachałem na pożegnanie.

5

NIE UMIERAŁEM Z głodu. Miałem jeszcze stare pomarańcze pod łożkiem. Tego wieczoru zjadłem trzy albo cztery, a kiedy zapadł zmrok, ruszyłem w dół Bunker Hill, kierując się do centrum miasta. Stałem w zacienionym wejściu naprzeciwko Columbia Buffet, po drugiej stronie ulicy, i obserwowałem Camille Lopez. Wyglądała tak samo, miała na sobie ten sam biały fartuszek. Przeszedł mnie dreszcz, gdy ją ujrzałem, a w gardle pojawiło się dziwne uczucie gorąca. Jednak po kilku minutach ustąpiło. Stałem tam tak długo, że w końcu rozbolały mnie nogi.

Poszedłem stamtąd, kiedy zobaczyłem zmierzającego w moim kierunku policjanta. To była upalna noc. Kłęby piasku z pustyni Mojave przypuściły szturm na miasto. Drobne brązowe ziarenka przyklejały się do moich palców, ilekroć czegoś dotykałem, a gdy wróciłem do swojego pokoju, okazało się, że piasek dostał się do mechanizmu mojej nowej maszyny do pisania. Miałem go w uszach i we włosach. Kiedy zdejmowałem ubranie, wysypał się na podłogę. Był nawet

w mojej pościeli. Leżałem potem w ciemności na łóżku, czerwone światło zapalającego się i gasnącego neonu na hotelu St. Paul, które teraz przybrało upiorny niebieskawy odcień, wpadało do mojego pokoju i zaraz z niego uciekało.

Nazajutrz rano nie mogłem jeść pomarańczy. Na samą myśl o nich robiło mi się niedobrze. W południe, po bezcelowym spacerze do centrum, byłem już pogrążony w bezbrzeżnym żalu nad samym sobą, całkowicie bezradny wobec przytłaczającego mnie smutku. Kiedy wróciłem do hotelu, rzuciłem się na łóżko i zacząłem płakać rzewnymi łzami. Płakałem każdą cząstką siebie, a gdy już nie mogłem dłużej płakać, poczułem się lepiej. Poczuję się czysty i prawdomówny. Napisałem do matki szczery list. Przyznałem się w nim, że okłamywałem ją tygodniami, i poprosiłem o pieniądze na powrót do domu.

Kiedy pisałem, wszedł Hellfrick. Był w spodniach, nie miał na sobie szlafroka, więc w pierwszej chwili go nie poznałem. Położył na biurku piętnaście centów.

- Jestem uczciwym człowiekiem - powiedział. - Jestem uczciwy jak mało kto.

I wyszedł.

Zgarnąłem dłonią monety, wyskoczyłem przez okno i pobiegłem do sklepu spożywczego. Drobnym Japończykiem stał z papierową torbą przy stercie pomarańczy. Zdziwił się, kiedy go minąłem i wszedłem do sklepu. Kupiłem dwa tuziny ciasteczek. Siedząc potem na łóżku, pałaszowałem je w zawrotnym tempie i popijałem wodą. Znowu poczułem się lepiej. Byłem najedzony i zostało mi jeszcze pięć centów. Podarłem list do matki i położyłem się na łóżku, żeby przeczekać do wieczora. Dzięki tym pięciu centom mogłem po-

nownie odwiedzić Columbia Buffet. Czekałem z sytym żołądkiem i z nienasyconym sercem.

Zobaczyła mnie, kiedy wchodziłem, i ucieszyła się na mój widok. Poznałem to po tym, że otworzyła szeroko oczy. Jej twarz pojaśniała, a ja znów poczułem dziwny ucisk w gardle. I oto nagle byłem szczęśliwy, pewny siebie, czysty i przepelniony młodością. Usiadłem przy pierwszym stoliku, tym samym co poprzednio. Tego wieczoru była muzyka na żywo. Grały dwie otyłe kobiety o męskich rysach i krótko ostrzyżonych włosach, jedna na skrzypcach, druga na pianinie. Utwór nazywał się *Over the Waves*. Ta da da da. Obserwowałem Camillę, kiedy tańczyła z tacą. Miała takie czarne włosy, gęste i skłębione niczym kiść winogron zasłaniających szyję. To było święte miejsce, ten bar. Wszystko tam było święte - krzesła, stoliki, ścierka w jej dłoni, trociny pod jej stopami. Ona była księżniczką Majów, a to był jej pałac. Obserwowałem porwane *huaraches* śmigające po posadzce i pragnąłem stać się ich właścicielem. Chciałem przyciskać je do serca, kiedy będę zasypiał. Chciałem je trzymać w dłoniach i wdychać ich zapach.

Ani razu nie zbliżyła się do mojego stolika, ale mnie to odpowiadało. Jeszcze nie podchodź, Camillo; pozwól mi posiedzieć tu trochę i oswoić się z sytuacją; zostaw mnie samego z moimi myślami, niech mój umysł szybuje swobodnie w nieskończonej przestrzeni twojego olśniewającego uroku, zostaw mnie z tym nienasyceniem, z tym snem na jawie.

W końcu podeszła, niosąc na tacy filiżankę kawy. To była taka sama kawa, w takiej samej filiżance - obtłuczonej

i przybrudzonej. Podeszła z oczami czarniejszymi i szerzej otwartymi niż poprzednio, stąpając lekko, uśmiechając się tajemniczo, a serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe i myślałem, że za chwilę zemdleję. Kiedy stanęła obok mnie, wyczułem lekki zapach jej potu zmieszany z cierpką czystością wykrochmalonego fartuszka. Ta woń mnie poraziła, oszołomiła, więc zacząłem oddychać przez usta, żeby jej nie czuć. Dziewczyna uśmiechnęła się, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie ma mi za złe, iż poprzednim razem rozlałem kawę; mało tego, odniosłem wrażenie, że mój postępek jej się spodobał, że sprawił jej przyjemność, że była mi za niego wdzięczna.

- Nie zauważyłam wcześniej, że masz piegi - powiedziała.

- Piegi jak piegi - odparłem.

- Przepraszam za kawę. Wszyscy zamawiają piwo, kawa nie cieszy się uznaniem wśród naszych klientów.

- Nie cieszy się uznaniem, bo jest paskudna. Ja też zamówiłbym piwo, gdyby było mnie na nie stać.

Pokazała ołówkiem na moje dłonie.

- Ogryzasz paznokcie. Nie powinienes tego robić.

Schowałem ręce do kieszeni.

- A kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mam robić?

- Chcesz piwo? - spytała. - Przyniosę ci. Nie musisz za nie płacić.

- Nie musisz mi niczego przynosić. Wypiję tę pozał się Boże kawę i zmywam się stąd.

Podeszła do baru i zamówiła piwo. Widziałem, jak płaci za nie jakimiś drobnymi, które wygrzebała z kieszeni fartuszka. Potem przyniosła je i postawiła mi przed nosem. To mnie uraziło.

- Zabierz to - powiedziałem. - Chcę kawę, nie piwo.

Zawołał ją ktoś z głębi sali i odeszła szybkim krokiem. Kiedy nachyliła się nad jakimś stolikiem, żeby zabrać puste kufle, ujrzałem tyły jej kolan. Poruszyłem się na krześle i przypadkowo potrafiłem coś nogą. To była spluwaczka. Dziewczyna znów stała przy barze - kiwała do mnie głową, uśmiechała się, zachęcała gestami, żebym wypił piwo. Zaświtał mi w głowie diabelski plan. Przyciągnąłem jej uwagę, po czym wylałem piwo do spluwaczki. Białe zęby Camilli przygryzły dolną wargę, a z jej twarzy odpłynęła krew. Oczy płonęły złością. To było naprawdę przyjemne, poczułem ogromną satysfakcję. Odchyliłem się na krześle i uśmiechnąłem do sufitu.

Camilla zniknęła za cienkim przepierzeniem, za którym była kuchnia. Potem znów się pojawiła, cała rozpromieniona. Trzymała ręce za plecami, ukrywając coś. Następnie zza przepierzenia wyłonił się staruszek, którego poznałem tamtego ranka, i też wyszczerzył zęby w uśmiechu. Camilla pomachała do mnie. Najgorsze było dopiero przede mną, czułem, że zbliża się nieuchronnie. Dziewczyna wyjęła zza pleców magazyn literacki niewielkich rozmiarów, zawierający opowiadanie *Śmiech matego pieska*, i pomachała nim. Ten spektakl był przeznaczony tylko dla mnie i dla staruszka, bo Camilla znajdowała się poza zasięgiem wzroku innych gości. Patrzyłem szeroko otwartymi oczami. Zaschło mi w ustach, kiedy zobaczyłem, jak dziewczyna ślini palce i przewraca kartki w poszukiwaniu mojego opowiadania. Potem ścisnęła kolanami magazyn, wykrzywiła usta i wyrwała kilka kartek. Następnie uniosła je i machała nimi przez chwilę, uśmiechając się. Staruszek kiwał głową z aprobatą. Uśmiech na twarzy

dziewczyny zmienił się w wyraz determinacji, gdy zaczęła rwać kartki na coraz mniejsze kawałki. Potem pełnym namaszczenia gestem wypuściła strzepy z rąk, pozwalając im sfrunąć do spluwaczki, która stała u jej stóp. Próbowałem się uśmiechnąć. Camilla ze znużeniem otrzepała dłonie, jakby otrzepywała je z kurzu. Oparła rękę na biodrze, wzruszyła ramieniem i odmaszerowała dumnym krokiem. Staruszek stał tam jeszcze przez chwilę, ale ponieważ spektakl dobiegł końca, wkrótce i on wszedł za przepierzenie.

Siedziałem, uśmiechając się ponuro i opłakując w duchu *Śmiech małego pieska*, każdą udaną frazę, każdy przebłysk poezji, moje pierwsze opowiadanie, jedyną rzecz, którą mogłem się pochwalić. To był zapis wszystkiego, co we mnie najlepsze, zatwierdzone i wydrukowane przez wielkiego J.C. Hackmutha, a ona to podarła i wyrzuciła do spluwaczki.

Po jakimś czasie odsunąłem krzesło i wstałem, żeby wyjść. Obserwowała mnie, stojąc przy barze. Na jej twarzy malował się nikły uśmiech współczucia, jakby żałowała tego, co zrobiła, ale ja odwróciłem wzrok i wyszedłem na ulicę. Byłem zadowolony, że obrzydliwy łoskot tramwajów i dziwaczne odgłosy miasta uderzyły we mnie jak lawina, pograżając w ogłuszającym huku i wrzawie. Włożyłem ręce do kieszeni i ruszyłem przed siebie.

Po przejściu około pięćdziesięciu stóp usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się. To była ona. Biegła w moją stronę, pobrzękując monetami, które miała w kieszeniach.

- Młodzieńcze! - zawołała.

Poczekałem na nią. Mówiła szybko, przyjaznym tonem, z trudem łapiąc oddech.

- Przepraszam, nie chciałam - zapewniła. - Naprawdę.

- W porządku - odrzekłam. - Nic się nie stało.

Zerkała nerwowo w stronę baru.

- Muszę wracać - powiedziała. - Będą mnie szukać.

Przyjdź jutro wieczorem, dobrze? Proszę! Potrafię być miła.

Przepraszam za to, co się stało. Przyjdź, proszę! - Ścisnęła moją rękę. - Przyjdziesz?

- Może.

Uśmiechnęła się.

- Wybaczysz mi?

- Jasne.

Stojąc na środku chodnika, patrzyłem, jak dziewczyna wraca szybciotko do baru. Po kilku krokach odwróciła się, posłała mi całusa i zawołała:

- Jutro wieczorem! Nie zapomnij!

- Camillo! - odkrzyknąłem. - Zaczekaj!

Zaczęliśmy biec ku sobie i spotkaliśmy się w pół drogi.

- Mów szybko! Wyleją mnie!

Spojrzałem na jej buty. Wyczuła, co się święci, i lekko się wzdrygnęła. Za to ja poczułem się wspaniale, rześko jak nowo narodzony. Mówiłem powoli.

- Te twoje *huaraches*... Naprawdę musisz je nosić, Camillo? Musisz podkreślać to, że zawsze byłeś i zawsze będziesz brudną Latynoską?

Rozdziawiła usta i popatrzyła na mnie z przerażeniem. Potem szybkim ruchem zakryła usta i pobiegła do baru. Słyszałem, jak wzdycha: „Och, och, och!”.

Wzruszyłem ramionami i zacząłem iść, pogwizdując wesoło. W ulicznym rynsztoku dostrzegłem długi niedopałek.

Podniosłem go bez żadnych ceregieli, stojąc jedną nogą w rynsztoku, a potem zapaliłem, zaciągnąłem się i wypuściłem dym w stronę gwiazd. Byłem Amerykaninem, dumnym z tego faktu jak diabli. To wielkie miasto, te nadzwyczajne ulice i okazałe budynki to głos Ameryki. Na pustyni porośniętej kaktusami my, Amerykanie, zbudowaliśmy imperium. Przodkowie Camilli też mieli swoją szansę, ale jej nie wykorzystali. My, Amerykanie, dokonaliśmy tego cudu. Dzięki Ci, Boże, za mój kraj. Dzięki Ci, że jestem Amerykaninem.

WRÓCIŁEM DO HOTELU pokrytymi pyłem schodami Bunker Hill, ciemną ulicą między przybrudzonymi sadzą ruderami i nikomu niepotrzebnymi palmami, które dławily się piaskiem, olejem i tłuszczem - umierający skazańcy ze stopami zatopionymi w czarnym asfalcie. Pył, stare domy i starzy ludzie siedzący w oknach, wychodzący niepewnie na zewnątrz, wlokący się z trudem ciemną ulicą. Starzy ludzie z Indiany, Iowa i Illinois, z Bostonu, Kansas City i Des Moines. Sprzedali swoje domy i sklepiki, a potem przyjechali pociągami i samochodami do krainy słońca, żeby umrzeć w słonecznym blasku, zabrali tylko tyle pieniędzy, by starczyło do czasu, aż słońce ich zabije, opuścili rodzinne strony u kresu swych dni, porzucając dostatnie życie w Kansas City, Chicago czy Peorii, żeby znaleźć dla siebie słoneczny zakątek. Ale kiedy tu przybyli, zobaczyli, że inni, więksi cwaniacy, już zawładnęli tym miejscem, że nawet słońce należy do innych. Smith, Jones i Parker, aptekarz, bankier i piekarz, skazani na śmierć w słońcu. Na ich butach pył z Chicago, Cincinnati i Cleveland, w banku

parę dolarów, dość, by wykupić prenumeratę „Los Angeles Times”, dość, by podtrzymać iluzję, że żyją w raju, a ich małe domki z papier-mâché to prawdziwe pałace. Smutni wygnañcy z pustką w sercu, starzy i młodzi, podobni do ludzi z moich rodzinnych stron. To byli moi pobratymcy, nowi Kalifornijczycy. W jasnych koszulkach polo i okularach przeciwsłonecznych żyli sobie w raju, przynależeli do niego.

Ale na Main Street, w San Pedro i Towne, a także przy długim na milę dolnym odcinku Piątej Ulicy mieszkały dziesiątki tysięcy innych ludzi, takich, których nie było stać na okulary przeciwsłoneczne ani na koszulkę polo za pięćdziesiąt centów, ci nieszczęśnicy kryli się w bocznych uliczkach za dnia i wracali chyłkiem na noc do swoich brudnych nor. W Los Angeles gliny nie zapuszczają cię za wścążostwo, jeśli nosisz elegancką koszulkę polo i okulary przeciwsłoneczne. Ale jeśli masz pył na butach i chodzisz w grubym swetrze, takim jak te noszone w zimnych krajach, zgarną cię na pewno. Sprawcie więc sobie, chłopaki, koszulki polo, okulary przeciwsłoneczne i białe buty. Wszyscy chodźmy tak ubrani. Bo was też to z czasem dopadnie. Kiedy naczytacie się „Timesa” i „Examinera”, zatęsknicie za słonecznym Południem. Będziecie jeść hamburgery rok po roku i mieszkać w brudnych, zarobaczonych mieszkankach lub hotelikach, ale każdego ranka waszym oczom ukaże się cudowne słońce i wieczny błękit nieba, a na ulicach będzie się roiło od powabnych kobiet, których nigdy nie posiadziecie, półtropikalne noce będą zachęcać do romansów, których nigdy nie zaznacie, ale będziecie w raju, chłopaki, w krainie słońca.

Okłamujcie swoich ziomków, bo oni nienawidzą prawdy, nie chcą jej znać, a to dlatego, że też prędzej czy później zapragną znaleźć się w raj. Oni wiedzą swoje, chłopaki. Oni wiedzą, jak jest w południowej Kalifornii. Czytali o tym w gazetach, oglądali kolorowe magazyny, których pełno w kioskach jak Ameryka długa i szeroka. Widzieli zdjęcia domów gwiazd filmowych. Znają Kalifornię na wylot.

Myślałem o nich, leżąc w łóżku i obserwując plamy czerwonego światła z hotelu St. Paul, które pojawiały się i znikwały w moim pokoju. Było mi źle, bo tego wieczoru zachowałem się jak oni, Smith, Parker i Jones. A przecież do tej pory nic mnie z nimi nie łączyło. Och, Camillo! Kiedy byłem chłopcem dorastającym w Kolorado, to właśnie Smith, Parker i Jones ranili mnie, obrzucając wyzwiskami, nazywając makaroniarzem, italiańcem, ich dzieci też mnie raniły, tak jak ja dzisiaj zraniłem ciebie. Ranili mnie tak bardzo, że nie mogłem stać się jednym z nich, uciekłem w książki, uciekłem w siebie, uciekłem z rodzinnego miasta w Kolorado, i kiedy teraz widuję ich twarze, Camillo, dawny ból powraca, ale cięższe się, że tutaj są, że umierają w słońcu, z dala od domu, oszukani przez własną bezduszość, to są wciąż te same twarze, surowe, harde twarze z mojego rodzinnego miasteczka, twarze ludzi dokonujących swego pustego żywota w palącym słońcu.

Widzę ich w holach hotelowych, widzę, jak opalają się w parkach, jak wychodzą, powłócząc nogami z brzydkich małych kościołów - ze Świątyni Aimee, z Kościoła Wielkiego Ja Jestem - wychodzą stamtąd ze smętnymi minami, przynębeni kontaktem ze swoimi dziwnymi bożkami.

Widzę, jak wytaczają się ze swoich filmowych pałaców i kolejny raz mrużą puste oczy na widok brutalnej rzeczywistości, jak wracają chwiejnym krokiem do swoich domów, żeby przeczytać „Timesa”, dowiedzieć się, co słychać na świecie. Czytam z obrzydzeniem ich gazety, obcuję z ich literaturą, obserwuję ich zwyczaje, oglądam ich sztukę. Ale jestem biedny, moje nazwisko kończy się na miękką samogłoskę i dlatego mnie nienawidzą, nienawidzą mojego ojca i ojca mojego ojca, chętnie by mnie dopadli, sponiewierali, lecz są już starzy, umierają w słońcu i w gorącym pyle, a ja jestem młody, pełen nadziei, kocham swój kraj i czasy, w których żyję, więc kiedy mówię o tobie „brudna Latynoska”, nie mówi tego moje serce, ale stara, niezasklepiona jeszcze rana, i wstydę się tego, co zrobiłem.

7

MYŚLĘ O ALTA ŁOMIE, O ludziach, którzy tam mieszkali. Pamiętam swój pierwszy dzień w tym hotelu. Pamiętam, jak wszedłem do ciemnego holu z dwiema walizkami, z których jedna była wypchana egzemplarzami *Śmiechu małego pieska*. To było dawno, ale dobrze to wszystko pamiętam. Przyjechałem autobusem, cały w kurzu, z pyłem Wyoming, Utah i Nevady we włosach i uszach.

- Chciałbym wynająć niedrogi pokój - powiedziałem.

Właścicielka miała siwe włosy. Koronkowy kołnierzyk opinał jej szyję ciasno niczym gorset. Była wysoką kobietą po siedemdziesiątce. Żeby wyglądać na jeszcze wyższą, stawiała na palcach i patrzyła na mnie znad okularów.

- Ma pan pracę? - zapytała.

- Jestem pisarzem - odparłem. - Udowodnię pani.

Otworzyłem walizkę i wyjąłem jeden egzemplarz magazynu.

- Ja to napisałem - pochwaliłem się. W tamtym okresie byłem jeszcze pełen zapału i bardzo z siebie dumny. - Podaruję pani egzemplarz z autografem.

Wziąłem z kontuaru pióro i zanurzyłem w atramencie, a potem przez chwilę oblizywałem usta, zastanawiając się, co napisać.

- Pani godność? - spytałem.

- Hargraves, a co? - burknęła niechętnie.

Nie odpowiedziałem, bo byłem już zajęty czym innym - wyświadczeniem jej zaszczytu. Napisałem nad tytułem opowiadania: „Dla kobiety niewysłowionego uroku, o pięknych błękitnych oczach i łagodnym uśmiechu od autora, Arturo Bandiniego”.

Pani Hargraves uśmiechnęła się uśmiechem, który zdawał się ranić jej twarz, tak jakby wysuszona skóra popękała wzdłuż zmarszczek wokół ust i na policzkach.

- Nie cierpię opowieści o psach - powiedziała, chowając magazyn pod kontuar. - Młody człowieku, czy jest pan Meksykaninem?

Pokazałem na siebie i roześmiałem się.

- Ja Meksykaninem? - Pokręciłem głową. - Jestem Amerykaninem, pani Hargraves. A to wcale nie jest opowieść o psie, tylko o człowieku. To całkiem niezła opowieść. Pies w ogóle się w niej nie pojawia.

- Meksykanie nie mają wstępu do tego hotelu - oznajmiła.

- Nie jestem Meksykaninem. Tytuł opowiadania zaczerpnąłem z bajki. Wie pani: „Mały piesek zaśmiał się na widok zabawy”.

- Ani Żydzi - dodała.

Wpisałem się do księgi meldunkowej. W tamtych czasach miałem piękny podpis, fantazyjny, wybujały i na wskroś nieczytelny, z zamaszystym podkreśleniem, bardziej skompliko-

wany niż sygnatura wielkiego Hackmutha. Obok napisałem: „Boulder, Kolorado”.

Przyjrzała się bacznie mojemu wpisowi. Potem odezwała się chłodno:

- Pańska godność, młody człowieku?

Byłem zawiedziony, że tak szybko zapomniała nazwisko autora *Śmiechu małego pieska*, wydrukowane dużą czcionką na okładce magazynu. Kiedy się przedstawiłem, napisała moje nazwisko starannie, drukowanymi literami nad podpisem. Potem odkreśliła całość grubą kreską, żeby mogli się wpisać następni goście.

- Panie Bandini - powiedziała, patrząc na mnie chłodnym wzrokiem. - Boulder nie jest w Kolorado.

- Tam też! - wyjaśniłem. - Właśnie stamtąd przyjechałem. Byłem tam jeszcze przed dwoma dniami.

Kobieta upierała się przy swoim.

- Boulder jest w Nebrasce. Przejeżdżaliśmy z mężem przez Boulder w Nebrasce trzydzieści lat temu w drodze tutaj. Proszę to poprawić.

- Ależ miasto o takiej nazwie jest również w Kolorado. Mieszkają tam moi rodzice. Chodziłem tam do szkoły.

Wyjęła magazyn spod kontuaru, żeby mi go oddać.

- To nie jest miejsce dla pana, młody człowieku. W tym hotelu mieszkają tylko porządni i uczciwi ludzie.

Nie wziąłem magazynu. Byłem zmęczony po długiej jeździe autobusem.

- No dobrze - powiedziałem. - To miasto jest w Nebrasce.

Skreśliłem słowo „Kolorado” i napisałem nad nim „Nebraska”.

Kobieta była usatysfakcjonowana i bardzo ze mnie zadowolona. Uśmiechnęła się i popatrzyła na magazyn.

- A więc jest pan pisarzem! Jak miło! - Potem znowu schowała magazyn. - Witamy w Kalifornii! Spodoba się tu panu!

Ach, ta pani Hargraves! Była samotna i zagubiona, ale miała swoją dumę. Któregoś popołudnia zabrała mnie do swojego mieszkania na najwyższym piętrze. Czułem się tak, jakbym wchodził do wysprzątanego grobowca. Jej mąż już nie żył, lecz trzydzieści lat wcześniej prowadził sklep żelazny w Bridgeport w Connecticut. Na ścianie wisiało zdjęcie tego wspaniałego człowieka, który nie pił i nie palił, a umarł na zawał. Jego chuda, surowa twarz w masywnej ramce wciąż wyrażała pogardę dla picia i palenia. Stało tam łóżko, w którym umarł, mahoniowe, z wysokim baldachimem. W szafie były jego ubrania, na podłodze zaś buty. Ich czubki wygięły się nieco ku górze ze starości. Na kominku stał kubek do golenia, bo mąż pani Hargraves codziennie się golił. Miał na imię Bert. Ach, ten Bert! Bert, mawiała jego żona, czemu nie pójdziesz do fryzjera? A Bert zawsze odpowiadał śmiechem, bo wiedział, że jest lepszym fryzjerem od zwykłych fryzjerów.

Bert wstawał o piątej rano. Pochodził z rodziny liczącej piętnaścioro dzieci. Był złotą rączką. Przez lata dokonywał wszystkich napraw w hotelu. Pomalowanie całego budynku od zewnątrz zajęło mu trzy tygodnie. Mawiał, że jest lepszym malarzem od zwykłych malarzy. Pani Hargraves przez dwie godziny mówiła o Bercie; ależ ona go kochała, nawet po śmierci, tyle że Bert wcale nie umarł, wciąż był obecny w tym mieszkaniu, czuwał nad nią, strzegł jej, gotów w każdej chwili stanąć w obronie żony, gdybym próbował ją skrzyw-

dzić. Przerazał mnie, sprawiał, że chciałem stamtąd uciec. Wypiliśmy herbatę. Była stara. Cukier też był stary i pozlepiany. Filiżanki pokrywał kurz. Herbata miała smak starości, a suche ciasteczka miały smak śmierci. Kiedy wyszedłem, Bert poszedł za mną korytarzem, prowokując, bym pomyślał o nim z ironią. Przez dwie noce mnie nawiedzał, straszył, a nawet próbował mi wyperswadować palenie papierosów.

Pamiętam chłopaka z Memphis. Nigdy nie zapytałem o jego imię, a on o moje. Mówiliśmy sobie po prostu „cześć”. Nie mieszkał długo w Alta Łomie, zaledwie kilka tygodni. Przesiadywał na frontowej werandzie, z twarzą ukrytą w smukłych dłoniach. Widywałem go tam, kiedy wracałem do hotelu - zawsze o późnej porze, o dwunastej, pierwszej i drugiej w nocy. Kołysał się w przód i w tył na wiklinowym krześle, obmacując rozbieganymi palcami nieogoloną twarz. „Cześć”, mówiłem, „cześć”, odpowiadał.

Niespokojny pył Los Angeles rozpałał krew w jego żyłach. Nosiło go jeszcze bardziej niż mnie, całymi dniami szukał w parkach perwersyjnych miłostek, ale był tak brzydki, że nie mógł zaspokoić swoich pragnień. Dlatego w ciepłe rozgwieżdżone noce opromienione żółtym księżycem uciekał udręczony ze swojego pokoju, by wrócić tam dopiero o świcie. Którejś nocy trochę pogawędziliśmy. Zrobiło mi się smutno, kiedy opowiadał o rodzinnym Memphis w stanie Tennessee, gdzie żyli prawdziwi ludzie i gdzie zostawił mnóstwo przyjaciół. Zapewnił mnie, że pewnego dnia opuści to znieprawidzone miasto i wróci tam, gdzie przyjaźń jeszcze coś znaczy. I faktycznie któregoś dnia wyjechał, a potem dostałem

pocztówkę z Fort Worth w Teksasie podpisaną: „Chłopak z Memphis”.

W hotelu mieszkał również niejaki Heilman. Należał do klubu książki. Był postawnym człowiekiem o rękach jak kłody i nogach tak grubych, że ledwie mieściły się w spodniach. Pracował w banku jako kasjer. Miał żonę w Moline w stanie Illinois i syna na Uniwersytecie Chicagowskim. Nienawidził Południowego Zachodu, ta nienawiść biła z jego wielkiej twarzy. Podupał jednak na zdrowiu i nie mógł się stąd ruszyć. Zżymał się na wszystko, co zachodnie. Ciężko odchorowywał każdy mecz futbolowy, w którym drużyna ze Wschodu uległa zespołowi z Zachodu. Ilekroć ktoś wspomniał o drużynie Trojansów, Heilman kwitował to splunięciem. Nienawidził słońca, przeklinał mgłę, nie cierpiał deszczu i marzył o śniegach Środkowego Zachodu. Raz w miesiącu znajdował w swojej przegródce na listy dużą przesyłkę. Widywałem go w hotelowym holu, zawsze coś czytał. Ale nie pożyczał mi książek. To kwestia zasad, mawiał. Dawał mi jednak kolejne numery „Book of the Month Club News”, małego periodyku o nowościach książkowych. Co miesiąc zostawiał nowy numer w mojej przegródce na listy.

Była tam też rudowłosa dziewczyna z St. Louis, która zawsze pytała o Filipińczyków. Gdzie mieszkają? Ilu ich jest? Czy znam jakiegoś? Mizerna rudowłosa dziewczyna z brązowymi piegami na dekolcie. Ubierała się na zielono, miedziany kolor jej włosów był zbyt dziwny, żeby mogła uchodzić za piękność, a jej szare oczy nie pasowały do twarzy. Dostała pracę w pralni, ale marnie jej płacili, więc zrezygnowała. Podobnie jak ja lubiła spacerować po mieście. Raz pożyczyła mi ćwierć dolara,

innym razem znaczki pocztowe. Bez przerwy mówiła o Filipińczykach, współczuła im, uważała, że dzielnie stawiają czoło żywionym wobec nich uprzedzeniom. Pewnego dnia zniknęła, a już następnego ujrzałem, jak idzie ulicą ze słońcem w miedzianych włosach i niskim Filipińczykiem pod rękę. Był z niej bardzo dumny. Miał na sobie marynarkę z wywatowanymi ramionami i wciętą talią, która stanowiła wtedy krzyk mody w podejranych dzielnicach, ale nawet w skórzanych butach na wysokich obcasach był o stopę niższy od swojej dziewczyny.

Z nich wszystkich tylko jedna osoba przeczytała *Śmiech małego pieska*. W tamtych pierwszych dniach podpisałem kilka egzemplarzy magazynu, pięć czy sześć, i zaniósłem na górę do poczekalni. Umieściłem je w dobrze widocznych miejscach: na stole, na sofie, nawet na głębokich skórzanych fotelach, gdzie trzeba było je podnieść, zanim się usiadło. Nikt do nich nie zajrzał z wyjątkiem jednej osoby. Przez tydzień tam leżały właściwie nietknięte. Nawet kiedy japoński chłopiec sprzątał poczekalnię, nie ruszał egzemplarzy magazynu. Wieczorami grano tam w brydża, grupka starych ludzi spotykała się, żeby pogawędzić i zaznać relaksu. Wślizgnąłem się do środka, znalazłem wolne krzesło i obserwowałem. To było przygnębiające. Jakaś otyła kobieta usiadła w jednym z głębokich foteli i nawet nie wyjęła spod siebie magazynu. W końcu Japończyk zebrał wszystkie egzemplarze i ułożył je starannie na stole, jeden na drugim. Powoli gromadził się na nich kurz. Co kilka dni przecierałem je chusteczką do nosa i rozkładałem w całej sali. Zawsze wracały nietknięte na stół. Może ci ludzie wiedzieli, że ja napisałem to opowiadanie, i dlatego nie chcieli go przeczytać. A może im

nie zależało. Nawet Heilmanowi, który tyle czytał. Nawet właścicielce hotelu. Pokręciłem głową: głupcy z nich. To było opowiadanie o ich ukochanym Środkowym Zachodzie, o Kolorado i zamieciach śnieżnych, o ludziach takich jak oni, wykorzenionych, spalonych słońcem, umierających na gorącej pustyni; mieli swoje chłodne małe ojczyzny w zasięgu ręki, na kartkach tego skromnego magazynu. Pomyślałem, że zawsze tak było - Poe, Whitman, Heine, Dreiser, a teraz Bandini; myśląc tak, czułem się mniej urażony i samotny.

Osoba, która przeczytała moje opowiadanie, nazywała się Judy Palmer. Tamtego popołudnia zapukała do moich drzwi. Otworzyłem je i wtedy ją zobaczyłem. Trzymała w ręku egzemplarz magazynu. Miała zaledwie czternaście lat, jej kasztanowe włosy z równo obciętą grzywką były przewiązane czerwona wstążką z kokardą.

- Pan Bandini? - zapytała.

Wyczytałem z jej oczu, że przeczytała *Śmiech małego pie-ska*. Od razu to poznałem.

- Przeczytałaś moje opowiadanie, prawda? - powiedziałem. - Podobało ci się?

Przycisnęła magazyn do piersi i uśmiechnęła się.

- Uważam, że jest wspaniałe - odparła. - Po prostu cudowne! Pani Hargraves powiedziała, że pan jest jego autorem. Powiedziała, że może zechce pan podarować mi jeden egzemplarz.

Moje serce zatrzepotało radośnie.

- Wejdz! - zaproponowałem. - Witaj! Usiądź! Jak masz na imię? Oczywiście, że podaruję ci egzemplarz. Oczywiście! Proszę, wejdz!

Przebiegiem przez pokój i przyniosłem jej najlepsze krzesło. Usiadła ostrożnie. Jej dziecięca sukienka nie sięgała nawet kolan.

- Masz ochotę na szklankę wody? - zapytałem. - Gorąco dzisiaj. Może chce ci się pić?

Nie chciało jej się pić. Była tylko zdenerwowana. Zauważyłem, że się mnie boi. Starąłem się być miły, żeby jej nie spłoszyć. Wtedy miałem jeszcze trochę pieniędzy.

- Lubisz lody? - zapytałem. - Kupić ci?

- Nie mogę zostać - powiedziała. - Mama będzie się gniewać.

- Mieszkasz tutaj? Twoja mama też czytała opowiadanie? Jak masz na imię? - Uśmiechnąłem się dumnie. - Ty już wiesz, jak się nazywam. Arturo Bandini.

- O tak! - westchnęła, a jej oczy rozszerzyły się w tak ogromnym podziwieniu, że chciałem paść jej do stóp i zapłakać ze szczęścia. Wyraźnie czułem, że zbiera mi się na płacz.

- Na pewno nie chcesz lodów?

Siedziała z lekko uniesionym podbródkiem, trzymając magazyn w drobnych dłoniach. Miała nienaganne maniery.

- Nie, dziękuję, panie Bandini.

- A może napiłabyś się coli?

- Dziękuję - uśmiechnęła się. - Nie.

- Piwa korzennego?

- Naprawdę dziękuję.

- Jak masz na imię? Ja się nazywam... - zacząłem, ale w porę się pohamowałem.

- Judy - odpowiedziała.

- Judy! - powtórzyłem. - Judy, Judy! To cudownie! Imię gwiazdy. Najpiękniejsze imię, jakie znam.

- Dziękuję! - powiedziała.

Otworzyłem szufladę, w której trzymałem egzemplarze magazynu. Było ich tam jeszcze całkiem sporo, około piętnastu.

- Podaruję ci egzemplarz, na którym nie złożyłem jeszcze autografu, i napiszę ci piękną dedykację, coś wyjątkowego.

Zarumieniała się z radości. Ta mała dziewczynka wcale nie żartowała, naprawdę była zachwycona, a jej entuzjazm był niczym chłodna woda spływająca po mojej twarzy.

- Podaruję ci dwa egzemplarze - powiedziałem. - Napiszę dedykacje na obu!

- Jest pan takim miłym człowiekiem - zauważyła, przyglądając mi się uważnie, kiedy otwierałem kałamarz. - Domyśliłam się tego, czytając pańskie opowiadanie.

- Jestem niewiele starszy od ciebie, Judy. - Nie chciałem uchodzić w jej oczach za starego pryka. Postanowiłem więc nieco się odmłodzić. - Mam osiemnaście lat - skłamałem.

- Naprawdę? - zdumiała się.

- Za parę miesięcy skończę dziewiętnaście.

Napisałem specjalne dedykacje na obu egzemplarzach. Nie pamiętam, jak one brzmiały, ale były dobre, z głębi serca, bo żywiłem wdzięczność wobec tej dziewczynki. Pragnąłem zatrzymać ją w swoim pokoju jak najdłużej, słuchać jej cichego drżącego głosu.

- Wyświadczyłabyś mi zaszczyt - oznajmiłem - i sprawiła wielką radość, gdybyś przeczytała moje opowiadanie na głos. Nikt jeszcze tego nie robił, a chciałbym posłuchać.

- Z przyjemnością! - odrzekła, po czym usiadła prosto, w pełnej gotowości.

Rzuciłem się na łóżko i wcisnąłem twarz w poduszkę, a dziewczynka zaczęła czytać moje opowiadanie swoim delikatnym słodkim głosikiem, który sprawił, że rozplakałem się już po stu pierwszych słowach. To było jak sen, głos anioła wypełniał pokój. Wkrótce ona także zaczęła płakać, co chwila przerywała czytanie, krztusząc się łzami i protestując. „Nie mogę dłużej czytać - mówiła. - Nie mogę”. Wtedy ja odwracałem się i błagałem: „Musisz, Judy! Musisz!”.

Kiedy emocje sięgnęły zenitu, do pokoju wtargnęła wysoka gburowata kobieta. Domyśliłem się, że to matka Judy. Zmierzyła wściekłym wzrokiem najpierw mnie, a potem córkę. Bez słowa wzięła Judy za rękę i wyprowadziła z pokoju. Dziewczyna przyciskała do drobnych piersi dwa egzemplarze magazynu i obejrzawszy się, mrugnęła do mnie smutno na pożegnanie. Pojawiła się i znikła tak szybko, nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Pani Hargraves też była zaskoczona, bo matka i córka opuściły hotel w dniu przybycia, nie zostając nawet na jedną noc.

8

W MOJEJ PRZEGRÓDCE był list od Hackmutha. Wiedziałem, że jest od niego. Listy od Hackmutha wyczuwałem na milę, objawiało się to dreszczem na plecach. Pani Hargraves dała mi ten list. Wyrwałem jej go z ręki.

- Dobre wieści? - spytała, pamiętając, że zalegam z czymś.

- Trudno powiedzieć - odparłem. - Ale to list od wielkiego człowieka. Nawet gdyby przysłał puste kartki, byłyby to dla mnie dobre wieści.

Wiedziałem jednak, że to nie mogą być dobre wieści w takim sensie, w jakim rozumiała je pani Hargraves, gdyż nie posłałem Hackmuthowi żadnego opowiadania. Przypuszczałem raczej, że to odpowiedź na mój długi list sprzed kilku dni. Ależ szybki jest ten Hackmuth. Nieprawdopodobnie szybki. Ledwie człowiek zdążył wrzucić list do skrzynki pocztowej na rogu i wrócić do hotelu, a już czekała tam na niego odpowiedź. Jednak jego listy były bardzo krótkie. Na moje czterdziestostronicowe epistoły odpowiadał jednym

akapitem. Ale to dobrze - łatwiej było zapamiętać te listy, nauczyć się ich na pamięć. Hackmuth miał klasę, styl i tak wiele do zaoferowania, nawet jego przecinki i średniki zgrabnie tańczyły na stronie. Odklejałem znaczki od jego listów, bardzo delikatnie, żeby zobaczyć, co jest pod spodem.

Usiadłem na łóżku i otworzyłem list. Był równie zwięzły jak poprzednie, jakieś czterdzieści słów, nie więcej.

Drogi Panie Bandini,

Jeśli wyrazi Pan zgodę, usunę nagłówek oraz zakończenie Pańskiego listu i wydrukuję go jako opowiadanie w moim magazynie. To kawał dobrej prozy. Myślę, że tytuł *Dawno utracone wzgórze* będzie jak znalazł. Załączam czek.

Pozdrawiam,
J.C. Hackmuth

List wyślizgnął mi się z rąk i opadł, zygzakiem na podłogę. Wstałem i spojrzałem w lustro. Miałem szeroko otwarte usta. Podszedłem do zdjęcia Hackmutha, które wisiało na przeciwległej ścianie, i dotknąłem spokojnej twarzy swojego mentora. Podniosłem list i przeczytałem go powtórnie. Otworzyłem okno, wyszedłem nim na zewnątrz i położyłem się w jasnej trawie na zboczu wzgórze. Chwyciłem ją mocno palcami. Przekręciłem się na brzuch, zbliżyłem twarz do ziemi i wyrwałem zębami korzenie trawy. Potem rozplakałem się. O Boże, Hackmuth! Jak to możliwe, że jesteś takim wspaniałym człowiekiem? Wróciłem do pokoju i znalazłem w kopercie czek. Opiewał na sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Znowu

byłem bogaty. Sto siedemdziesiąt pięć dolarów! Arturo Bandini, autor *Śmiechu małego pieska* i *Dawno utraconych wzgórz*.

Stałem ponownie przed lustrem i zacząłem potrząsać pięścią. Oto ja, ludzie! Popatrzcie na wielkiego pisarza. Spójrzcie w moje oczy. To oczy wielkiego pisarza. Spójrzcie na moją szczękę. To szczeka wielkiego pisarza. Spójrzcie na te ręce. To ręce, które stworzyły *Śmiech małego pieska* i *Dawno utracone wzgórze*. Wyciągnąłem przed siebie palec wskazujący. A jeśli chodzi o ciebie, Camillo Lopez, chcę się z tobą zobaczyć dziś wieczorem. Pamiętaj, Camillo Lopez, że masz do czynienia z Arturo Bandinim, pisarzem. Pamiętaj o tym.

Zrealizowałem czek u pani Hargraves. Zapłaciłem zaległy czynsz i za dwa miesiące z góry. Właścicielka hotelu wypisała pokwitowanie. Machnąłem na nie ręką.

- Nie trzeba - zapewniłem. - Ufam pani bezgranicznie. - Jednak nalegała. Schowałem więc pokwitowanie do kieszeni. Potem położyłem na kontuarze jeszcze pięć dolarów. - To dla pani, pani Hargraves, bo okazała mi pani wiele życzliwości.

Nie chciała przyjąć tych pieniędzy. Pchnęła banknot w moją stronę.

- Żarty pan sobie stroi? - powiedziała.

Ale ja nie wziąłem go z powrotem. Wyszedłem z hotelu, a ona wybiegła za mną na ulicę.

- Panie Bandini, nalegam, żeby pan wziął te pieniądze.

E tam, pięć dolarów, też mi suma. Pokręciłem głową.

- Pani Hargraves, kategorycznie odmawiam. - Staliśmy w upalnym słońcu na środku chodnika i sprzeczaliśmy się. Była nieustępliwa. Błagała, żebym wziął pieniądze. Uśmiechną-

łem się. - Nie, pani Hargraves, przykro mi. Nigdy nie zmieniam zdania.

Wróciła do hotelu błada ze złości, trzymając w palcach pięciodolarowy banknot w taki sposób, jakby niosła zdechłą mysz. Pokręciłem głową. Pięć dolarów! Cóż to dla Arturo Bandiniego, autora licznych opowiadań dla J.C. Hackmutha.

Poszedłem zatłoczonymi ulicami do centrum miasta, gdzie w suterenie znajdował się sklep odzieżowy firmy May. Kupiłem sobie najlepsze ubranie w życiu - brązowy garnitur w prążki z dwiema parami spodni. Odtąd mogłem chodzić dobrze ubrany przez cały czas. Kupiłem też brązowo-białe buty, mnóstwo koszul i skarpetek, a także kapelusz. Mój pierwszy kapelusz, ciemnobrązowy, filcowy, z jedwabną podszewką w białym kolorze. Spodnie wymagały drobnych poprawek. Poprosiłem, żeby wykonano je szybko. Tak też się stało. Potem przebrałem się za załogę w nowe rzeczy, włożyłem nawet kapelusz. Ekspedient zapakował moje stare ubranie do pudełka. Nie chciałem go. Poleciałem, żeby przekazano je Armii Zbawienia, a pozostałe zakupy dostarczono do hotelu. Przed wyjściem ze sklepu nabyłem jeszcze okulary przeciwsłoneczne. Przez całe popołudnie robiłem zakupy, zabijałem czas. Kupiłem papierosy, cukierki i kandyzowane owoce. Poza tym dwie ryzy drogiego papieru, gumki recepturki, spinacze, kilka notesów, małą szafeczkę na papiery i dziurkacz. Kupiłem też tani zegarek, lampkę nocną, grzebień, szczoteczki i pastę do zębów, płyn do włosów, krem do golenia, olejek do skóry i apteczkę. Ponadto kilka krawatów, pasek do spodni, łańcuszek do zegarka, chustki do nosa, szlafrok i kapcie. Kiedy nadszedł wieczór, byłem już tak obciążony, że musiałem wrócić do domu taksówką.

Byłem bardzo zmęczony. Nowy garnitur przesiąkł potem, który ściekał po moich nogach aż do kostek. Ale niczego nie żałowałem. Wykąpałem się, natarłem skórę olejkim i umyłem zęby nową szczoteczką i pastą. Potem ogoliłem się, używając nowego kremu, i zwilżyłem włosy nowym płynem. Po odłożeniu przyborów papierniczych na miejsce siedziałem przez jakiś czas w kapciach i szlafroku, paląc dobre papierosy i zjadając się słodyczami.

Doręczyciel przywiózł w dużym pudle resztę moich zakupów. Jak się okazało, było w nim również moje stare ubranie. Wyrzuciłem je do kosza na śmieci. Nadszedł czas, żeby się znowu ubrać. Włożyłem nowe bokserki, koszulę, skarpetki i drugą parę spodni. Potem krawat i buty. Nasunąłem kapelusz na jedno oko i spojrzałem w lustro. Ledwie siebie poznałem. Nie podobał mi się mój nowy krawat, więc zdjąłem marynarkę i włożyłem inny. Wciąż nie byłem zadowolony. Nagle wszystko zaczęło mnie irytować. Sztywny kołnierzyk mnie dusił. Buty uwierały. Spodnie pachniały sklepem odzieżowym i były za ciasne w kroku. Na skronie wystąpił pot, kapelusz gniótł czaszkę. Swędziało mnie całe ciało, a kiedy się poruszyłem, ubranie zaszeleściło niczym papierowa torba. Poczulem nieprzyjemny odór kosmetyków i skrzywiłem się. Matko Boska, gdzie ten prawdziwy Bandini, autor *Śmiechu małego pieska*? Czy ten wyglancowany bufon mógł stworzyć *Dawno utracone wzgórza*? Ściągnąłem wszystko z siebie, umyłem głowę i ubrałem się w stare ciuchy. Ucieszyły się, że znów mam je na sobie, przywarły do mnie czule, a moje zbolale stopy wsunęły się w stare pantofle jak w miękkość wiosennej trawy.

9

POJECHAŁEM TAKSÓWKĄ do Columbia Buffet. Kierowca zatrzymał auto przed otwartymi drzwiami wejściowymi. Wsiadłem i dałem mu dwudziestodolarowy banknot. Nie miał wydać. Byłem z tego zadowolony, bo kiedy w końcu znalazłem banknot o mniejszym nominale i zapłaciłem za kurs, w drzwiach stała Camilla. Taksówki rzadko zatrzymywały się przed Columbia Buffet. Kiwnąłem jej niedbale głową, wszedłem do środka i usiadłem przy pierwszym stoliku.

- Jesteś na mnie zły? - zapytała.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Schowała ręce za plecy i spojrzała na swoje stopy.

- Czyż nie wyglądam inaczej?

Miała na nogach nowe białe czółenka na wysokich obcasach.

- Są bardzo ładne - powiedziałem, a potem znów skupiłem uwagę na liście od Hackmutha. Przyglądała mi się z grymasem na twarzy. Uniosłem wzrok i mrugnąłem jednym okiem. - Wybacz. Sprawy zawodowe.

- Chcesz coś zamówić?

- Cygaro. Jakieś drogie, z Hawany.

Przyniosła pudełko. Wziąłem z niego jedno cygaro.

- Są drogie - uprzedziła. - Po dwadzieścia pięć centów.

Uśmiechnąłem się i dałem jej dolara.

- Reszty nie trzeba.

Nie chciała przyjąć napiwku.

- Nie od ciebie - powiedziała. - Jesteś biedny.

- Byłem - sprostowałem. Zapaliłem cygaro, wypuściłem z ust kłęb dymu i odchyliwszy się do tyłu na krzesło, popatrzyłem na sufit. - Niezłe cygaro jak za te pieniądze.

Żeński duet muzyczny grał w głębi baru *Over the Waves*. Zrobiłem niezadowoloną minę i pchnąłem w stronę Camilli resztę, którą mi wydała.

- Powiedz im, żeby zagrały Straussa. Coś wiedeńskiego.

Wzięła ćwierćdolarówkę, ale nalegałem, by dała im wszystko. Kobiety były zdumione. Camilla pokazała na mnie. Pomachały i uśmiechnęły się promiennie. Skinąłem z godnością głową. Potem zaczęły grać z zapalem *Opowieści Lasku Wiedeńskiego*. Nowe buty raniły stopy Camilli. Nie miała już w sobie tej dawnej iskry. Kiedy szła, krzywiła się z bólu i zaciskała zęby.

- Piwo? - zapytała.

- Szkocka z wodą sodową - odparłem. - St. James.

Rozmawiała przez chwilę z barmanem, potem wróciła.

- Nie mamy St. James. Jest za to Ballantine. Drogo. Czterdzieści centów.

Zamówiłem dla siebie i dla dwóch barmanów.

- Nie powinienesz trwonić w ten sposób pieniędzy - powiedziała.

Podziękowałem za toast wzniesiony przez barmanów i wypięm mały łyżeczek. Alkohol wykrzywił mi twarz.

- Ohyda - oświadczyłem.

Camilla stała z rękami w kieszeniach.

- Myślałam, że spodobają ci się moje nowe buty.

Wróciłem do lektury listu Hackmutha.

- Są w porządku.

Pokuśtykała w stronę zwolnionego przed chwilą stolika i zaczęła zbierać puste kufle. Moje słowa ją uraziły, wyraźnie posmutniała. Sącząc drinka, czytałem po wielokroć list od Hackmutha. Wkrótce znów podeszła do mojego stolika.

- Zmieniłeś się - powiedziała. - Jesteś jakiś inny. Wolę cię takiego, jaki byłeś wcześniej.

Uśmiechnąłem się i poklepałem ją po dłoni - ciepłej, gładkiej, brązowej, o długich palcach.

- Moja mała meksykańska księżniczko - rzekłem. - Jesteś taka urocza, taka niewinna.

Zabrała szybko rękę, a jej twarz pobladła.

- Nie jestem Meksykanką - zaprotestowała. - Jestem Amerykanką.

Pokręciłem głową.

- Nie. Dla mnie zawsze będziesz małą słodką Latynoską. Zwyczajną dziewczyną ze starego Meksyku.

- Ty pieprzony makaroniarzu! - wypaliła.

Pociemniało mi przed oczami, ale dalej się uśmiechałem. Odeszła wściekła, choć niezbyt szybkim krokiem, bo buty raniły jej stopy. Poczujęm się źle, a sztuczny uśmiech trwał jeszcze na mojej twarzy wbrew naturze, jakby przyczepiono go pinezkami. Teraz Camilla była już przy stoliku nieopodal

duetu muzycznego. Wycierała nerwowo blat, kipiąc ze złości. Potem posłała mi przez salę nienawistne spojrzenie. List od Hackmutha przestał mnie interesować. Wcisnąłem go do kieszeni i zwiesiłem głowę. Powróciło dawne uczucie. Przypomniałem sobie, że czułem coś podobnego, kiedy byłem w tym barze po raz pierwszy. Camilla zniknęła za przepierzeniem. Kiedy wróciła, poruszała się z gracją, szybko i pewnie, bo zdjęła białe buty i włożyła swoje stare *huaraches*.

- Przepraszam - odezwała się do mnie.
- Nie, to moja wina, Camillo.
- Żałuję tego, co powiedziałam.
- Nic się nie stało. To moja wina.

Spojrzałem na jej stopy.

- Tamte białe buty były piękne. Masz takie ładne nogi, pasowały do nich idealnie.

Przesunęła palcami po moich włosach, a wtedy przyjemne ciepło rozeszło się po moim ciele, poczułem żar w gardle i ogarnęło mnie szczęście. Poszła za przepierzenie i po chwili wróciła w białych butach. Drgały mięśnie jej szczęki, kiedy szła, ale uśmiechała się dzielnie. Obserwowałem ją przy pracy. Jej widok podnosił mnie na duchu, sprawiał, że czułem się lekki jak olej na powierzchni wody. Po jakimś czasie zapytała, czy mam auto. Odparłem, że nie. Powiedziała, że ona ma i że zostawiła je na parkingu przy barze. Opisała mi, jak wygląda. Umówiliśmy się, że spotkamy się przy aucie i pojedziemy na plażę. Kiedy wstałem od stolika, wysoki barman o bladej twarzy spojrzał na mnie z ledwie dostrzegalnym wyrazem wrogości, takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Zignorowałem to i wyszedłem.

Jej autem okazał się ford roadster z 1929 roku - kabriolet z poobijanymi błotnikami i końskim włosiem wystającym spod tapicerki. Wsiadłem do niego i zacząłem się bawić różnymi drobiazgami. Rzuciłem okiem na dowód rejestracyjny. Był na nazwisko Camilla Lombard, nie Camilla Lopez.

Na parking przyszła z kimś. Nie widziałem, kto to jest, bo była ciemna bezksiężycowa noc i lekka mgła. Kiedy podeszli bliżej, rozpoznałem wysokiego barmana. Przedstawiła go. Miał na imię Sammy. Był milczący i zamknięty w sobie. Odwieźliśmy go do domu - pojechaliśmy Spring Street do Pierwszej Ulicy, a potem nad torami do dzielnicy murzyńskiej, gdzie warkot silnika odbijał się echem od drewnianych domów i wysłużonych płotów. Nasz pasażer wysiadł przy usychającym drzewie pieprzowym, które zrzuciło brązowe liście. Kiedy szedł w kierunku ganku, zeszcłe liście chrzęściły pod jego stopami.

- Kto to właściwie jest? - zapytałem.

Mój przyjaciel, powiedziała, ale nie chciała o nim rozmawiać. Martwiła się jednak o niego, jej twarz przybrała zatroskany wyraz - to była mina osoby przeżywającej chorobę kogoś bliskiego. Nie spodobało mi się to, poczułem zazdrość i zacząłem nękać Camillę pytaniami. Jej wymijające odpowiedzi tylko pogarszały sprawę. Znow pojechaliśmy nad torami, a potem - przez centrum. Kiedy wokół nie było żadnych samochodów, Camilla nie zatrzymywała się na czerwonym świetle, a kiedy jakiś pojazd pojawiał się na jej drodze, waliła z całej siły w klakson. Przeszywający dźwięk niósł się kanionami budynków niczym wołanie o pomoc. Ciągle tak robiła, chociaż na ogół nie było to konieczne. Zwróciłem jej raz uwagę, ale to nic nie dało.

- Ja prowadzę - powiedziała.

Dotarliśmy do Wilshire, gdzie obowiązywał nakaz jazdy z prędkością nie mniejszą niż trzydzieści pięć mil na godzinę. Nasz ford tyle nie wyciągał, ale Camilla jechała beztrosko środkowym pasem. Wymijały nas z obu stron duże szybkie auta. To ją denerwowało, klęła na kierowców i wygrażała im pięściami. Po przejechaniu mili poskarżyła się na ból stóp i kazała mi potrzymać kierownicę. Potem zdjęła buty. Kiedy znów ujęła kierownicę, wystawiła lewą stopę poza auto. Sukienka natychmiast wydeła się jak balon i zakryła jej twarz. Camilla wcisnęła ją pod siebie, ale brązowe uda i tak były obnażone aż po różowe majtki. To wzbudziło spore zainteresowanie. Kierowcy podjeżdżali bardzo blisko, zwalniali na chwilę, z okien samochodów wychylali się ludzie, żeby popatrzeć na gołą brązową nogę. Camillę to złościło. Wrzeszczała do gapiów, żeby pilnowali swojego nosa. Siedziałem obok niej przygarbiony, usiłując delektować się papierosem, który palił się zbyt szybko w szalejącym wietrze.

Potem dojechaliśmy do świateł na skrzyżowaniu Wilshire i Western. To był zatłoczony zakątek miasta - kino, kluby nocne i sklepy przyciągały tłumy. Camilla nie mogła przejechać przez to skrzyżowanie na czerwonym świetle, bo było przed nami mnóstwo samochodów, które czekały na zmianę światła. Zniecierpliwiona i rozdrażniona, oparła się o fotel i kiwała nogą. Twarze zwróciły się w naszą stronę, klaksony rozbrzmiewały wesoło, a kierowca imponującego roadstera stojącego za nami trąbił jak opętany. Camilla odwróciła się wściekła i pogroziła pięścią towarzystwu w roadsterze. Teraz już wszyscy na nas patrzyli i wszyscy się uśmiechali. Trąciłem ją łokciem.

- Mogłabyś przynajmniej chować nogę na światłach.

- Zamknij się!

Sięgnąłem po list od Hackmutha, szukając w nim azylu. Bulwar był dobrze oświetlony, więc widziałem litery, ale w fordzie trzęsło jak na grzbiecie muła. Maszyna klekotała, podrygiwała i siłowała się z wiatrem. Camilla była dumna ze swojego auta.

- Świetny silnik - powiedziała.

- Ładnie brzmi - odparłem, przytrzymując się.

- Ty też powinieneś mieć samochód.

Zapytałem o nazwisko na dowodzie rejestracyjnym. Zapytałem, czy jest mężatką.

- Nie - powiedziała.

- Więc skąd nazwisko Lombard?

- Dla zabawy - odrzekła. - Czasem używam go w celach zawodowych.

Nie zrozumiałem.

- Lubisz swoje nazwisko? - spytała. - Nie wolałbyś nazywać się Johnson albo Williams?

Powiedziałem, że jestem zadowolony ze swojego nazwiska.

- Nie jesteś. Wiem o tym.

- Jestem!

- Nie, nie jesteś.

Za Beverly Hills nie było już mgły. Palmy stojące wzdłuż drogi odcinały się zielenią na tle niebieskawej ciemności, a biała linia wymalowana na asfalcie wiła się przed nami niczym płonący lont. Kłębiły się chmury, przesłaniając gwiazdy. Jechaliśmy między niskimi wzgórzami. Po obu stronach szosy rosły wysokie żywopłoty i bujne latorośle, a wśród nich dzikie palmy i cyprysy.

Dotarliśmy w milczeniu do Palisades, jadąc szczytami nadmorskich klifów. Smagał nas zimny wiatr. Rzucił naszym gruchotem na boki. W dole huczało morze. Z oddali nadciągał w stronę lądu pas gęstej mgły - armia pełznących duchów. Pod nami fale waliły w brzeg białymi pięściami. Cofały się i znów nacierały. Kiedy na chwilę ustępowały, linia brzegowa wyszczerzała zęby w szerokim uśmiechu. Zjechaaliśmy na dół krętą drogą. Jej czarną nawierzchnię spływającą potem lizały języki mgły. Wdychaliśmy z wdzięcznością czyste powietrze. Tutaj nie było pyłu.

Camilla podjechała do ciągnącej się po horyzont plaży. Usiedliśmy na białym piasku i patrzyliśmy na morze. U stóp klifów było ciepło. Dotknęła mojej dłoni.

- Naucz mnie pływać - powiedziała.
- Nie tutaj - odparłem.

Był przyptyw. Wysokie fale gnały jak oszalałe. Tworzyły się w odległości stu jardów, a potem pędziły przed siebie. Kiedy rozbijały się o brzeg, koronka piany eksplodowała jak "błyskawica.

- Nikt nie uczy się pływać we wzburzonej wodzie.

Zaśmiała się i zaczęła rozbierać. Była brązowiotka pod spodem i był to naturalny brąz, nie opalenizna. Moje ciało straszło bladością. Wciągnąłem brzuch, żeby ukryć fałdę tłuszczu. Camilla spojrzała na moje blade nogi i biodra i uśmiechnęła się. Odetchnąłem z ulgą, kiedy ruszyła w stronę wody.

Piasek był miękki i ciepły. Siedzieliśmy zwróceni ku morzu i rozmawialiśmy o pływaniu. Potem pokazałem jej podstawowe ruchy. Leżąc na brzuchu, wymachiwała rękami i no-

gami, piasek sypał jej w twarz. Powtarzała moje ruchy bez entuzjazmu. W końcu usiadła.

- Nie lubię uczyć się pływać - oświadczyła.

Oblepieni z przodu piaskiem weszliśmy do wody, trzymając się za ręce. Z początku wydawała się zimna, potem w sam raz. Nigdy wcześniej nie kąpałem się w oceanie. Brnąłem coraz głębiej, aż zanurzyłem się po szyję. Potem zacząłem płynąć. Fale unosiły mnie. Nurkowałem pod nadpływającymi grzywaczami. Przetaczały się nade mną niegroźnie. Nabierałem wprawy. Kiedy dopłynąłem do dużych grzywaczy, wskakiwałem na ich grzbiety, a one niosły mnie w stronę brzegu.

Popatrzyłem na Camillę. Wchodziła do wody po kolana, a widząc nadciągającą falę, uciekała ku plaży. Potem znów wracała. Krzyczała z uciechy. Kiedy uderzyła w nią fala, pisnęła i zniknęła pod wodą. Po chwili znów się pojawiła, śmiejąc się i krzycząc. Zawołałem, żeby tak nie ryzykowała, ale ona szła już chwiejnym krokiem na spotkanie kolejnego grzywacza, który zmiotł ją z impetem. Potoczyła się jak kiść bananów. Potem zaczęła brnąć w stronę brzegu cała lśniąca, trzymając się za głowę. Pływałem dotąd, aż poczułem zmęczenie. Później wyszedłem z wody. Oczy szczypały mnie od soli. Położyłem się na plecach i ciężko dyszałem. Po kilku minutach odzyskałem siły, usiadłem i poczułem ochotę na papierosa. Camilli nie było w zasięgu wzroku. Pomyślałem, że jest w aucie, i poszedłem sprawdzić. Nie było jej tam. Pobiegłem nad wodę i przez chwilę przeczesywałem wzrokiem spienione fale. Zawołałem ją.

Potem usłyszałem krzyk. Dobiegł z daleka, z zasnutego mgłą obszaru mniej wzburzonej wody, już za spienionymi falami,

dobrze się oddzielić od brzegu. Znowu krzyknęła: „Ratunku!”. Wskoczyłem do wody, rozbiłem piersią kilka pierwszych fal i zacząłem płynąć. Głos Camilli ginął w ogólnym tumulcie. „Płynę do ciebie!” - zawołałem raz i drugi, a potem jeszcze parę razy. Później zamilkłem, bo musiałem oszczędzać siły. Z grzywaczami poradziłem sobie bez trudu, nurkując pod nimi, ale mniejsze fale były dokuczliwe, ochlapwały mi twarz, dławily mnie. W końcu dotarłem do obszaru spokojniejszej wody. Drobne fale skakały mi do ust. Krzyki Camilli ustały. Młóciłem rękami wodę, nasłuchując kolejnego krzyku. Na próżno jednak. Potem zawołałem, ale niemal bezgłośnie, z ustami pod wodą.

Opadłem z sił. Zalewały mnie małe fale. Krztusiłem się wodą, znikałem pod nią. Modliłem się, jęczałem i walczyłem z żywiołem, choć wiedziałem, że nie powinienem. Morze było w tym miejscu spokojne. Od strony lądu dobiegał szum grzywaczy. Zawołałem, odczekałem chwilę i znów zawołałem. Żadnej odpowiedzi prócz plusku fal. Potem coś się stało z palcami mojej prawej stopy. Złapał mnie skurcz. Kiedy wierzgnąłem nogą, ból przeszył udo. Chciałem żyć. Boże, nie zabieraj mnie jeszcze do siebie! Popłynąłem w kierunku brzegu.

Znów znalazłem się pośród dużych fal, słyszałem ich głośny ryk. Jednak wydawało się, że jest już za późno. Nie mogłem płynąć, ledwie poruszałem rękami, prawa noga bolała jak diabli. Liczyło się tylko to, by oddychać. Podwodny prąd ścigał mnie, miotał moim ciałem. To był koniec Camilli, to był koniec Arturo Bandiniego - ale nawet wtedy skrupulatnie wszystko notowałem, przelewałem w wyobraźni na papier, choć dryfowałem smagany ostrymi ziarenkami piasku, prze-

konany, że nie wyjdę z tego cało. W końcu jednak poczułem grunt pod nogami i zacząłem brnąć obojętnie w wodzie po pas, całkowicie wyczerpany, ale z jasnym umysłem. Tworzyłem swoje dzieło, martwiłem się nadmiarem przymiotników. Kolejna fala powaliła mnie, zalała i pociągnęła ku wodzie głębokiej na stopę. Wszedłem na czworakach na brzeg, zastanawiając się, czy ułożyć wiersz o tym, co się stało. Pomyślałem o Camilli i zaszlochałem, po czym stwierdziłem ze zdziwieniem, że moje łzy są bardziej słone niż woda morska. Ale nie mogłem leżeć na plaży, musiałem wezwać pomoc. Wstałem z piasku i ruszyłem, zataczając się, w stronę auta. Było mi bardzo zimno i dzwoniłem zębami.

Odwróciłem się i spojrzałem na morze. Niespełna pięćdziesiąt stóp ode mnie Camilla brnęła w wodzie po pas. Śmiała się, krztusiła ze śmiechu, zachwycona kawałem, który mi zrobiła. Kiedy zobaczyłem, jak nurkuje pod następną falą - z gracją i zwinnością foki, cała sprawa wydała mi się mało zabawna. Idąc w kierunku Camilli, czułem, że z każdym krokiem przybywa mi sił. Chwyciłem ją i przewiesiłem sobie przez ramię, nie zważając na to, że wbija paznokcie w moją głowę i wrywa mi włosy. Potem uniosłem ją nad głowę tak wysoko, jak tylko mogłem, i rzuciłem w wodę o głębokości kilku stóp. Wylądowała z głuchym pluskiem, tracąc oddech. Wyciągnąłem ją na brzeg, złapałem oburącz za włosy i przeciągnąłem jej twarzą i ustami po mokrym piasku. Potem zostawiłem ją tam pełzającą na czworakach, płaczącą i pojękującą, a sam poszedłem do auta. Wspomniała wcześniej, że na tylnym siedzeniu jest koc. Owinąłem się nim i położyłem na ciepłym piasku.

Wkrótce Camilla przeszła po grząskim piasku i znalazła mnie siedzącego pod kocem. Stała przede mną czysta, ociekająca wodą, dumna ze swej nagości. Obróciła się parę razy, prezentując swoje wdzięki.

- Lubisz mnie jeszcze?

Zerkałem na nią, nie mogąc wykrztusić słowa. Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się. Weszła na koc i powiedziała, że bym się posunął. Kiedy zrobiłem jej miejsce, wślizgnęła się pod koc. Jej ciało było mokre i zimne. Poprosiła, żebym ją objął. Objąłem, a wtedy pocałowała mnie wilgotnymi, chłodnymi ustami. Leżeliśmy długo. Byłem przygnębiony i przestraszony, nie czułem żadnego podniecenia. Wyrosło między nami coś na kształt szarego kwiatu, jakaś zmaterializowana myśl mówiąca o dzielącej nas przepaści. Nie wiedziałem, co to jest. Czułem, że Camilla czeka. Przesunąłem palcami po jej brzuchu i nogach, lecz moje zmysły nie reagowały, szukałem w sobie żaru namiętności, szukałem go usilnie, a tymczasem ona czekała, wierciła się, wrywała mi włosy, błagając o ten żar, ale jego nie było, nic a hic, była tylko chęć ucieczki w list od Hackmutha i myśli, które należało przelać na papier, ale żadnego pożądania, tylko strach przed nią, wstyd i upokorzenie. Czyniłem sobie wyrzuty, przeklinałem się w duchu, chciałem pójść nad wodę i rzucić się w fale. Camilla czuła moje wyobcowanie. Usiadła z szyderczym uśmiechem i zaczęła wycierać włosy.

- Myślałam, że ci się podobam - rzuciła.

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Wzruszyłem ramionami i wstałem. Ubraliśmy się i pojechaliśmy do Los Angeles. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Camilla zapaliła papierosa i spojrzała

na mnie dziwnie, ze ściągniętymi ustami. Dmuchnęła mi dymem w twarz. Wyjąłem jej papierosa z ust i rzuciłem go na szosę. Zapaliła następnego i zaciągnęła się powoli, rozbawiona i pełna pogardy. Nienawidziłem jej wtedy.

Na wschodzie świt wspinał się po zboczach gór, zimne smugi światła ciąły niebo jak szperacze. Wyjąłem list Hackmutha i przeczytałem go kolejny raz. W Nowym Jorku był już ranek, Hackmuth wchodził właśnie do biura. Gdzieś w tym biurze znajdował się maszynopis *Dawno utraconych wzgórz*. Miłość to nie wszystko. Kobiety to nie wszystko. Pisarz musi oszczędzać siły.

Dojechaliśmy do miasta. Powiedziałem jej, gdzie mieszkam.

- Bunker Hill? - zaśmiała się. - Dobre miejsce dla ciebie.

- Idealne - przyznałem. - Do mojego hotelu nie wpuszczają Meksykanów.

Te słowa wzbudziły niesmak w nas obojgu. Camilla zawiozła mnie do hotelu i zgasiła silnik. Siedziałem jeszcze przez chwilę w aucie, zastanawiając się, czy chcę coś powiedzieć, ale nie chciałem. Wysiadłem, kiwnąłem głową i ruszyłem w stronę hotelu. Czułem na plecach jej spojrzenie, ostre jak brzytwa. Kiedy dotarłem do drzwi, zawołała mnie. Wróciłem do samochodu.

- Nie pocałujesz mnie na dobranoc?

Pocałowałem ją.

- Nie tak.

Objęła mnie za szyję, przyciągnęła do siebie i zatopiła zęby w mojej dolnej wardze. Zabolało. Po krótkiej szamotaninie oswobodziłem się. Siedząc z ręką na oparciu fotela, uśmiechała się i patrzyła, jak wchodzę do hotelu. Wyjąłem chusteczkę

i przytknąłem do ust. Została na niej plamka krwi. Poszedłem szarym korytarzem do swojego pokoju. Kiedy zamknąłem drzwi, ogarnęło mnie podniecenie, którego wcześniej nie czułem. Skronie pulsowały, palce mrowiły. Rzuciłem się na łóżko i podarłem poduszkę na strzępy.

10

POTEM PRZEZ CAŁY DZIEŃ wracałem myślami do tej nocy. Do brązowej nagości Camilli, jej pocałunku, smaku jej ust, kiedy wyszła zamarznięta z wody. Widziałem siebie bladego i zawstydzonego, jak stoję na piasku, wciągając brzuch i zasłaniając rękami krocze. Chodziłem tam i z powrotem po pokoju. Późnym popołudniem byłem wyczerpany. Kiedy spojrzałem w lustro, przeraziłem się swoim widokiem. Usiadłem przy maszynie do pisania i zacząłem opisywać całe zdarzenie, przedstawiając je tak, jak powinno było wyglądać, waliłem w klawisze z taką furją, że moja przenośna maszyna do pisania odsuwała się ode mnie po blacie biurka. Na papierze wytropiłem Camilę jak tygrys, powaliłem na ziemię i obezwładniłem dzięki swej potężnej sile. Wszystko kończyło się tak, że czołgała się za mną po piasku, płacząc i błagając o litość. Świetne. Znacomite. Ale kiedy przeczytałem to jeszcze raz, wydało mi się paskudne i nudne. Podarłem kartki i wyrzuciłem do kosza.

Do moich drzwi zapukał Hellfrick. Był blady, spocony i cały się trząsał. Skończył z piciem, nigdy już nie sięgnie po

flaszkę. Usiadł na łóżku i wyłamywał sobie kościste palce. Tęsknie rozprawiał o mięsie, o starych dobrych stekach z Kansas City, o wspaniałych stekach z kością i delikatnych kotletach jagnięcych. Mówił, że nie ma takich tutaj, w krainie słońca, gdzie by było żywi się jedynie suchymi chwastami i promieniami słonecznymi, gdzie mięso jest pełne robaków i trzeba je malować, żeby wyglądało na krwiste. Potem spytał, czy mógłbym mu pożyczyć pięćdziesiąt centów. Kiedy dałem mu pieniądze, poszedł do sklepu mięsnego przy Olive Street. Wkrótce wrócił do swojego pokoju, a nieco później całe piętro wypełnił zapach smażonej wątróbki z cebulką. Poszedłem do niego. Siedział przed talerzem z ustami pełnymi jedzenia i energicznie przeżuwał. Spojrzawszy na mnie, potrząsnął widelcem.

- Wynagrodzę ci to, młody. Odplacę się po tyśiąćkroć.

Z tego wszystkiego zgłodniałem. Udałem się więc do restauracji nieopodal Schodów Aniołów i zamówiłem to samo danie, które przyrządził sobie Hellfrick. Jadłem powoli. Potem jeszcze sączyłem kawę. Wiedziałem jednak, że w końcu i tak pójdę do Columbia Buffet. Wystarczyło, że dotknąłem strupka na wardze, a już czułem złość i zaraz potem - żądzę.

Kiedy dotarłem do Columbia Buffet, bałem się wejść do środka. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i obserwowałem Camillę przez okno. Nie miała na nogach białych butów i wydawała się taka jak zawsze, szczęśliwa i zajęta krzątaniem z tacą.

Wpadłem na pewien pomysł. Poszedłem szybko do punktu telegraficznego, oddalonego o dwie przecznicę. Usiadłem z bijącym sercem przed pustym blankietem. Potem błyska-

wicznie go wypełniłem. Kocham cię, Camillo, chcę się z tobą ożenić, Arturo Bandini. Kiedy zapłaciłem, pan w okienku spojrział na adres i powiedział, że telegram zostanie doręczony w ciągu dziesięciu minut. Pobiegłem z powrotem na Spring Street, stanąłem w zacienionym wejściu naprzeciwko Columbia Buffet i czekałem na pojawienie się roznosiciela telegramów.

Kiedy wyłonił się zza rogu, uświadomiłem sobie, że wysłanie telegramu było błędem. Podbiegłem do niego i powiedziałem, że jestem nadawcą i nie chcę, by telegram został doręczony.

- Pomyłka - wyjaśniłem.

Nie chciał mnie słuchać. Był wysoki i miał pryszczatą twarz. Zaproponowałem mu dziesięć dolarów. Pokręcił głową i uśmiechnął się z politowaniem. Dwadzieścia dolarów, trzydzieści.

- Nie, nawet za dziesięć milionów - odparł.

Wróciłem do swojego zacienionego zakątka i patrzyłem, jak chłopak doręcza telegram. Camilla była wyraźnie zaskoczona. Pokazała palcem na siebie, nie dowierzając. Nawet po złożeniu podpisu stała jeszcze z telegramem w ręku, patrząc za oddalającym się roznosicielem. Kiedy otwierała telegram, zamknąłem oczy. Po chwili znów spojrzałem - czytała i śmiała się. Podeszła do baru i podała kartkę barmanowi o ziemistej twarzy, temu, którego poprzedniego wieczoru odwieźliśmy do domu. Przeczytał z obojętną miną. Potem podał telegram drugiemu barmanowi. Na nim również nie zrobił wrażenia. Byłem im bardzo wdzięczny. Kiedy Camilla przeczytała telegram po raz drugi, znów poczułem wdzięczność,

ale gdy zaniosała go do stolika, przy którym siedziała grupka pijących mężczyzn, opadła mi powoli szczęka i zrobiło mi się niedobrze. Mężczyźni ryknęli śmiechem. Wzdrygnąłem się i szybko opuściłem swój posterunek.

Skręciłem w Szóstą Ulicę i doszedłem do Main Street. Snułem się bez celu w tłumie obdartych, głodnych ludzi. Przystanąłem przed filipińską salą taneczną przy Drugiej Ulicy. Afisz zachęcał do zabawy z czterdziestoma pięknymi dziewczętami przy nastrojowej muzyce Lonny'ego Killuli i jego zespołu Melodie Hawaiians. Wszedłem na piętro schodami, które odbijały echem kroki, i kupiłem w kasie bilet. Dziewczęta reklamowane na afiszu, w większości blondynki, stały jedna obok drugiej pod przeciwległą ścianą sali, prezentując się okazale w ciasnych sukniach balowych. Nikt nie tańczył. Na podwyższeniu pięcioosobowa orkiestra grała jakąś melodię. Nieliczni klienci, tacy jak ja, stali za niskim wiklinowym płotkiem, naprzeciwko dziewcząt, które zapraszały gestami. Powiodłem wzrokiem po dziewczętach, znalazłem wśród nich blondynkę, której suknia mi się podobała, i kupiłem kilka biletów na tańce. Potem pomachałem do blondynki. Wpadła mi w ramiona niczym dawna kochanka i zatańczyliśmy dwa tańce.

Była miła, mówiła do mnie „kochanie”, ale ja przez cały czas myślałem o dziewczynie dwie ulice dalej i o tym, jak leżałem z nią na piasku i jak się wtedy zbłąźniłem. To nie miało sensu. Wręczyłem słodkiej blondynce garść biletów i wyszedłem na ulicę. Czułem, że na coś czekam. Co rusz zerkałem na zegary uliczne. W końcu zdałem sobie sprawę, że czekam na godzinę jedenastą, kiedy zamykano Columbia Buffet.

Byłem tam kwadrans przed jedenastą, na parkingu przy barze. Podszedłem do auta Camilli i usiadłem na porwanej tapicerce fotela. W rogu parkingu stała budka stróża. Był nad nią czerwony neonowy zegar. Nie spuszczałem z niego wzroku, patrzyłem, jak wskazówka minutowa przesuwają się po tarczy. Nagle zacząłem się bać spotkania z Camilla. Kiedy wierciłem się na fotelu, moja ręka dotknęła czegoś miękkiego. To był czarny beret szkocki z małym puszystym pomponem. Pomacałem go, powąchałem. Pachniał Camilla. Tego mi było trzeba. Wcisnąłem beret do kieszeni i opuściłem parking. Potem wspiąłem się Schodami Aniołów i wróciłem do hotelu. Kiedy znalazłem się w pokoju, wyjąłem swoją zdobycz z kieszeni i rzuciłem na łóżko. Rozebrałem się, zgasilem światło i wzięłem beret w ramiona.

Kolejny dzień, poezja! Napisz dla niej wiersz, wyraż swoje uczucia pięknymi strofami; ale ja nie umiałem pisać wierszy. Wychodziły mi żalosne rymy w rodzaju „kocham-szlocham”, wszystko trąciło tanim sentymentalizmem. Jezu Chryste, co ze mnie za pisarz, jeśli nie potrafię nawet sklecić czterowiersza? Jestem beznadziejny. Stałem przy oknie, wzniosłem ręce ku niebu i zacząłem nimi wymachiwać; ofiara losu, hochsztapler; ani pisarz, ani kochanek; ni pies, ni wydra.

Co ze mną nie tak?

Zjadłem śniadanie i poszedłem do małego katolickiego kościółka na obrzeżach Bunker Hill. Dom parafialny znajdował się na tyłach drewnianej świątyni. Zadzwoiłem do drzwi. Otworzyła kobieta w fartuchu pielęgniarki, jej ręce były utyłane mąką i ciastem.

- Chciałbym porozmawiać z księdzem - powiedziałem.

Kobieta miała kwadratową szczękę i szare złowrogie oczy.

- Ojciec Abbot jest zajęty - oznajmiła. - Czego pan chce?

- Chcę z nim porozmawiać - powtórzyłem.

- Już mówiłam, że jest zajęty.

Ksiądz podszedł do drzwi. Był to zwalisty mężczyzna po pięćdziesiątce. Palił cygaro.

- O co chodzi? - spytał.

Powiedziałem, że chciałem z nim porozmawiać w cztery oczy, bo mam pewien problem. Kobieta prychnęła pogardliwie i zniknęła w głębi korytarza. Ksiądz otworzył szerzej drzwi i zaprowadził mnie do swojego gabinetu - małego pokoju zawałonego książkami i czasopismami. Nagle wybałuszyłem oczy. W jednym z rogów pokoju leżała wielka sterta magazynów Hackmutha. Podszedłem do niej i wyciągnąłem numer ze *Śmiechem małego pieska*. Ksiądz usiadł.

- To wspaniały magazyn - powiedziałem. - Najlepszy ze wszystkich.

Ksiądz założył nogę na nogę i przesunął cygaro w ustach.

- Zgnilizna moralna - orzekł. - Zgnilizna i nic więcej.

- Nie zgadzam się - powiedziałem. - Jestem jednym z najważniejszych autorów publikujących na jego łamach.

- Ty? - zdziwił się. - A co tam publikujesz?

Położyłem magazyn na stole i otworzyłem na *Śmiechu małego pieska*. Ksiądz rzucił okiem i odsunął magazyn na bok.

- Czytałem to opowiadanie - powiedział. - Stek bzdur. A to, co napisałeś o Przenajświętszym Sakramencie, jest wstrętne i dalece mija się z prawdą. Powinieneś się wstydzić.

Odchylił się na krzesło, dając jasno do zrozumienia, że mnie nie lubi. Jego gniewny wzrok spoczął na moim czole, cygaro wędrowało od jednego kącika ust do drugiego.

- No dobrze - odezwał się w końcu. - O czym chcesz rozmawiać?

Cały czas stałem. Czułem, że duchowny nie życzy sobie, bym korzystał z jakiegokolwiek mebla znajdującego się w jego pokoju.

- Chodzi o dziewczynę - zacząłem.

- Co jej zrobiłeś?

- Nic - odparłem, ale nie potrafiłem wydusić z siebie ani słowa więcej.

Ten człowiek wyrwał mi serce. Stek bzdur! Te wszystkie niuanse, błyskotliwe dialogi, niezwykle liryzm - dla niego to był tylko stek bzdur. Zapraǳnąłem zatkać sobie uszy i pójść w jakieś odosobnione miejsce, gdzie nikt nic nie mówił. Stek bzdur!

- Rozmyśliłem się - powiedziałem. - Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

Wstał i podszedł do drzwi.

- W porządku - powiedział. - Miłego dnia.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, oślepiło mnie słońce. Najlepsze opowiadanie w całej literaturze amerykańskiej, a ten osobnik, ten ksiąǳz, nazwał je stekiem bzdur. Może to, co napisałem o Przenajświętszym Sakramencie, nie miało wiele wspólnego z prawdą, może nigdy się nie wydarzyło. Ale ta przenikliwość psychologiczna! Ta proza! To piękno!

Po powrocie do pokoju usiadłem przy maszynie do pisania i postanowiłem się zemścić, pisząc artykuł prasowy, zajadły

atak na Kościół. Tytuł brzmiał: „Upadek Kościoła katolickiego”. Pisałem z wściekłością, strona po stronie, aż uzbierało się sześć. Potem przeczytałem. Tekst był obrzydliwy i niedorzeczny. Podarłem kartki i rzuciłem się na łóżko. Nie miałem jeszcze wiersza dla Camilli, ale kiedy leżałem na łóżku, przyszło natchnienie. Napisałem:

*Wiele zapomniałem, Camillo, życie tak pędzi,
Podczas hucznej zabawy rzucałem wkoło róże,
Tańcząc, by twoje blade lilie wygnać z pamięci,
Lecz nie mogłem stłumić dawnej namiętności głosu.
Tak, przez cały ten czas, choć taniec trwał coraz dłużej,
Byłem ci wierny, śliczna Camillo, na swój sposób.*

Arturo Bandini

Wysłałem wiersz telegramem, byłem z niego bardzo dumny, obserwowałem twarz pana w okienku, kiedy go czytał, piękny wiersz, mój wiersz dla Camilli, odrobina nieśmiertelności w prezencie od Arturo Bandiniego; zapłaciłem za nadanie przesyłki, poszedłem do swojego zakątka w ocienionym wejściu i czekałem. Znany mi już roznosiciel przyjechał na rowerze. Widziałem, jak wręcza telegram, jak Camilla go czyta na środku sali, a potem wzrusza ramionami i drze na strzępy, widziałem, jak te strzępy opadają na trociny, którymi wysłana była podłoga. Pokręciłem głową i poszedłem stamtąd. Nawet poezja Ernesta Dowsona nie robiła na niej żadnego wrażenia, nawet Dowson.

Pies cię trącał, Camillo! Mogę o tobie zapomnieć. Mam pieniądze. Na ulicach roi się od rzeczy, których nie możesz

mi dać. Więc najpierw do Main Street, a potem do Piątej, do ciemnych barów, takich jak King Edward Cellar, gdzie czeka dziewczyna o złocistych włosach i chorobliwym uśmiechu. Miała na imię Jean, była chuda i schorowana, ale trzymała się dzielnie złakniona moich pieniędzy, jej senne usta na moich ustach, jej długie palce na moich spodniach, jej mętne oczy wypatrujące łapczywie każdego dolara.

- A więc masz na imię Jean - powiedziałem. - No, no, piękne imię.

Zatańczymy, Jean, puścimy się w tan! Nie możesz o tym wiedzieć, piękna dziewczyno w niebieskiej sukni, ale tańczysz z dziwakiem, wyrzutkiem społecznym, ni psem, ni wydrą. Piliśmy, tańczyliśmy i znowu piliśmy. Bandini to równy gość, więc Jean zawołała szefa.

- Pan Bandini, pan Schwartz.

Uścisk dłoni.

- Fajny klub, Schwartz, fajne dziewczęta.

Pierwszy drink, drugi i trzeci. Co pijesz, Jean? Spróbowałem brązowawej cieczy, wyglądała jak whisky, to musiała być whisky, skoro przy każdym łyku dziewczyna wykrzywiła swoją słodką twarzyczkę. Ale to nie była whisky, tylko herbata, zwykła herbata za czterdzieści centów. Jean, ty mała kłamczucho, próbujesz oszukać wielkiego pisarza. Nie oszukuj mnie, Jean. Nie oszukuj Bandiniego, miłośnika ludzi i zwierząt. Weź te pięć dolarów i już nie pij, siedź tylko i pozwól mi na siebie patrzeć, bo masz jasne włosy, nie ciemne, nie jesteś taka jak ona, jesteś schorowaną dziewczyną z Teksasu, która musi utrzymywać niedołączną matkę, a nie zarabiasz dużo, dwadzieścia centów na każdym drinku, naciągnęłaś dziś

Arturo Bandiniego zaledwie na dziesięć dolarów, biedna dziewczyno, biedna, zagłodzona dziewczyno o słodkich oczach dziecka i duszy złodzieja. Idź do marynarzy, kochanie. Żaden z nich nie ma dziesięciu dolarów, ale każdy ma to, czego nie mam ja, Bandini, ni pies, ni wydra, dobranoc, Jean, dobranoc.

Inne miejsce, inna dziewczyna. Była taka samotna. Pochodziła z Minnesoty, z dobrej rodziny. Oczywiście, kochanie, opowiedz moim zmęczonym uszom o swojej rodzinie. Opływali w dostatki, lecz potem przyszedł Wielki Kryzys. No tak, to smutne, tragiczne. A teraz pracujesz w tym nędznym barze przy Piątej Ulicy i masz na imię Evelyn, biedna Evelyn, rodzina też się tutaj przeniosta, a twoja siostra to śliczna dziewczyna, nie taka jak ulicznice, które można tu spotkać, świetna dziewczyna, i pytasz, czy chcę ją poznać. Czemu nie? Poszła po siostrę. Niewinna mała Evelyn przeszła przez salę, wyrwała swoją biedną małą siostrzyczkę Vivian z objęć wstrętnych marynarzy i przyprowadziła do naszego stolika. Vivian, to jest Arturo. Arturo, to jest Vivian. Ale co ci się stało w usta, Vivian, kto wykroił je nożem? I czemu masz takie przekrwione oczy, czemu zalatuje ci z buzi rysztkiem, oj, biedne dzieciaki ze wspianiałej Minnesoty. Skądże, nie są Szwedkami, skąd mi to przyszło do głowy? Miały na nazwisko Mortensen, lecz twierdziły, że to nie jest szwedzkie nazwisko, a ich rodzina to Amerykanie od pokoleń. No jasne, dziewczyny z sąsiedztwa.

Wiesz co? - zaczęła Evelyn, po czym wyniszczyła sprawę. Biedna mała Vivian pracowała tam już prawie pół roku i żaden z tych łajdaków nie zamówił jeszcze dla niej szampana.

Czyż to nie woła o pomstę do nieba? Lecz ja, Bandini, wyglądam na porządnego człowieka, Vivian jest taka śliczna i niewinna, więc może bym zamówił dla niej szampana? Droga mała Vivian, dziewczyna z czystych pól Minnesoty, wcale nie Szwedka i prawie dziewica, jeśli nie liczyć tych kilku facetów. Kto mógłby jej odmówić takiego drobiazgu? A zatem przynieś szampana, taniego szampana, w półlitrowej butelce, wszyscy się napijemy, kosztuje tylko osiem dolarów, taniocha, prawda? W Duluth, w ich rodzinnych stronach, za butelkę szampana płaciło się dwanaście dolarów.

Ach, Evelyn i Vivian, kocham was obie, kocham za wasze smutne życie, za dojmującą pustkę waszych powrotów nad ranem. Wy też jesteście samotne, ale nie jesteście takie jak Arturo Bandini, ni pies, ni wydra. Napijcie się, bo kocham was obie, ciebie też, Vivian, mimo że twoja usta wyglądają, jakby ktoś je wyrwał gołymi rękami, a twoje oczy starego dziecka spływają krwią jak szalone sonety.

11

JEDNAK TO MNIE dużo kosztowało. Spokojnie, Arturo Bandini, czyżbyś zapomniał o pomarańczach? Policzyłem, ile pieniędzy mi zostało. Dwadzieścia dolarów i trochę centów. Przestraszyłem się nie na żarty. Zacząłem analizować swoje wydatki, dodawać poszczególne kwoty. Zostało tylko dwadzieścia dolarów - niemożliwe! Okradziono mnie, zgubiłem pieniądze, zaszła jakaś pomyłka. Przetrzęsnałem pokój, zajrzałem do wszystkich kieszeni i szuflad, ale nic więcej nie znalazłem. Zmartwiony i przestraszony postanowiłem czym prędzej wziąć się do pracy, napisać kolejne opowiadanie - rzecz napisana tak szybko musiała być dobra. Ale kiedy usiadłem przy maszynie do pisania, w mojej głowie pojawiła się pustka. Waliłem pięściami w czaszkę, pojękiwałem żałośnie, podłożyłem poduszkę pod zbolące pośladki. Wszystko na nic. Musiałem się zobaczyć z Camilla - za wszelką cenę.

Czekałem na parkingu. O jedenastej wyszła zza rogu. Był z nią Sammy, ten barman. Dostrzegli mnie z daleka i Camil-

ła zniżyła głos. Kiedy podeszli do auta, Sammy powiedział cześć, a ona spytała, czego chce.

- Chcę z tobą porozmawiać.
- Teraz nie mogę.
- Może trochę później?
- Nie mogę, jestem zajęta.
- Nie aż tak, by nie móc się ze mną spotkać.

Otworzyła drzwi auta, żebym wysiadł, ale ja ani drgnąłem.

- Wsiądź z wozu, proszę.
- Nic z tego - powiedziałem.

Sammy się uśmiechnął. Twarz Camilli spąsowiała.

- Wynocha, do cholery!
- Zostaję.
- Chodź, Camillo - powiedział Sammy.

Próbowała mnie wyciągnąć z auta, złapała za sweter, ciągnęła i szarpała.

- Czemu to robisz? - spytała. - Nie widzisz, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego?

- Zostaję - powtórzyłem.
- Dureń!

Sammy ruszył w kierunku ulicy. Camilla dogoniła go i dalej poszli razem. Zostałem sam, przerażony i zawstydzony tym, co zrobiłem. Kiedy zniknęli mi z pola widzenia, wysiadłem z samochodu, wspiąłem się po Schodach Aniołów i wróciłem do swojego pokoju. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zrobiłem coś takiego. Usiadłem na łóżku i próbowałem zapamiętać o tym, co się stało.

Nagle usłyszałem pukanie. Nie zdążyłem powiedzieć „proszę”, bo natychmiast otworzyły się drzwi i stanęła w nich

jakaś kobieta. Patrzyła na mnie z dziwnym uśmiechem na twarzy. Nie była wysoka ani piękna, ale wydawała się dojrzała i dość atrakcyjna. Miała czarne rozbiegane oczy, które błyszczały jak u kobiety, która wypijała za dużo bourbona - oczy szkliste i niezwykle wyzywające. Stała w drzwiach i milczała. Była gustownie ubrana - w czarny płaszcz z futerkowym kołnierzem, czarne buty, czarną spódnicę i białą bluzkę; w ręku trzymała małą torebkę.

- Witaj - powiedziałem.

- Co robisz? - spytała.

- Tak sobie siedzę.

Bałem się. Widok i bliskość tej kobiety paraliżowały mnie. Czy to z powodu szoku wywołanego jej nagłym pojawieniem się, czy na skutek mojego pożałowania godnego stanu ducha jej niespodziewana obecność i szaleńczy błysk o oczach sprawiły, że miałem ochotę zerwać się z łóżka i pobić ją dotkliwie - musiałem stłumić w sobie to pragnienie. Zresztą odczuwałem je tylko przez chwilę, potem zniknęło. Zaczęła iść przez pokój, wpatrując się we mnie tymi swoimi ciemnymi wyzywającymi oczami, a ja odwróciłem głowę w stronę okna. Nie przejmowałem się jej bezceremonialnością, lecz tamtym uczuciem, które przeszło mnie jak kula. Pokój wypełnił zapach perfum, jaki ciągnie się za kobietami w holach luksusowych hoteli. Czułem się niepewnie, byłem zdenerwowany.

Kiedy kobieta zbliżyła się do mnie, nie wstałem, siedziałem nieruchomo, a potem wziąłem głęboki oddech i znów na nią spojrzałem. Miała nieco pękaty, ale niebrzydki nos, usta - grube i różowe, nieumalowane. Jednak największe

wrażenie robiły oczy - ich blask, zwierzęcość, nieposkromioność.

Podeszła do biurka i wyciągnęła kartkę z maszyny do pisania. Nie wiedziałem, co się dzieje. Wciąż milczałem, ale wyczułem alkohol w jej oddechu, a potem także bardzo dziwny, lecz wyraźny odór rozkładu, słodkawy i mdlący, woń starości, zapach starzejącej się kobiety.

Zerknęła na tekst, lecz natychmiast ją zirytował. Cisnęła kartkę za siebie i ta opadła zygzakiem na podłogę.

- To jest do niczego - rzekła nieznajoma. - Nie umiesz pisać. Ani trochę.

- Wielkie dzięki - odparłem.

Zapytałem ją, czego chce, ale nie odpowiedziała. Zerwałem się z łóżka i zaproponowałem, żeby usiadła na jedynym w pokoju krześle. Nie chciała. Spojrzała na krzesło, potem na mnie, bardzo wymownie, dając do zrozumienia ironicznym uśmiechem, że interesują ją ważniejsze sprawy niż to, żeby tylko usiąść. Potem chodziła po pokoju, czytając teksty umieszczone na kartkach, które przykleiłem do ścian. Były to cytaty z Menckena, Emersona i Whitmana. Wszystkie budziły w niej wstręt. Fe, fe, fe! Gestykulowała, wykrzywiała usta. Potem usiadła na łóżku, zsunęła płaszcz na wysokość łokci, oparła dłonie na biodrach i popatrzyła na mnie z bezgraniczną pogardą.

Zaczęła recytować powoli i dramatycznie:

*Kim mogę być, jeśli nie prorokinią fałszywą,
Gdy oni mnie poczeli - mnich z czarownicą zdradliwą?
Wychowana w cieniu krzyża, czarami karmiona,
Kim mogę być, jeśli nie córką chrzestną demona?*

To była Millay poznałem od razu. Kobieta deklamowała bez końca, znała więcej wierszy Millay niż sama Millay, a kiedy wreszcie skończyła, uniosła na mnie wzrok i powiedziała:

- To jest literatura! Nie masz zielonego pojęcia o literaturze, głupcze!

Poddałem się nastrojowi poezji, więc kiedy ta kobieta tak nagle przerwała, żeby mnie potępić, znowu się stropiłem.

Próbowałem coś powiedzieć, ale mi nie pozwoliła. Mówiła dalej z teatralną manierą Barrymore'a, głosem głębokim i tragicznym, że to taka żałosna, idiotyczna i absurdałna sprawa: beznadziejny pisarz tkwiący w tanim hoteliku w Los Angeles w Kalifornii i wypisujący jakieś banialuki, których nikt nie przeczyta i nie będzie miał okazji zapamiętać.

Położyła się na łóżku, spłotła dłonie za głową i powiedziała z rozmarzeniem do sufitu:

- Będziesz się ze mną kochał tej nocy, pisarzu z bożej łaski, tak, tej nocy będziesz się ze mną kochał.

- Z czego to jest? - zapytałem.

Uśmiechnęła się.

- Czy to ważne? Jesteś nikim, a ja mogłam być kimś. Miłość jest drogą prowadzącą do każdego z nas.

Intensywny zapach tej kobiety wypełnił już cały pokój i można było odnieść wrażenie, że to jej pokój, nie mój, że jestem w nim tylko gościem. Pomyślałem, że powinniśmy wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza. Zapytałem, czy pójdzie ze mną na spacer.

Błyskawicznie usiadła.

- Słuchaj. Mam pieniądze! Pójdziemy na drinka!

- Czemu nie? - powiedziałem. - Dobry pomysł.

Wciągnąłem sweter. Kiedy się potem odwróciłem, kobieta stała tuż przy mnie. Dotknęła koniuszkami palców moich ust. Słodki odór był tak silny na jej palcach, że natychmiast podszedłem do drzwi i otworzyłem je, żebyśmy już wyszli.

Poszliśmy na górę, a potem przez hol. Kiedy mijaliśmy recepcję, stwierdziłem z ulgą, że właścicielka hotelu położyła się spać. Z jakiegoś powodu nie chciałem, żeby pani Hargraves zobaczyła mnie z tą kobietą. Poprosiłem nawet nieznaną, żeby przeszła przez hol na palcach, co zresztą uczyniła z wielką ochotą, traktując to jako przygodę. Była tak podekscytowana, że ścisnęła moją rękę.

Mgła zasnuwała Bunker Hill, ale nie centrum miasta. Ulice były puste i stukot obcasów kobiety odbijał się echem od starych budynków. Szarpnęła mnie za rękaw. Pochyliłem się, żeby usłyszeć wypowiedane szeptem słowa.

- Będziesz wspaniała! Cudowny!
- Nie mówmy teraz o tym. Chodźmy.

Chciała się napić. Domagała się drinka. Otworzyła torebkę i pomachała dziesięciodolarowym banknotem.

- Patrz, pieniądze! Mam mnóstwo pieniędzy!

Poszliśmy do Baru u Salomona, gdzie grywałem na fliperze. W środku nie było nikogo poza samym Salomonem, który stał z podbródkiem wspartym na dłoniach, zmartwiony brakiem klientów. Skierowaliśmy się do boks przy oknie. Czekałem, aż kobieta usiądzie, ale ona nalegała, bym zrobił to pierwszy. Salomon podszedł do naszego stolika, żeby przyjąć zamówienie.

- Whisky! - wykrzyknęła. - Duża whisky!

Salomon ściągnął brwi.

- Dla mnie małe piwo - powiedziałem.

Salomon popatrzył na kobietę tak poważnym i badawczym wzrokiem, że zmarszczyła mu się łysina. Wyczułem pokrewieństwo między nimi, domyśliłem się, że ona też jest Żydówką. Salomon poszedł po napitki, a kobieta o błyszczących oczach splotła dłonie na stole i przebierała nerwowo palcami. Ja z kolei usiłowałem znaleźć sposób, żeby się od niej jak najszybciej uwolnić.

- Whisky dobrze ci zrobi - powiedziałem.

Nagle chwyciła mnie za gardło, ale delikatnie, czułem na szyi jej długie paznokcie i krótkie palce, kiedy mówiła o moich ustach, wspaniałych ustach; Boże, jakież ja miałem wspaniałe usta!

- Pocałuj mnie!

- Dobrze - odparłem. - Ale najpierw się napijmy.

Zacisnęła zęby.

- Więc ty też wiesz! - wykrzyknęła. - Jak oni wszyscy. Wiesz o moich bliznach i dlatego nie chcesz mnie pocałować. Budzę w tobie odrazę!

Pomyślałem, że to wariatka i że muszę uciec. Pocałowała mnie, jej usta smakowały pasztetówką i żytnią whisky. Potem odchyliła się do tyłu i odetchnęła z ulgą. Wyjąłem chusteczkę i otarłem pot z czoła. Salomon wrócił z napitkami. Sięgnąłem po pieniądze, lecz kobieta błyskawicznie zapłaciła. Salomon poszedł po drobne, żeby wydać resztę, ale przywołałem go z powrotem i wręczyłem własny banknot. Kobieta ciskała się i protestowała, tupiała obcasami i waliła pięściami w stół. Salomon uniósł dłonie w geście bezradności i przyjął od niej pieniądze. Kiedy odwrócił się do nas plecami, powiedziałem:

- Życzę dobrej zabawy, miła damo, ja muszę już lecieć.

Wtedy przyciągnęła mnie do siebie i objęła kurczowo, siłowaliśmy się przez chwilę, lecz zaraz dałem za wygraną, bo sytuacja była dość groteskowa. Musiałem wymyślić inny sposób ucieczki.

Salomon przyniósł resztę. Wziąłem z niej pięciocentówkę i powiedziałem kobiecie, że chcę zagrać na flipperze. Kiedy wstałem, żeby podejść do flippera, przepuściła mnie bez słowa. Potem patrzyła na mnie jak na ulubionego pupila, a Salomon patrzył na nią jak na kryminalistkę. Poszło mi nie najgorzej. Zawołałem do Salomona, żeby rzucił okiem na wynik, który uzyskałem.

Później szepnąłem:

- Co to za kobieta, Salomonie?

Nie wiedział. Była w jego barze wcześniej tamtego wieczoru i piła na umór. Powiedziałem mu, że chcę się wydostać tylnym wyjściem.

- Drzwi na prawo - rzekł.

Po wypiciu whisky zaczęła walić w stół pustą szklanką. Podeszedłem, wypilem łyk piwa i oznajmiłem mojej towarzyszce, że muszę ją na chwilę opuścić. Machnąłem kciukiem w stronę męskiej toalety. Poklepała mnie po ręce. Salomon patrzył, jak otwierałem drzwi naprzeciwko męskiej toalety. Prowadziły do niewielkiego magazynu, w którym było tylne wyjście. Kiedy mgła otuliła moją twarz, od razu poczułem się lepiej. Pragnąłem uciec jak najdalej. Chociaż nie byłem głodny, poszedłem do budki z hot dogami przy Ósmej Ulicy i dla zabicia czasu wypilem kawę. Wiedziałem, że gdy ta kobieta zrozumie, co się stało, wróci do mojego pokoju.

Coś mi mówiło, że to osoba chora na umyśle. Mogło też być tak, że po prostu za dużo wypiła. W każdym razie nie chciałem jej więcej widzieć.

Wróciłem do swojego pokoju o drugiej w nocy. Osobowość tej kobiety i tajemniczy zapach starości zawładnęły nim na dobre, to już nie był mój pokój. Po raz pierwszy skalano moją samotnię, odkryto wszelkie jej sekrety. Otworzyłem oba okna i patrzyłem, jak mgła wpełza posępnie do środka. Kiedy w pokoju zrobiło się zimno, zamknąłem je. Mimo że pokój był teraz wilgotny od mgły, a kartki papieru i książki pokrywała cienka warstewka rosy, charakterystyczny zapach pozostał. Miałem pod poduszką beret Camilli. On też wydawał się przesiąknięty tym zapachem i kiedy przycisnąłem go do ust, poczułem się tak, jakbym wtulił twarz w czarne włosy tej kobiety. Usiadłem przy maszynie do pisania i zacząłem stuknąć leniwie w klawisze.

Wkrótce potem usłyszałem kroki na korytarzu. Wiedziałem, że to ona. Szybko zgasilem światło, ale było już za późno - pewnie zauważyła wąską smugę światła pod drzwiami. Zapukała, nie odezwałem się. Zapukała drugi raz, lecz ja spokojnie paliłem papierosa. Potem walnęła pięściami w drzwi i ostrzegła, że zaraz zacznie w nie kopać i będzie to robić przez całą noc, jeśli nie otworzę. I rzeczywiście zaczęła kopać. Hałas był tak wielki, że hotel trząsł się w posadach. Rzucałem się do drzwi i otworzyłem je.

- Najdroższy! - zawołała, wyciągając do mnie ręce.

- O Boże! - jęknąłem. - Nie uważasz, że to zaszło za daleko? Nie widzisz, że mam tego dosyć?

- Dlaczego zostawiłeś mnie tam samą? Czemu to zrobiłeś?
- Miałem inne sprawy.
- Najdroższy, jak możesz tak mnie okłamywać?
- Jasny gwint!

Przeszła przez pokój i znów wyciągnęła kartkę z maszyny do pisania. Nie było na niej nic sensownego - jakieś pojedyncze frazy, moje nazwisko napisane wiele razy, fragmenty wierszy. Teraz jednak na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Jakież to cudowne! - zachwyciła się. - Jesteś geniuszem! Mój najdroższy jest taki utalentowany!

- Mam mnóstwo roboty - powiedziałem. - Mogłabyś już iść?

Puściła moje słowa mimo uszu. Usiadła na łóżku, rozpięła guziki płaszczu i zaczęła machać nogami.

- Kocham cię - wyznała. - Jesteś moją miłością i będziesz się ze mną kochał.

- Innym razem - powiedziałem. - Nie tej nocy. Jestem zmęczony.

Słodkawy zapach dosięgnął! moich nozdrzy.

- Mówię poważnie - dodałem. - Lepiej już idź. Nie zmuszaj mnie, żebym cię wyrzucił.

- Jestem taka samotna.

Powiedziała to serio. Coś było nie tak, miała problemy. Zrobiło mi się wstyd z powodu własnego zachowania.

- No dobrze - powiedziałem. - Posiedzimy sobie trochę i porozmawiamy.

Podsunałem bliżej krzesło, usiadłem okrakiem i wparłem podbródek na oparciu. Kobieta poprawiła się na łóżku. Nie była tak pijana, jak sądziłem. Działo się z nią coś niedobrego,

ale nie z powodu alkoholu. Chciałem się dowiedzieć, o co właściwie chodzi.

Mówiła bez ładu i składu. Powiedziała, że ma na imię Vera. Przez jakiś czas pracowała jako gosposia u zamożnej żydowskiej rodziny w Long Beach. Miała już dość tej pracy. Przyjechała z Pensylwanii, uciekła od męża, który ją zdradzał. Tego dnia przybyła do Los Angeles z Long Beach. Zobaczyła mnie w restauracji na rogu Olive i Drugiej. Poszła za mną do hotelu, bo moje oczy „przeszyły jej duszę”. Nie pamiętałem jednak, że bym ją tam dostrzegł. Byłem przekonany, że nigdy wcześniej jej nie widziałem. Kiedy już wiedziała, gdzie mieszkam, udała się do Baru u Salomona. Piła tam przez cały dzień, ale tylko po to, by dodać sobie odwagi przed pójściem do mojego pokoju.

- Wiem, że budzę w tobie odrazę - powiedziała. - Ty wiesz o moich okropnych bliznach ukrytych pod ubraniem. Ale spróbuj zapomnieć o moim szpetnym ciele, bo mam dobre serce i zasługuję na coś lepszego niż twoje obrzydzenie.

Milczałem.

- Wybacz mojemu ciału! - wykrzyknęła, wyciągając ku mnie ręce i zalewając się łzami. - Pomyśl o mojej duszy! Moja dusza jest piękna i może tak wiele ci ofiarować. Ciało jest szpetne, ale nie dusza!

Płakała histerycznie, z twarzą przytuloną do łóżka, z rękami we włosach, a ja byłem bezradny, nie miałem pojęcia, o czym ona mówi; och, miła damo, nie płacz, nie rób tego. Ująłem jej gorącą dłoń i próbowałem jej powiedzieć, że nie wypowiada się jasno i że to takie niemądre, cała ta paplanina, że sama się nad sobą znęca, a tak nie wolno, mówiłem w ten sposób, gestykulując, błagając ją o opamiętanie.

- Jesteś atrakcyjną kobietą, masz piękne ciało, a twoje słowa to skutek obsesji, lęków z dzieciństwa, dawnej traumy wywołanej ospą. Nie martw się, nie płacz, uporasz się z tym. Jestem tego pewien.

Byłem nieporadny i tylko potęgowałem jej cierpienie, bo ta nieszczęsna kobieta przebywała w piekle, które sama sobie stworzyła, gdzieś daleko ode mnie, i dźwięk mojego głosu jedynie powiększał przepaść między nami. Potem postanowiłem zająć jej myśli czymś innym, rozbawić ją opowieścią o moich obsesjach. Słuchaj, miła damo, Arturo Bandini też ma swoje obsesje. Po tych słowach wyciągnąłem spod poduszki beret z małym pomponem.

- Słuchaj, miła damo! Ja też mam lekkiego fioła. Wiesz, co ja robię? Kładę się z tą czarną czapeczką do łóżka, przytulam ją i mówię: „Kocham cię, kocham, piękna księżniczko!”.

Mówiłem dalej. Nie jestem aniołem, w mojej duszy też nie brakuje mrocznych zakamarków, więc nie musisz czuć się samotna, miła damo, bo masz towarzystwo, masz Arturo Bandiniego, a on ci jeszcze niejedno opowie. Wiesz, co zrobiłem któregoś wieczoru? Wiesz, jaką okropną rzecz uczyniłem? Otóż któregoś wieczoru ujrzałem kobietę o nieziemskiej urodzie, spowitą obłokiem perfum i zupełnie straciłem głowę, nie wiem, kim była owa kobieta w futrze z rudego lisa i w eleganckim kapeluszu, Bandini ruszył w ślad za nią, piękną jak marzenie, widział, jak wchodzi do Groty Rybnej Bernsteina, obserwował ją zauroczony przez okno, za którym pływały w akwariach pstrągi i żaby, obserwował ją jedzącą samotnie, ale czy wiesz, miła damo, co zrobiłem potem? Nie płacz, bo to dopiero początek tej historii, jestem okropny, miła damo,

a moje serce wypełnia czarny atrament, otóż ja, Arturo Bandini, wszedłem do Groty Rybnej Bernsteina i usiadłem na krześle, na którym jeszcze przed chwilą siedziała ta kobieta, po czym z dreszczem rozkoszy wziąłem w palce serwetkę, której używała. Był w nią zawinięty niedopałek papierosa ze śladem szminki. I wiesz, co wtedy zrobiłem, miła damo, której problemy są takie błahe i śmieszne? Zjadłem ten niedopałek, przeżułem tytoń i bibułkę, a potem wszystko połknąłem, i nawet mi smakowało, bo ta kobieta była taka piękna, następnie sięgnąłem po łyżeczkę leżącą obok talerza i schowałem ją do kieszeni, a później co jakiś czas wyjmowałem ją z kieszeni i wkładałem do ust, bo ta kobieta była taka piękna. Miłość dla ubogich, darmowa heroina dla czarnego serca Arturo Bandiniego, pamiątka z restauracji, w której pływały pstrągi i żaby. Nie płacz, miła damo, zachowaj łzy dla Arturo Bandiniego, bo on też ma problemy, wielkie problemy, to, o czym powiedziałem, to jeszcze nic, mógłbym ci opowiedzieć o nocy spędzonej na plaży z meksykańską księżniczką, o mojej obojętności na jej ciało, o jej pocałunkach - zwiędłych bezwonnych kwiatach w ogrodzie mojej namiętności.

Ale ona nie słuchała, zwlokła się z łóżka, upadła przede mną na kolana i zaczęła błagać, bym powiedział, że nie jest odrażająca.

- Powiedz! - zaszlochała. - Powiedz, że jestem tak piękna jak inne kobiety.

- Oczywiście, że jesteś! Jesteś bardzo piękna!

Usiłowałem ją podnieść, ale trzymała się mnie kurczowo i mogłem co najwyżej próbować ją pocieszyć, nie wychodzi-

to mi to, byłem nieporadny, a ona była pogrążona w przepastnej otchłani, lecz mimo wszystko próbowałem.

Potem znów zaczęła się żalić na swoje blizny, te wstrętne blizny, które zniszczyły jej życie, nie dały szansy na miłość i pchnęły jej męża w ramiona innej, ale ja nic z tego nie rozumiałem, bo na swój sposób była urodziwą kobietą, bez śladów kalectwa czy oszpeceń, z pewnością znaleźliby się mężczyźni, którzy mogliby ją pokochać.

Kiedy podniosła się z kolan, włosy opadły jej na twarz i niektóre kosmyki przykleiły się do mokrych policzków, oczy miała przekrwione, wyglądała jak przeżarta goryczą wariatka.

- Pokażę ci! - krzyknęła. - Zobaczysz na własne oczy, kłamco, kłamco!

Rozpięła czarną spódnicę, pozwalając jej opaść do kostek. Potem wyszła poza jej obręb, robiąc dwa małe krocзки. Prezentowała się bardzo dobrze w białej halce i nie omieszkałem jej o tym powiedzieć.

- Jesteś śliczna! Mówiłem ci, że jesteś śliczna!

Wciąż płakała, gdy usiłowała rozpiąć haftki bluzki. Powiedziałem, że nie musi niczego więcej zdejmować, bo już dowiodła ponad wszelką wątpliwość, iż niepotrzebnie znęca się nad sobą.

- Nie - odparła. - Musisz zobaczyć.

Ponieważ nie radziła sobie z haftkami na plecach, stanęła tyłem do mnie i poprosiła, żebym je rozpiął. Machnąłem ręką.

- Na litość boską, daj spokój - powiedziałem. - Przekonałaś mnie. Nie musisz się rozbierać.

Zaszlochała rozpaczliwie, po czym chwyciła dwiema rękami cienką bluzkę i zdarła ją z siebie.

Kiedy zaczęła ściągać halkę, odwróciłem się i podszedłem do okna, wiedząc, że ta kobieta chce mi pokazać coś nieprzyjemnego. Zaczęła się ze mnie śmiać i naigrywać.

- No widzisz! Jednak o nich wiesz! Wiesz o nich wszystko!

Musiałem przez to przejść. Kiedy się odwróciłem, była prawie naga - w samych pończochach i butach. Zobaczyłem blizny, znajdowały się na udach i wyglądały jak znamiona albo oparzenia, połacie suchej, pomarszczonej, martwej skóry.

- A więc o to chodzi? - zdziwiłem się. - O tym mówiłaś? To nic takiego, rzecz niewarta uwagi. - Jednak słowa wzięły mi w gardle, musiałem wypowiadać je szybko. - To błahostka, prawie tego nie widać. Jesteś śliczna, wspaniała!

Popatrzyła na siebie z niedowierzaniem, a potem znów spojrzała na mnie, ale odwróciłem wzrok, bo zrobiło mi się niedobrze, gdy poczułem gęsty, słodkawy zapach jej obecności; znów zapewniłem, że jest piękna, lecz zabrzmiało to jak skomlenie - piękna mała dziewczynka, dziewica bez skazy, prawdziwe чудо. Bez słowa, rumieniąc się, podniosła z podłogi halkę, włożyła ją przez głowę i wydała z siebie przeciągły jęk tajemniczej satysfakcji.

Była teraz nieśmiała, ale szczęśliwa. Roześmiałem się, stwierdziwszy, iż słowa przychodzą mi łatwiej, znów mówiłem, że jest śliczna i że nie powinna być takim głuptasem. Prędej, Arturo, prędzej - coś we mnie wzbierało, musiałem wyjść, więc powiedziałem jej, że pospaceruję chwilę po korytarzu i żeby się w tym czasie ubrała. Zakryła się, a jej oczy były przepelnione radością, kiedy patrzyła, jak wychodzę. Poszedłem na koniec korytarza, gdzie znajdował się podest schodów pożarowych, i wybuchnąłem gromkim płaczem, po-

nieważ Bóg był cholernym oszustem, zwykłą świnią, skoro uczynił tej kobiecie coś takiego. Zstąp z nieba, Boże, bo chcę rozkwasić Ci gębę, okrutny żartownisiu. Gdyby nie Ty, ta kobieta nie byłaby tak okaleczona i świat nie byłby tak okaleczony; gdyby nie Ty, posiadłbym na plaży Camillę Lopez, ale nie - Ty musisz płatać ludziom figle. Zobacz, co zrobiłeś tej kobiecie, zobacz, co uczyniłeś z miłością Arturo Bandiniego do Camilli Lopez. Nagle moja tragedia wydała mi się o wiele większa od tragedii tej kobiety i zapomniałem o nieszczęsnej.

Kiedy wróciłem, była już ubrana i czesała włosy przed małym lusterkiem. Rozerwaną bluzkę wcisnęła do kieszeni płaszcza. Sprawiała wrażenie wycieńczonej, ale zarazem spokojnej i szczęśliwej. Zaproponowałem, że odprowadzę ją na stację w centrum, skąd będzie mogła wrócić kolejką elektryczną do Long Beach. Powiedziała, że nie muszę jej odprowadzać, a potem napisała na kartce swój adres.

- Kiedyś przyjedziesz do Long Beach - oznajmiła. - Długo będę czekała, ale w końcu przyjedziesz.

Pożegnaliśmy się w drzwiach. Podała mi dłoń - ciepłą, pełną życia.

- Do zobaczenia - powiedziała. - Uważaj na siebie.

- Do zobaczenia, Vero.

Po jej wyjściu nie odzyskałem swojej samotni, nie było ucieczki od dziwnego zapachu. Leżałem na łóżku i nawet Camilla wydawała mi się teraz obca, mimo że miałem pod poduszką jej берет. Powoli ogarniało mnie pożądanie i smutek; mogłeś ją mieć, głupcze, mogłeś zaznać rozkoszy tak jak z Camilla, ale znów nic nie zrobiłeś. Przez całą noc Vera zakłócała mój sen. Budziłem się, żeby wciągnąć w nozdrza jej

ciężki zapach albo dotknąć mebli, których dotykała, albo pomyśleć o wierszach, które recytowała. Nie pamiętałem potem, o której godzinie zasnąłem, bo kiedy się obudziłem o dziesiątej rano, wciąż byłem zmęczony, wachałem powietrze i myślałem gorączkowo o tym, co się wydarzyło. Tak dużo mogłem jej wtedy powiedzieć, a ona przyjąłaby to życzliwie. Mogłem powiedzieć: słuchaj, Vero, sytuacja jest taka a taka, stało się to i to, więc jeśli zrobisz to i to, tamto się nie powtórzy, bo taka a taka osoba myśli o mnie to i to, a tak dłużej być nie może; będę próbował to zmienić, dopóki nie skonam, bo tak dłużej być nie może.

Przez cały dzień siedzę w pokoju i rozmyślam; myślę o paru innych Włochach, o Casanovie i Cellinim, a potem myślę o Arturo Bandinim i muszę się palnąć w głowę. Moje myśli zaczynają krążyć wokół Long Beach, mówię sobie, że mógłbym odwiedzić to miasto, a przy okazji Vere, żeby porozmawiać z nią o moim wielkim problemie. Myślę o tym martwym miejscu, bliznach na jej ciele, i szukam odpowiednich słów na opisanie ich w swoim tekście. Potem mówię sobie, że Vera mimo swoich ułomności mogłaby zdziałać cud, a kiedy już cud się dokona, nowy Arturo Bandini zmierzy się ze światem 1 z Camilla Lopez, Bandini z dynamitem w trzewiach i ogniem w oczach, Bandini, który idzie do owej Camilli Lopez i mówi: słuchaj, młoda damo, mam dosyć twojej bezczelności, więc bądź tak miła i rozbierz się. Takie fantazje sprawiają mi nie lada przyjemność, kiedy leżę na łóżku i wpatruję się w sufit.

Któregoś popołudnia, poinformowawszy panią Hargraves, że wyjeżdżam w sprawach służbowych do Long Beach na dzień lub dwa, wyruszam w drogę. Mam w kieszeni adres

Very i mówię sobie: Bandini, przygotuj się na wielką przygodę, pocuj w sobie ducha zdobywcy. Na rogu spotykam Hellfricka, który znów marzy o kawałku mięsa. Daję mu trochę pieniędzy, a on leci zaraz do sklepu mięsnego. Potem idę na stację i wsiadam do czerwonego wagonu kolejki elektrycznej do Long Beach.

12

ZOBACZYŁEM JEJ NAZWISKO na skrzynce na listy - Vera Rivken. Mieszkała przy Long Beach Pike, naprzeciwko diabelskiego koła i kolejki górskiej. Na dole sala bilardowa, na górze kilka jednopokojowych mieszkań. Już na schodach poczułem charakterystyczny zapach tej kobiety. Poręcz była pogięta i przekrzywiona, a ściana pokryta pęcherzykami szarej farby, które pękały, kiedy naciskałem je kciukiem.

Zapukałem do drzwi i Vera je otworzyła.

- Tak szybko? - zdziwiła się.

Weź ją w ramiona, Bandini. Nie krzyw się, kiedy cię całuje, tylko uwolnij się delikatnie, z uśmiechem na twarzy i powiedz coś.

- Wspaniale wyglądasz - powiedziałem.

Nie zdążyłem jednak nic dodać, bo znów mnie objęła, przywarła do mnie niczym wilgotna gałązka winnej latorośli, a jej język, sprężysty jak przestraszony wąż, szukał moich ust. Bandini, wielki włoski kochanku, odwzajemnij jej namiętność! Śliczna Żydówko, bądź tak miła i zwolnij tempo!

Oswobodziwszy się po raz wtóry, podszedłem do okna i pochwalilem widok na morze.

- Ładny widok - powiedziałem.

Ale ona już zdejmowała mój płaszcz, już prowadziła mnie do krzesła w rogu pokoju, już ściągała mi buty.

- Rozgość się - powiedziała.

Potem zniknęła, a ja siedziałem z zaciśniętymi zębami, patrząc na pokój podobny do dziesięciu milionów innych kalifornijskich pokoi, tu trochę drewna, tam dywanik, parę mebli, pajęczyny na ścianach i pył w kątach, jej pokój, każdy pokój w Los Angeles, Long Beach, San Diego, kilka płyt gipsowych chroniących przed słońcem.

Vera była teraz w małej białej dziupli zwanej umownie kuchnią, przestawiała garnki i pobrzękiwała szklankami, a ja zastanawiałem się, dlaczego raz jest taka, raz inna, zależnie od tego, czy przebywa ze mną, czy nie. Rozejrzałem się za kadzidłem, ten słodkawy zapach musiał skądś się brać, ale w pokoju nie było kadzielnicy, niczego nie było poza paroma brudnymi niebieskimi wyściełanymi meblami, stołem, na którym leżało kilka książek, i lustrem umieszczonym nad łóżkiem chowanym w szafie. W końcu wyszła z kuchni, niosąc szklankę mleka.

- Proszę - powiedziała. - Coś dla ochłody.

Ale mleko wcale nie było chłodne, było niemal gorące, z żółtawym kożuchem na wierzchu. Pijąc je, czułem smak jej ust i to, co jadła - chleb żytni i ser camembert.

- Bardzo dobre - powiedziałem. - Pyszne.

Siedziała u mych stóp, trzymając dłonie na moich kolanach, i wpatrywała się we mnie zgłodniałymi oczami, tak

niezwykłymi i wielkimi, że mogłem się w nich zatracić. Była ubrana tak samo jak poprzednio, w te same ciuchy, a ponieważ mieszkanie świeciło pustkami, domyśliłem się, że to jej jedyne ubranie. Moje niespodziewane przybycie pozbawiło ją szansy użycia pudru czy różu, więc widziałem teraz zmarszczki pod oczami i na policzkach. Zastanawiałem się, czemu nie zauważyłem ich tamtej nocy, ale potem przypomniałem sobie, że owszem - dostrzegłem je pod warstwą pudru i różu, tylko że później o nich zapomniałem, pogrążony przez dwa dni w rozmyślaniach i marzeniach o niej, a teraz byłem tutaj i wiedziałem, że nie powinienem był przyjeżdżać.

Rozmawialiśmy. Zapytała o moją pracę, ale tak tylko, dla zachowania pozorów, bo nie interesowała jej moja praca. Ja też odpowiedziałem dla zachowania pozorów, bo mnie również nie interesowała moja praca. Interesowało nas jedno i Vera dobrze o tym wiedziała, bo dałem to jasno do zrozumienia, przyjeżdżając do niej.

Gdzie się" jednak podziały słowa i pragnienia, które ze sobą przywiozłem? Gdzie te wszystkie fantazje i żądze? Co się stało z moją odwagą i czemuż to śmiałem się teraz tak głośno z tego, co wcale nie było śmieszne? Dalej, Bandini, pocuj w sobie ogień, oddaj się rozkoszy - tak, jak to opisują w książkach. Dwie osoby razem w pokoju, jedną z nich jest kobieta, drugą Arturo Bandini, ni pies, ni wydra.

Kolejna długa chwila milczenia, głowa tej kobiety leży na moich kolanach, moje palce bawią się jej czarnymi włosami, oddzielają siwe kosmyki. Obudź się, Arturo! Szkoda, że nie widzi cię teraz Camilla Lopez, dziewczyna o dużych czarnych oczach, twoja prawdziwa miłość, twoja księżniczka Ma-

jów. Arturo, jesteś taki utalentowany! Może i napisałeś *Śmiech małego pieska*, ale nigdy nie napiszesz *Pamiętników Casanovy*. Co ty teraz robisz? Marzysz o stworzeniu arcydzieła? O Bandini, ty głupcze!

Podniosła na mnie wzrok i zobaczyła, że mam zamknięte oczy. Nie wiedziała, o czym myślę. A może wiedziała. Może dlatego powiedziała:

- Jesteś zmęczony, zdrzemnij się.

Może dlatego rozłożyła chowane łóżko i nalegała, żebym się na nim położył, a potem położyła się obok, opierając głowę na mojej piersi. Może dlatego, patrząc mi w oczy, powiedziała:

- Kochasz inną, prawda?

- Tak - przyznałem. - Kocham dziewczynę z Los Angeles. Dotknęła mojej twarzy.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz.

Pragnąłem jej powiedzieć, dlaczego przyjechałem, miałem to już na końcu języka, ale wiedziałem, że tego nie uczynię. Leżeliśmy obok siebie i wpatrywaliśmy się w sufit. Bawiłem się myślą, że jej powiem.

- Chciałbym ci o czymś powiedzieć - odezwałem się. - Może mogłabyś mi pomóc.

I na tym skończyłem. Nie mogłem jej powiedzieć, liczyłem, że sama się domyśli, ale kiedy zaczęła wypytywać, co mnie trapi, zdałem sobie sprawę, że to zmierza w złym kierunku, i tylko kręciłem głową, robiąc zniecierpliwione miny.

- Nie mówmy o tym - przerwałem jej. - Nie mogę ci powiedzieć.

- W takim razie opowiedz mi o niej.

Nie mogłem tego zrobić, nie mogłem opowiedzieć jednej kobiecie o swoim zachwycie inną. Może dlatego spytała:

- Jest piękna?

Powiedziałem, że tak. Może dlatego spytała:

- Kocha cię?

Powiedziałem, że nie. Potem moje serce zabiło żywiej, bo Vera była już o krok od zadania pytania, o które mi chodziło. Głaskała mnie po czole, a ja czekałem.

- Dlaczego cię nie kocha?

No właśnie! Wystarczyło, żebym teraz odpowiedział, a sprawa byłaby jasna, lecz ja odrzekłem tylko:

- Po prostu mnie nie kocha, i tyle.

- Bo kocha kogoś innego?

- Nie wiem. Może.

Może to, może tamto, pytania, pytania, mądra okaleczona kobieta szukająca po omacku miłosnego żaru Arturo Bandiniego, zabawa w kotka i myszkę z Bandinim gotowym wszystko wyjawić.

- Jak ma na imię?

- Camilla.

Usiadła i dotknęła moich ust.

- Czuję się taka samotna. Udawajmy, że jestem nią.

- Tak, właśnie - odrzekłem ochoczo. - Masz na imię Camilla.

Otworzyłem ramiona i wtuliła się we mnie.

- Mam na imię Camilla - potwierdziła.

- Jesteś piękna - powiedziałem. - Jesteś księżniczką Majów.

- Jestem księżniczką Camilla.

- Cała ta ziemia i morze należą do ciebie. Cała Kalifornia. Nie ma Kalifornii, nie ma Los Angeles, tych brudnych ulic, tanich hotelików, wstrętnych gazet, zrujnowanych, wykorze-nionych ludzi ze Wschodu, okazałych bulwarów. Jest twoja piękna kraina z pustynią, górami i morzem. Jesteś księżnicz-ką i władasz tym wszystkim.

- Jestem księżniczką Camilla - zaszlochała. - Nie ma Amerykanów, nie ma Kalifornii. Tylko pustynia, góry i morze, a ja nimi władam.

- Potem przychodzę ja.

- Ty przychodzisz.

- Jestem sobą. Jestem Arturo Bandini. Największy pisarz, jakiego widział świat.

- No tak - zakrzuszyła się. - Oczywiście! Arturo Bandini, wielki geniusz! - Wtuliła twarz w moją szyję i poczułem na gar-dle jej ciepłe łzy. Objąłem ją mocno. - Pocałuj mnie, Arturo.

Ale nie pocałowałem jej, bo jeszcze nie skończyłem. Wszystko musiało się odbyć według mojego scenariusza.

- Jestem konkwistadorem - oznajmiłem. - Jestem Cortezem, tyle że włoskim.

Teraz to poczułem. Było prawdziwe i przyjemne, ogarnęła mnie radość, błękitne niebo za oknem stało się sufitem, a cały świat małą zabawką w mojej dłoni. Przeszedł mnie dreszcz zachwytu.

Zniknęły blizny, zniknęły okaleczenia. Teraz była Camilla - istotą o nieskazitelnej urodzie. Należała do mnie, podobnie jak cały świat. Byłem zadowolony, że płacze, jej łzy podniecały mnie i dodawały mi odwagi, i posiadałem ją. Potem zasnąłem

zmęczony, ale spokojny, słysząc jej ciche łkanie i nie przejmując się nim ani na jotę. Już nie była Camilla. Była Vera Rivken, a ja znajdowałem się w jej mieszkaniu, które zamierzałem opuścić bezzwłocznie, jak tylko się prześpię.

Nie było jej, kiedy się obudziłem. Wygląd pokoju świadczył dobitnie o tym, że wyszła. Otwarte okno z powiewającymi lekko firankami. Uchylone drzwi szafy z pustym wieszakiem na gałce. Do połowy opróżniona szklanka mleka na poręczy krzesła, a więc tam, gdzie ją zostawiłem. Różne drobiazgi kierujące oskarżenia pod adresem Arturo Bandiniego, ale ja patrzyłem teraz na świat chłodnym okiem, chciałem stamtąd wyjść i nigdy nie wracać. Na ulicy rozbrzmiewała muzyka karuzeli. Stałem przy oknie. Przeszły pod nim dwie kobiety, widziałem czubki ich głów.

Przed wyjściem przystanąłem na chwilę w drzwiach i ostatni raz rozejrzałem się po pokoju. Dobrze zapamiętaj to miejsce. Tutaj tworzyła się historia. Roześmiałem się. Arturo Bandini, taki wyrafinowany i obyty; powinniście posłuchać, co ma do powiedzenia o kobietach. Ale ten pokój wydawał się niezwykle ubogi, domagał się ciepła i odrobiny radości. Pokój Very Rivken, która była miła dla Arturo Bandiniego, ale również biedna. Wyjąłem z kieszeni niewielki zwitek banknotów, wziąłem z niego dwa dolary i położyłem na stole. Potem zszedłem po schodach - pełen euforii, oddychający pełną piersią, silniejszy niż kiedykolwiek.

Jednak coś mąciło mój szampański nastrój. Kiedy szedłem ulicą, mijając diabelskie koło i kramy pod płóciennymi daszkami, to uczucie przybierało stopniowo na sile - jakiś niepokój,

niejasny i nieokreślony. Zatrzymałem się przy budce z hamburgerami i zamówiłem kawę. Samotność i bojaźń przenikały mnie na wskroś. Co się działo? Sprawdziłem puls. Był w normie. Podmuchałem na kawę i wypilem, smakowała mi. Cały czas wyteżałem umysł, czułem, jakby przebierał palcami i już, już niemal sięgał, ale nie potrafił pochwycić tego, co mnie dręczyło. W końcu mnie olśniło, prawda objawiła się z hukiem gromu, bezwzględna jak śmierć czy kataklizm. Przejęty lękiem wstałem od kontuaru i ruszyłem szybkim krokiem przed siebie. Mijani na deptaku ludzie wydawali się jacyś dziwni i upiorni, świat zdawał się mitem, przezroczystą bańką, i wszystko, co na nim było, było tylko przez chwilę, my wszyscy, Bandini i Hackmuth, Camilla i Vera, my wszyscy byliśmy tutaj przez chwilę, a potem gdzieś indziej, my wcale nie żyliśmy, jedynie ocieraliśmy się o życie. Umrzemy. Wszyscy umrą. Nawet ty, Arturo, nawet ty musisz umrzeć.

Już wiedziałem, co mnie dopało - wielki biały krzyż, który wskazywał na mój mózg i mówił, że jestem głupcem, bo umrę i nic nie mogę na to poradzić. *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*. To grzech śmiertelny, Arturo. Znasz przykazanie „Nie cudzołóż”. Dręczący wyrzut sumienia powtarzał bez końca, że nie ma ucieczki przed konsekwencjami tego, co uczyniłem. Byłem katolikiem. Dopuściłem się śmiertelnego grzechu wobec Very Rivken.

Za rzędem kramików zaczynała się piaszczysta plaża. Dalej były wydmy. Brnąc w piasku, dotarłem do miejsca, gdzie wydmy zakrywały promenadę. Musiałem pomyśleć. Nie ukląknę, tylko usiadłem i patrzyłem, jak fale pożerają brzeg. Niedobrze, Arturo. Czytałeś Nietzschego, czytałeś Woltera,

powinieneś być mądrzejszy. Ale żadne rozumowanie nie pomagało. Mogłem sobie wytłumaczyć swój postępek, lecz nie mogłem zagłuszyć głosu własnej krwi. To ona, krew krążąca w moich żyłach, sprawiała, że żyłem, i to ona mówiła mi teraz, że postąpiłem źle. Siedząc tam, oddałem się krwi we władanie. Niech zanieś mnie do głębokich wód moich początków. Vera Rivken, Arturo Bandini. Nie tak miało być, nie tak. Postąpiłem źle. Popełniłem grzech śmiertelny. Mogłem podejść do sprawy matematycznie, filozoficznie lub psychologicznie, mogłem dowieść własnych racji na tuzin sposobów, ale nie mogłem zagłuszyć ciepłego, równego rytmu swojej winy.

Byłem chory na duszy, więc musiałem poszukać przebaczenia. Ale u kogo? U Boga, u Chrystusa? Przecież oni byli mitem, w który kiedyś wierzyłem. To jest morze, a to jest Arturo, morze jest prawdziwe i Arturo wierzy, że ono jest prawdziwe. Potem odwracam się od morza i widzę wszędzie ląd; idę i idę, a ląd wciąż rozciąga się przede mną aż po horyzont. Mija rok, pięć, dziesięć lat - nadal nie widzę morza. Pytam siebie: co się stało z morzem? I odpowiadam: morze zostało tam, daleko za mną, pamiętam je. Morze jest mitem. Jego nigdy nie było. Ależ było! Urodziłem się nad morzem! Kapałem się w morskiej wodzie! Morze mnie żywiło i napawało spokojem, a jego fascynujący bezkres podsycił moje marzenia! Nie, Arturo, nigdy nie było morza. Marzysz o nim, pragniesz go, ale idziesz przez ziemię jałową. Już nigdy nie zobaczysz morza. To mit, w który kiedyś wierzyłeś. Uśmiecham się jednak z politowaniem, bo mam morską sól we krwi i nawet tysiąc dróg lądowych nie namiesza mi w głowie, bo moja krew zawsze wraca do swojego pięknego źródła.

To co mam zrobić? Wznieść oczy ku niebu i mamrotać coś, ledwie poruszając zdrętwiałym ze strachu językiem? Odsłonić pierś i walić w nią jak w bęben, żeby przyciągnąć uwagę Chrystusa? A może lepiej po prostu pójść dalej? Będą chwile zwątpienia i głodu, będzie samotność i lzy spływające leniwie do zaschniętych ust. Ale będą też jaśniejsze chwile, piękne jak miłość do zmarłej dziewczyny. Będzie trochę śmiechu, powściągliwego śmiechu, będzie obietnica nocnej ciszy i lekka obawa przed nocą jak przed namiętym, szyderczym pocałunkiem śmierci. Potem przyjdzie noc i wówczas moi dawni kompani, których opuściłem w porywie młodości, ukoją me zmysły słodkimi olejkami znad naszego wspólnego morza. Wszystko zostanie mi odpuszczone, moja dezercja, wybryk z Vera Rivken, trzepot skrzydeł Woltera - moje obserwowanie i wsłuchiwanie się w śpiew tego fascynującego ptaka; każda wina zostanie mi odpuszczona, kiedy wrócę w rodzinne nadmorskie strony.

Wstałem i poszedłem po głębokim piasku w stronę promenady. Było już dosyć późno, czerwona kula słońca tonęła w morzu. Niebo jakby wstrzymało oddech, wyczuwało się jakieś napięcie. Na południu, w oddali, harcowały mewy, tworząc nad wybrzeżem coś na kształt czarnej chmury. Zatrzymałem się, żeby wysypać piasek z butów. Stojąc na jednej nodze, opierałem się o kamienną ławkę.

Nagle usłyszałem dudnienie, potem huk.

Kamienna ławka przewróciła się na piasek. Spojrzałem na rząd kramików - trzęsły się i rozsypywały. Przeniosłem wzrok na wysokie budynki w Long Beach - chwiały się. Piasek zapadł

się pod moimi stopami. Odzyskawszy równowagę, stanąłem w bezpieczniejszym miejscu, lecz sytuacja się powtórzyła.

To było trzęsienie ziemi.

Rozległy się krzyki. Zawirował pył. Trzeszczało i huczało. Biegałem dookoła, kręcąc się wokół własnej osi. Udało się, udało! Stałem przez chwilę z szeroko otwartymi ustami jak sparaliżowany i tylko patrzyłem. Pobiegłem kawałek w stronę morza, potem z powrotem.

Udało ci się, Arturo. Rozgniewałeś Boga. Udało ci się.

Łoskot nie ustawał. Morze i ziemia falowały niczym dywan rozpostarty na powierzchni oleju. Pył unosił się coraz wyżej. Usłyszałem odgłos walących się gruzów. Usłyszałem krzyki, a potem syrenę. Ludzie wybiegający z budynków. Wielkie kłęby pyłu.

Udało ci się, Arturo. Udało ci się to w tamtym pokoju na piętrze.

Przewracały się latarnie. Budynek pękały niczym krakersy. Wszędzie krzyki kobiet i mężczyzn. Setki ludzi uciekających z budynków. Kobieta leżąca na chodniku i okładająca go pięściami. Mały płaczący chłopiec. Rozpryskujące się szkło. Dzwonki alarmowe. Syreny. Klaksony. Szaleństwo.

Po głównym wstrząsie nastąpiły wtórne. Głęboko w ziemi wciąż dudniło. Spadały kominy, leciały cegły, na wszystkim osiadał szary pył. Wciąż trzęsło. Mężczyźni i kobiety biegli w kierunku niezabudowanej parceli.

Ja też tam pobiegłem. Płakała jakaś staruszka. Dwóch mężczyzn niosło czyjeś zwłoki. Stary pies pełzał na brzuchu, wlokąc za sobą tylne nogi. W narożniku parceli, obok szopy leżało kilka ciał, krew przesiąkła prześcieradła, którymi je okryto.

Karetką pogotowia. Dwie licealistki przytulone do siebie, śmiejące się wniebogłosey. Spojrzałem na ulicę. Fasady budynków runęły. Łóżka zwisały ze ścian. Łazienki były odsłonięte. Na ulicy leżała gruba warstwa gruzu. Jacyś mężczyźni wykrzykiwali rozkazy. Po każdym wstrząsie przybywało gruzu. Ratownicy cofali się, odczekiwali chwilę, a potem znów przeszukiwali rumowisko.

Musiałem już iść. Skierowałem się do szopy, czując pod stopami drżenie ziemi. Otworzyłem drzwi i omal nie zemdlałem. Wewnątrz leżały w rzędzie ciała okryte przesiąkniętymi krwią prześcieradłami. Odwróciłem się, przeszedłem kilka kroków i usiadłem. Kolejne wstrząsy, jeden po drugim.

Gdzie jest Vera Rivken? Wstałem i ruszyłem w kierunku ulicy. Została odgradzona taśmą. Żołnierze piechoty morskiej, uzbrojeni w bagnety, patrolowali oddzielony teren. W głębi ulicy dojrzałem budynek, w którym mieszkała Vera Rivken. Łóżko zwisało ze ściany niczym ukrzyżowany człowiek. Podłogi nie było, ocalała tylko jedna ściana domu. Wróciłem na parcelę. Ktoś rozpałił na środku ognisko. Twarze połyskiwały czerwienią w blasku płomieni. Przyjrzałem się im, ale żadnej nie rozpoznałem. Nie było tam Vera Rivken. Rozmawiało kilku starszych mężczyzn. Jeden z nich, wysoki, brodaty oznajmił, że to koniec świata i że przepowiedział go tydzień wcześniej. Jakaś kobieta z ubrudzonymi włosami podbiegła do grupki mężczyzn. „Charlie nie żyje! - zawyła rozpaczliwie. - Biedny Charlie nie żyje! Nie powinniśmy byli przyjeżdżać! Mówiłam mu, żebyśmy nie jechali!”. Starszy mężczyzna złapał ją za ramiona i odwrócił ku sobie. „Co ty, u diabła, wygadujesz!” - wykrzyknął. Kobieta zemdlała w jego ramionach.

Oddaliłem się nieco i usiadłem na krawężniku. Żałuj za grzechy, póki jeszcze możesz. Odmówiłem modlitwę, lecz była niczym pył w moich ustach. Żadnych modlitw. Zmienię jednak swoje życie. Odtąd będę postępował szlachetnie i przyzwyczaję. To punkt zwrotny. To było ostrzeżenie dla mnie, dla Arturo Bandiniego.

Ludzie zgromadzeni wokół ogniska śpiewali pieśni religijne. Stali w kręgu, potężna kobieta nadawała ton. Wzniesienie oczy ku Jezusowi, albowiem Jezus wkrótce przybędzie. Wszyscy śpiewali. Chłopiec z monogramem na swetrze podał mi śpiewnik. Podeszedłem bliżej. Kobieta stojąca wewnątrz kręgu wymachiwała rękami w dzikim zapamiętaniu, a pieśń wznosiła się wraz z dymem do nieba. Wstrząsy nie ustawały. Ach, ci protestanci! W moim kościele nie śpiewano takich tandetnych pieśni. Śpiewaliśmy dzieła Haendla i Palestriny.

Było już ciemno. Na niebie pojawiło się kilka gwiazd. Wstrząsy powtarzały się co parę sekund. Znad morza nadciągnął wiatr i zrobiło się zimno. Ludzie tłoczyli się w grupkach. Zewsząd dobiegały odgłosy syren. Nad głowami przelewały samoloty. Oddziały żołnierzy i marynarzy krążyły po ulicach. Sanitariusze wbiegali z noszami do budynków. Dwie karetki podjechały do szopy. Wkroczył do akcji Czerwony Krzyż. W narożniku parceli było centrum dowodzenia kryzysowego. Serwowano kawę w dużych blaszanych kubkach. Stałem w kolejce.

- W Los Angeles jest jeszcze gorzej - powiedział mężczyzna stojący przede mną. - Tysiące ofiar.

Tysiące. To oznaczało, że była wśród nich Camilla. Stary budynek, w którym mieścił się bar, musiał runąć jako jeden

z pierwszych, jego ceglane ściany były popękane i kruche. Camilla na pewno zginęła. Pracowała od czwartej po południu do jedenastej wieczorem. Nie miała żadnych szans na przeżycie. Ona umarła, a ja żyłem. Wyobraziłem ją sobie martwą, leżącą nieruchomo, z zamkniętymi oczami i splecionymi dłońmi. Ona umarła, a ja żyłem. Nie rozumieliśmy się, ale była dla mnie dobra - na swój sposób. Pomyślałem, że nieprędko ją zapomnę, że pewnie tylko ja będę o niej pamiętał. Była taka urocza z tymi swoimi *huaraches*, kompleksami na punkcie własnego pochodzenia i śmiesznym małym fordem.

Wśród ludzi zgromadzonych na parceli krążyły sprzeczne informacje. Nadciągała wielka fala. Nie nadciągała wielka fala. Trzęsienie ziemi objęło obszar całej Kalifornii. Trzęsienie ziemi wystąpiło tylko w Long Beach. Los Angeles leżało w gruzach. W Los Angeles nie odnotowano żadnych wstrząsów. Niektórzy mówili o pięćdziesięciu tysiącach zabitych. To było najgorsze trzęsienie ziemi od czasu tragedii w San Francisco. To było o wiele gorsze trzęsienie ziemi od tego w San Francisco. Mimo to ludzie zachowywali się w sposób zdyscyplinowany. Bali się, ale nie panikowali. Część z nich nawet się uśmiechała, dzielni ludzie. Byli daleko od domu, ale przywieźli ze sobą niezwykłą odwagę. To byli twardzi ludzie. Niczego się nie bali.

Żołnierze ustawili na środku parceli radio i duże głośniki. Podawano na bieżąco komunikaty na temat rozmiarów tragedii. Tubalny głos wydawał polecenia. Wszyscy podporządkowywali im się bez zastrzeżeń. Aż do odwołania miał obowiązywać zakaz wstępu na teren Long Beach, a w wypadku osób już tam się znajdujących - zakaz opuszczania go. W mieście

wprowadzono stan wyjątkowy. Wielkiej fali nie będzie. Proszono o zachowanie spokoju podczas wstrząsów wtórnych, bo najgorsze już minęło.

Ludzie z Czerwonego Krzyża rozdawali koce i żywność, częstowali kawą. Przez całą noc siedzieliśmy wokół głośników, słuchając najnowszych doniesień. W pewnym momencie poinformowano, że Los Angeles ucierpiało w stosunkowo niewielkim stopniu. Odczytano nazwiska ofiar. Nie było wśród nich Camilli Lopez. Przez całą noc piłem kawę i paliłem papierosy. Wśród ofiar nie było Camilli i w ogóle nikogo o nazwisku Lopez.

13

NAZAJUTRZ WRÓCIŁEM do Los Angeles. Miasto się nie zmieniło, ale ja odczuwałem lęk. Miałem wrażenie, że wszędzie czai się niebezpieczeństwo. Ciemne kaniony między wysokimi budynkami zamieniłyby się w śmiertelną pułapkę, gdyby zatrzęsała się ziemia. Na ulicach mogłyby powstać głębokie szczeliny, tramwaje mogłyby się przewracać. Coś się stało z Arturo Bandinim. Chodził wyłącznie tymi ulicami, przy których stały parterowe budynki. Trzymał się blisko krawężnika, w bezpiecznej odległości od wiszących neonów. To tkwiło głęboko we mnie. Nie mogłem się od tego uwolnić. Widząc ludzi zmierzających wąskimi uliczkami w cieniu wysokich budynków, dziwiłem się ich szaleństwu. Kiedy przeszedłem na drugą stronę Hill Street i znalazłem się na Pershing Square, odetchnąłem z ulgą. Na skwerze nie było wysokich budynków, więc gdyby zatrzęsała się ziemia, nie zginąłbym pod gruzami.

Siedziałem na skwerze i paliłem papierosy. Miałem spoczone dłonie. Od Columbia Buffet dzieliło mnie zaledwie kilka

przecznic. Wiedziałem, że tam nie pójdę. Coś we mnie pękło. Stałem się tchórzem. Powiedziałem to sobie głośno: jesteś tchórzem. Ale nie robiłem z tego tragedii. Lepiej być żywym tchórzem niż martwym szaleńcem. Ci ludzie wchodzący do ogromnych betonowych budynków i z nich wychodzący... Ktoś powinien ich ostrzec. Trzęsienie ziemi się powtórzy, to pewne jak amen w pacierzu, ale tym razem zrówna miasto z ziemią, zniszczy je na zawsze. To może się zdarzyć lada chwila. Zginie wielu ludzi, lecz nie ja. Bo ja będę się trzymał z daleka od niebezpiecznych ulic, od spadającego gruzu.

Wracając do hotelu, przyglądałem się zabudowie Bunker Hill. Drewniane domy miały większe szanse na przetrwanie. Trzęsły się, ale nie rozpadały. Gorzej z ceglаныmi budynkami. Gdzieniedzie pozostały ślady po trzęsieniu - a to zburzona ściana, a to zwalony komin. Los Angeles było skazane na zagładę. Nad miastem ciążyła klątwa. To trzęsienie go nie zniszczyło, ale kolejne zrówna je z ziemią. Mnie jednak nie dopadnie, bo moja noga nie postanie w żadnym ceglany budynku. Byłem tchórzem, ale co komu do tego? Jestem tchórzem, mówiłem sobie, jestem nim na pewno, ale bądź odważny, bądź szalony i chodź między tymi wysokimi budynkami. Zabiją cię. Dziś, jutro, za tydzień albo za rok. Zabiją ciebie, ale nie mnie.

Posłuchajcie człowieka, który przeżył trzęsienie ziemi. Siedzieliśmy na werandzie hotelu Alta Roma, a ja opowiadałem. Widziałem wszystko na własne oczy. Widziałem, jak wynoszono zabitych. Widziałem krew i rannych. Byłem w sześciopiętrowym budynku, kiedy to się stało - spałem. Pobiegłem korytarzem do windy. Nie działała. Z jednego z biur wybieg-

ła jakaś kobieta, stalowa belka uderzyła ją w głowę. Dotarłem do tej kobiety przez gruzowisko i przewiesiłem ją sobie przez ramię. Trzeba było zejść sześć pięter, ale dałem radę. Całą noc spędziłem z ratownikami, unurzany po kolana we krwi i ludzkiej niedoli. Wyciągnąłem z gruzów staruszkę, której dłoń wystawała z nich niczym fragment posągu. Sforsowałem dymiące drzwi, żeby ratować dziewczynę, która leżała nieprzytomna w wannie. Przebierałem rannych w świeże ubrania, prowadziłem rzesze ratowników do wnętrza ruin, przedzierałem się przez zgliszcza do martwych i umierających. Jasne, że się bałem, ale to był mój obowiązek. Ta sytuacja wymagała działania, a nie gadania. Widziałem, jak ziemia otworzyła się niby wielkie usta pośrodku asfaltowej ulicy, a potem zamknęła. Noga starszego mężczyzny utknęła w szczelinie. Podbiegłem do niego, powiedziałem mu, żeby nie tracił ducha, i zacząłem rozbijać toporem strażackim asfalt. Było jednak za późno. Szczęki imadła zacisnęły się mocniej i przecięły nogę na wysokości kolana. Zabrałem stamtąd nieszczęśnika. Jego kolano wciąż tam jest - zbroczona krwią pamiątka wystająca z ziemi. Widziałem wszystko na własne oczy, potworny widok. Może uwierzyli, może nie. Było mi to obojętne.

Poszedłem do swojego pokoju i sprawdziłem, czy pojawiły się pęknięcia na ścianach. Potem zajrzałem do Hellfricka. Pochylony nad patelnią, smażył właśnie hamburgery. Widziałem wszystko na własne oczy, Hellfrick. Byłem w najwyższym punkcie kolejki górskiej, kiedy nastąpił wstrząs. Wagoniki stanęły. Musieliśmy zejść na dół. Ja i dziewczyna. Znajdowaliśmy się sto pięćdziesiąt stóp nad ziemią, cała

konstrukcja trzęsa się jak człowiek chory na febrę, a ja musiałem zejść na dół z dziewczyną na plecach. Jednak dałem radę. Widziałem stopy dziewczynki pogrzebanej pod gruzami. Widziałem starszą kobietę przygniecioną własnym autem, martwą i zmasakrowaną, ale z wyciągniętą ręką sygnalizującą skręt w prawo. Widziałem trzech mężczyzn, których śmierć zastała przy stole do pokera. Hellfrick zagwizdał. Naprawdę, naprawdę? To straszne, straszne! Ale czy nie pożyczylbym mu pięćdziesiąt centów? Dałem mu pieniądze i obejrzałem ściany. Potem udałem się do garażu i do pralni. Znalazłem tam ślady po trzęsieniu, wprawdzie niewielkie, lecz zapowiadające kataklizm, który zniszczy Los Angeles. Nie spałem tej nocy w swoim pokoju. Nie mogłem, bo wciąż trzęsa się ziemia. To nie dla mnie, Hellfrick. Hellfrick wyrzwał przez okno i zobaczył, że leżę na wzgórzu, owinięty kocem. Zwariowałeś, powiedział. Potem przypomniał sobie, że pożyczam mu pieniądze, więc może jednak nie zwariowałem. Może masz rację, powiedział. Zgasił światło i słyszałem, jak mości w łóżku swe chude ciało.

Świat z pyłu powstał i w pył się obróci. Zacząłem chodzić na poranne msze. Poszedłem do spowiedzi. Przyjąłem komunię świętą. Upatrzyłem sobie mały drewniany kościółek, niski i solidny, w pobliżu dzielnicy meksykańskiej. Modliłem się tam. Ja, nawrócony Bandini. Ach, życie! Tragikomedio, olśniewająca ladacznico, która wieszysz mnie do zguby! Rzuciłem palenie na kilka dni. Kupiłem różaniec. Wrzucałem datki do puszek dla ubogich. Współczułem całemu światu.

Moja droga matka w Kolorado, kochana, tak dobra jak Przenajświętsza Panienska. Chociaż zostało mi tylko dziesięć

dolarów, posłałem jej pięć i to były pierwsze pieniądze, jakie wysłałem do domu. Módl się za mnie, droga matko. Odmawiając różaniec, sprawiasz, że żyję. Nastaly mroczne dni. Świat jest pełen brudu. Ale ja się zmieniłem, rozpocząłem nowe życie. Nie przestaję dziękować Bogu, że dał mi ciebie. Bądź ze mną w tym trudnym czasie. Muszę już kończyć ten list, ukochana matko, bo ostatnio regularnie odmawiam nowennę. Codziennie o piątej po południu leżę krzyżem przed figurą naszego Zbawiciela i proszę Go o miłosierdzie. Żegnaj, matko! Nie zapominam o tobie w swoich modlitwach, więc ty też powierzaj mnie opiece Tego, który jest dawcą wszystkiego i opromienia niebiosa blaskiem swojej chwały.

Zaniósłem list do skrzynki, potem ruszyłem w dół Olive Street, gdzie nie było ceglanych budynków, przemierzyłem pusty plac i kolejną ulicę, również pozbawioną murowanych zabudowań, dotarłem do ulicy, przy której stał tylko niski płot, i już niebawem znalazłem się w rejonie pełnym strzelistych budynków; musiałem tamtędy przejść, więc trzymałem się drugiej strony ulicy, tej niezabudowanej, i szedłem bardzo szybko, chwilami nawet biegłem. Na końcu ulicy był mały kościółek, w którym się modliłem, odmawiając nowennę.

Po godzinie wychodzę z kościoła, odświeżony wewnętrznie, ukojony, podniesiony na duchu. Wracam tą samą drogą: mijam szybko wysokie budynki, idę spokojnie wzdłuż płotu, a potem wlokę się przez pusty plac, gdzie mam okazję podziwiać boskie dzieło - rząd palm rosnących nieopodal alejki. Następnie marsz w górę Olive Street, między obskurnymi drewnianymi domami. Cóż za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? A potem

przypomniał mi się inny cytat: Pomnóż wszelkie możliwe rozkosze przez nieskończoną liczbę lat, tyle jest warta minuta w niebie. To prawda! To prawda! Dziękuję ci, boskie światło, że mnie prowadzisz.

Pukanie w okno. Ktoś pukał w okno domu zarośniętego winem. Odwróciłem się i zobaczyłem to okno, a w nim twarz; błysk białych zębów, czarne włosy, lubieżne spojrzenie, długie palce w zachęcającym geście. Skąd ten nagły skurcz w żołądku? Skąd paraliż myśli i wzburzona krew przyprowadzająca o zawrót głowy? Ale ja tego chcę! Nie mogę bez tego żyć! Już do ciebie idę, kobieto w oknie; fascynujesz mnie, zachwycasz i napawasz radością; idę do ciebie po tych skrzypiących schodach.

Po co żałować za grzechy? Po cholerę być dobrym? Co z tego, że można zginąć w trzęsieniu ziemi? Chrzanić to! Poszedłem do centrum, między wysokie budynki. Niech nadejdzie trzęsienie ziemi, niech pogrzebie mnie wraz z moimi grzechami, chrzanię to! Czy będę dobry, czy nie, śmierć mnie nie ominie, co za różnica, czy umrę pod gruzami, czy na szubienicy; to obojętne - dlaczego, kiedy i jak.

Nagle spłynął na mnie niczym sen, zrodził się z desperacji i spłynął na mnie - pomysł, pierwszy dobry pomysł literacki w moim życiu, obiecujący, wyrazisty i mocny, linijka po linijce, strona po stronie. Pomysł na opowiadanie o Verze Rivken.

Zacząłem pisać i szło mi jak z płatka. Nie musiałem się zastanawiać, namyślać. Rzecz pisała się sama, tryskała jak krew. To było to. W końcu się doczekałem. Piszę, zostawcie

mnie w spokoju, ależ ja to kocham, i Ciebie kocham, Boże, i ciebie, Camillo, i ciebie, i ciebie. Piszę i dobrze mi z tym, słodko, ciepło i miękko, pysznie i delirycznie. Z górki na pazurki, słowa takie, siakie i owakie - hura, hura.

Rwąca, wzburzona, bezkresna rzeka słów, które płynęły bez końca. Wystukiwałem je na maszynie godzinami i z czasem zacząłem odczuwać to w kościach, a potem fala zmęczenia oślepiła mnie i pozbawiła sił. Camilla! Muszę mieć tę Camille! Wstałem, wyszedłem z hotelu i ruszyłem w dół Bunker Hill, w kierunku Columbia Buffet.

- Znów tu jesteś?

Widziałem ją jak przez mgłę, jak przez sieć pajęczą.

- A czemu by nie?

Arturo Bandini, autor *Śmiechu małego pieska*, plagiatu wiersza Ernesta Dowsona oraz pewnego telegramu z propozycją małżeństwa. Czyżbym dostrzegł w jej oczach rozbawienie? Nieważne, pamiętaj, co kryje się pod fartuszkim. Piłem piwo i obserwowałem ją przy pracy. Uśmiechnąłem się szyderczo, kiedy śmiała się z mężczyznami siedzącymi nieopodal pianina. Zarechotałem, gdy jeden z nich położył rękę na jej udzie. Ta Meksykanka to zdzira, mówię ci! Pomachałem do niej. Podeszła do mnie w wolnej chwili, piętnaście minut później. Bądź dla niej miły, Arturo. Udawaj.

- Chcesz coś jeszcze zamówić?

- Co u ciebie, Camillo?

- W porządku.

- Spotkajmy się, kiedy skończysz.

- Jestem umówiona.

Grzecznie:

- Mogłabyś przełożyć tamto spotkanie? Muszę się z tobą zobaczyć.

- Przykro mi.

- Proszę, Camillo. Tylko dzisiaj. To bardzo ważne.

- Nie mogę, Arturo. Naprawdę.

- Spotkasz się ze mną - oświadczyłem.

Odeszła od mojego stolika. Odsunąłem krzesło, wycelowałem w nią palec i wrzasnąłem:

- Spotkasz się ze mną, bezczelna dziewucho! Spotkasz się ze mną!

Była skazana na spotkanie ze mną, bo zamierzałem pocze-kać. Bo poszedłem na parking i usiadłem na bocznym stopniu jej auta. Bo nie była na tyle cwana, by móc się wymigać od randki z Arturo Bandinim. Bo szczerze jej nienawidziłem.

W końcu przyszła na parking. Był z nią Sammy, ten barman. Kiedy mnie zobaczyła, przystanęła i przytrzymała Sam- my'ego za ramię. Szeptali między sobą. Zanosiło się na bój- kę. Dobra, chodź, głupi barmanie, strachu na wróble. Spróbuj podnieść na mnie rękę, a przełamie cię na pół. Stałem z zaciś- niętymi pięściami i czekałem. Podeszli. Sammy nic nie po- wiedział. Ominął mnie szerokim łukiem i wszedł do auta. Stałem przy drzwiach od strony kierowcy. Camilla otworzyła drzwi, nie patrząc na mnie. Pokręciłem głową.

- Idziesz ze mną, Meksykanko.

Złapałem ją za nadgarstek.

- Puszczaj! - krzyknęła. - Zabieraj te brudne łapy!

- Idziesz ze mną.

Sammy pochylił się w naszą stronę.

- Może ona nie ma ochoty?

Trzymałem Camillę prawą ręką. Lewą zacisnąłem w pięść i zbliżyłem do twarzy Sammy'ego.

- Słuchaj - powiedziałem. - Nie lubię cię. Więc zamknij jadaczkę.

- Bądź rozsądny - odparł. - Chcesz się awanturować z powodu dziewczyny?

- Ona idzie ze mną.

- Nigdzie z tobą nie pójdę!

Próbowała się wyrwać. Chwyciłem ją za obie ręce i zakręciłem nią jak tancerką. Wirowała przez chwilę, oddalając się od auta, ale nie upadła. Potem natarła na mnie z krzykiem. Złapałem ją w ramiona i przycisnąłem jej łokcie do boków. Usiłowała mnie kopać i drapać po nogach. Sammy patrzył na to wszystko z niesmakiem. Owszem, moje zachowanie było niesmaczne, ale nic mu do tego. Camilla krzyczała i walczyła, ale nic nie mogła zrobić, jej kopniaki trafiały w próżnię, ręce były unieruchomione. W końcu się zmęczyła i wtedy ją puściłem. Wygładziła sukienkę i pełna nienawiści zgrzytała zębami.

- Idziesz ze mną - powiedziałem.

Sammy wysiadł z samochodu.

- To okropne - powiedział. - Chodźmy stąd.

Wziął Camillę pod rękę i poprowadził w stronę ulicy.

Patrzyłem, jak się oddalają. Sammy miał rację. Bandini - idiota, pies, skunks, głupiec. Ale to było silniejsze ode mnie. Zajrzałem do dowodu rejestracyjnego i odszukałem jej adres. Mieszkała w pobliżu skrzyżowania Dwudziestej Czwartej i Alamedy. To było silniejsze ode mnie. Poszedłem do Hill Street i wsiałem do tramwaju jadącego w tamtym kierunku.

To mnie pociągało. Nieznana strona mojej osobowości, zwierzęca, mroczna - nieodkryta głębia nowego Bandiniego. Ale kiedy tramwaj minął kilka przecznic, ten nastrój się ulotnił. Wsiadłem nieopodal placów załadunkowych. Do Bunker Hill były stamtąd dwie mile, ale poszedłem pieszo. Kiedy wróciłem do domu, obiecałem sobie, że zapomnę o Camilli Lopez na zawsze. Jeszcze będziesz tego żałować, głupia dziewczucho, bo zdobędę sławę. Usiadłem przy maszynie do pisania i pracowałem prawie do rana.

Ciężko pracowałem. Nastąpiła kalendarzowa jesień, ale nie zauważyłem zmiany w pogodzie. Nadal codziennie świeciło słońce, niebo nadal było błękitne. Czasem pojawiała się mgła. Znowu jadłem owoce. Japończyk dawał mi je na kredyt. Mogłem wybierać dowolnie spośród tego, co było na straganie. Jadłem banany, pomarańcze, gruszki i śliwki. Niekiedy także seler. Miałem pełną puszkę tytoniu i nową fajkę. Skończyła się kawa, ale nie przejmowałem się tym. Potem do kiosków trafiło moje nowe opowiadanie. *Dawno utracone wzgórze*] Nie przeżywałem tego tak jak publikacji *Śmiechu małego pieska*. Ledwie rzuciłem okiem na bezpłatny egzemplarz, który przysłał mi Hackmuth. Odczuwałem jednak pewną satysfakcję. Kiedyś będę miał w dorobku tyle opowiadań, że nie będę nawet pamiętał, gdzie je wydrukowano. „Cześć, Bandini! Świetne opowiadanie, wiesz, to w najnowszym numerze »Atlantic Monthly«”. Bandini wygląda na zaskoczonego. „Jest tam moje opowiadanie? Coś takiego!”.

Hellfrick mięsożerca, człowiek, który nigdy nie spłacał długów. Pożyczyłem mu mnóstwo pieniędzy, kiedy miałem

ich pod dostatkiem, ale teraz znów byłem biedny, a on próbował się wykpić od zwrotu długu, oferując w zamian różne drobiazgi - stary płaszcz przeciwdeszczowy, kaptcie, pudełko ładnych mydełek. Nie zgodziłem się na taką formę spłaty długu. „O Boże, Hellfrick, potrzebuję pieniędzy, a nie jakichś używanych rzeczy”. Jego apetyt na mięso przerodził się w prawdziwą obsesję. Całymi dniami smażył tanie steki, a nęcący zapach wślizgiwał się przez szparę pod drzwiami do mojego pokoju. Przez to ja też nabrałem szalonej ochoty na mięso. Szedłem więc do Hellfricka i mówiłem: „Hellfrick, podziel się ze mną tym stekiem”. Stek był tak ogromny, że zajmował całą patelnię. Sąsiad jednak bezczelnie kłamał: „Od dwóch dni nic nie miałem w ustach”. Słyszając taką odpowiedź, wyzywałem go od najgorszych, a z czasem zupełnie straciłem do niego szacunek. Potrząsał czerwoną, rozdętą twarzą, a jego duże oczy patrzyły na mnie żałośnie. Ale nigdy nie poczęstował mnie niczym poza resztkami ze swojego talerza. Pracowałem dzień po dniu i skręcały mi się kiszki od nęcącego zapachu smażonych kotletów wieprzowych, opiekanych steków, smażonych steków, panierowanych steków, wątróbki z cebulką i różnych innych mięs.

Któregoś dnia Hellfrickowi przeszedł apetyt na mięso i wrócił apetyt na dżin. Pił przez dwa dni. Słyszałem, jak się zatacza w swoim pokoju, kopie butelki i mówi do siebie. Trzeciego dnia wyszedł i wrócił dopiero nad ranem. Powiedział, że wydał całą emeryturę i że gdzieś, jakoś - tego nie pamiętał - kupił auto. Poszliśmy za hotel, żeby je obejrzyć. To był ogromny packard, ponaddwudziestoletni. Wyglądał jak karawan pogrzebowy - zdarte opony, złuszczony lakier połyskujący

w słońcu. Kupił go od kogoś na Main Street. A teraz nie dość, że był splukany, to jeszcze miał na karku dużego niepotrzebnego packarda.

- Chcesz go kupić? - zapytał.

- Skądże!

Był przygnębiony, głowa pękała mu od kaca.

Wieczorem przyszedł do swojego pokoju. Usiadł na łóżku i zwiesił ręce. Znow ogarnęła go tęsknota za Środkowym Wschodem. Opowiadał o polowaniach na króliki, o łowieniu ryb, o starych, dobrych czasach, kiedy był dzieckiem. Potem zaczął mówić o mięsie.

- Co byś powiedział na duży, gruby stek? - zapytał z przejęciem, rozchylając dwa palce. - Tej grubości. Z dużą ilością masła. Lekko zarumieniony, o wyrazistym smaku. Co byś powiedział?

- Też pytanie.

Wstał.

- To chodź.

- Masz pieniądze?

- Nie potrzebujemy pieniędzy. Jestem głodny.

Chwyciłem sweter i poszedłem za sąsiadem. Dotarliśmy do uliczki, na której zaparkował auto. Kiedy do niego wsiadł, zawahałem się.

- Dokąd chcesz jechać, Hellfrick? - spytałem.

- Zostaw to mnie. Wskakuj.

Wsiadłem do auta.

- Tylko żeby nie było żadnych kłopotów.

- Kłopotów? - obruszył się. - Spokojnie, wiem, skąd wziąć mięso.

Jechaliśmy w blasku księżyca - najpierw ulicami Wilshire i Highland, potem przełączą Cahuenga. Po drugiej stronie rozpościerała się Dolina San Fernando. Skręciliśmy w polną drogę wiodącą wśród wysokich drzew eukaliptusowych, luźno rozrzuconych gospodarstw i pastwisk. Po mili droga się skończyła. W świetle reflektorów ukazał się drut kolczasty rozpięty między słupkami ogrodzenia. Hellfrick nie bez trudu zawrócił auto, ustawiając je przodem do głównej drogi, z której wcześniej skręciliśmy. Wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi i zaczął grzebać w narzędziach schowanych pod siedzeniem.

Przechyliłem się przez oparcie fotela.

- Co robisz, Hellfrick?

Wstał z młotkiem w rękę.

- Zaczekaj tu.

Prześlizgnął się pod drutem kolczastym i ruszył przez pastwisko. Sto jardów dalej w poświacie księżyca majaczyła obora. Odgadłem zamiary Hellfricka. Wskoczyłem z auta i zawołałem go. „Ćśś” - odparł ze złością. Patrzyłem, jak skrada się na palcach do obory. Przeklinałem go i czekałem w napięciu. Wkrótce usłyszałem muczenie krowy. Brzmiało płaczkliwie. Potem usłyszałem głuchy odgłos i przebieranie kopytami. Hellfrick wyszedł z obory, niosąc na ramieniu coś ciemnego i ciężkiego. W ślad za nim ruszyła krowa, mucząc nieprzerwanie. Hellfrick próbował biec, ale ciężar, który dźwigał, pozwalał najwyżej na szybki chód. Krowa deptała mu po piętach, trącając go nosem w plecy. Odwrócił się i zaczął kopać jak wariat. Krowa zatrzymała się, spojrzała w kierunku obory i znów zamuczała.

- Hellfrick, ty głupcze. Ty cholerny głupcze!

- Pomóż mi - powiedział.

Podniosłem luźny drut kolczasty na tyle, by Hellfrick mógł się pod nim przecisnąć ze swoją zdobyczą. To był cielak. Z rany na jego czole sączyła się krew. Miał szeroko otwarte oczy, w których odbijał się księżyc. To było zabójstwo z zimną krwią - ohydne i przerażające. Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy Hellfrick rzucił cielaka na tylne siedzenie. Najpierw plasnęło ciało, potem łeb. Było mi niedobrze, bardzo niedobrze. Stałem się mimowolnym świadkiem morderstwa.

W drodze powrotnej Hellfricka rozpieęła radość, mimo że kierownica lepiła się od krwi. Raz czy dwa cielak wierzgnął kopytami na tylnym siedzeniu - tak przynajmniej mi się wydawało. Ukryłem twarz w dłoniach i próbowałem zapomnieć o melancholijnym zawroźdzeniu matki cielaka i jego słodkiej mordce. Hellfrick jechał bardzo szybko. Na bulwarze Beverly śmignęliśmy obok czarnego, wolno jadącego auta. Był to policyjny radiowóz. Zacisnąłem zęby i szykowałem się na najgorsze. Ale policja nie ruszyła w pościg za nami. Byłem w tak ponurym nastroju, że nawet nie poczułem ulgi z tego powodu. Co do jednego miałem pewność: Hellfrick to morderca, nie będę się z nim więcej zadawał. Po dotarciu do Bunker Hill skręciliśmy w naszą uliczkę i zaparkowaliśmy pod hotelem. Hellfrick wysiadł z auta.

- Udzielę ci lekcji patroszenia.

- Akurat!

Stałem na czatach, a tymczasem Hellfrick zawinął łeb cielaka w gazety, zarzucił sobie zwierzę na ramię i zaniósł ciemnym korytarzem do swojego pokoju. Rozłożyłem gazety na

brudnej podłodze, a Hellfrick opuścił na nie cielaka. Potem wyszczerzył zęby, patrząc na swoje zakrwawione spodnie, koszulę i ręce.

Spojrzałem na biedne cielątko. Miało sierść w czarno-białe łaty i nadzwyczaj delikatne kostki. Z lekko rozchylonego pyszczka wystawał różowy język. Zamknąłem oczy, wybiegłem z pokoju Hellfricka i rzuciłem się na podłogę w swoim pokoju. Leżałem tam i cały drżałem, myśląc o starej krowie stojącej samotnie na polu w blasku księżyca i muczącej za swoim cielątkiem. Morderstwo! To był koniec mojej znajomości z Hellfrickiem. Już nie musiał zwracać długu. Pieniądze splamione krwią - dziękuję bardzo!

Od tamtej nocy miałem bardzo chłodny stosunek do Hellfricka. Już nigdy go nie odwiedziłem. Zapukał do mnie parę razy, ale drzwi były zamknięte na zasuwę, żeby nie mógł wtargnąć do środka. Kiedy spotykaliśmy się na korytarzu, wymienialiśmy jedynie zdawkowe pozdrowienia. Był mi winien prawie trzy dolary, ale nigdy nie upomniałem się o dług.

DOBRE WIEŚCI od Hackmutha. Inny magazyn chciał opublikować skróconą wersję *Dawno utraconych wzgórz*. Sto dolarów. Znowu byłem bogaty. Czas odkupić winy naprawić błędy przeszłości. Wysłałem matce pięć dolarów. Płakałem, kiedy dostałem od niej list z podziękowaniem. Płakałem, odpowiadając na niego. Przy okazji wysłałem kolejne pięć dolarów. Byłem z siebie bardzo dumny. Już widziałem swoich biografów rozmawiających z moją matką, bardzo starą kobietą na wózku inwalidzkim: Arturo był dobrym synem, dbał o rodzinę.

Arturo Bandini, pisarz. Człowiek utrzymujący się z pisania opowiadań. Teraz pisze książkę. Niesamowitą książkę. Pierwsze wzmianki są entuzjastyczne. Rewelacyjna proza. Godna samego Joyce'a. Stojąc przed zdjęciem Hackmutha, czytałem to, co danego dnia napisałem. Godzinami wymyślałem dedykację: J.C Hackmuthowi w podzięcie za odkrycie mojego talentu. J.C. Hackmuthowi ze szczerym podziwem. J.C. Hackmuthowi, prawdziwemu geniuszowi. Widziałem nowojorskich krytyków tłoczących się w jego klubie. Miałeś

nosa do tego Bandiniego, chłopaka z wybrzeża. Hackmuth uśmiechnięty, rozpromieniony.

Codziennie przez sześć tygodni kilka słodkich godzin - trzy i pół, czasem nawet pięć smakowitych godzin wypełnionych pisaniem, kiedy wszystkie inne pragnienia były uśpione. Czułem się jak duch błakający się po świecie, ja, miłośnik ludzi i zwierząt. Zalewały mnie fale czułości, gdy rozmawiałem z ludźmi albo mijałem ich na ulicach. Wszeczmogący Bóg, kochany Bóg, tak dobry dla mnie, włożył słowa w me usta i teraz ci smutni, samotni ludzie usłyszą mnie i będą szczęśliwi. Tak upływały dni. Na granicy jawy i snu. Czasem rozpierała mnie tak wielka radość, że gasiłem światło i płakałem - ogarniało mnie wtedy osobliwe pragnienie śmierci.

Oto Bandini piszący powieść.

Któregoś wieczoru usłyszałem pukanie do drzwi i otworzyłem. To była ona.

- Camilla!

Weszła do środka i usiadła na łóżku z jakimiś kopertami pod pachą. Rozejrzała się po pokoju. A więc tutaj mieszkasz - zdawała się mówić. Na pewno zastanawiała się wcześniej, jak wygląda mój pokój. Wstała i zaczęła krążyć po pomieszczeniu, wyjrzała przez okno i dalej chodziła, piękna, wysoka Camilla o włosach ciemnych i ciepłych. Stałem i patrzyłem. Ale dlaczego przyszła? Wyczuła moje pytanie. Usiadła na łóżku i uśmiechnęła się.

- Arturo, czemu toczymy ze sobą nieustanną walkę?

Nie wiedziałem. Powiedziałem coś o naszych temperamentach, ale Camilla pokręciła głową, po czym założyła nogę na nogę. Poczulem ucisk w gardle i przemożne pragnienie, by

ująć w dłonie jej śliczne uda. Każdy jej ruch, nawet nieznaczny obrót głowy, wielkie, nabrzmiałe piersi pod fartuszkciem, ładne dłonie oparte o łóżko - wszystko to burzyło mój spokój i wprawiało mnie w słodkie, bolesne odrętwienie. A do tego jeszcze jej głos - powściągliwy, z lekką nutką drwiny; głos, który przemawiał do mojej krwi i do moich kości. Przypomniałem sobie, jaki niezwykle spokój towarzyszył mi w ostatnich tygodniach, i uznałem, że nie mógł być prawdziwy, że był to raczej stan hipnotyczny, w który sam się wprowadziłem. Prawdziwe było co innego - moje wpatrywanie się w czarne oczy Camilli i próby przeciwstawienia jej pogardzie mojej nadziei i podłości.

Nie przyszła po to, żeby mnie odwiedzić. Po chwili sprawa się wyjaśniła.

- Pamiętasz Sammy'ego?

Oczywiście.

- Nie lubisz go.

- Jest w porządku.

- To dobry chłopak. Polubiłbyś go, gdybyś lepiej go poznał.

- Możliwe.

- On cię lubi.

Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, nasza potyczka na parkingu świadczyła o czymś przeciwnym. Przypomniałem sobie, jak Camilla uśmiechała się do Sammy'ego podczas pracy, jak bardzo niepokoiła się o niego, kiedy odwieźliśmy go tamtej nocy do domu.

- Kochasz go, prawda?

- Niezupełnie.

Oderwała wzrok od mojej twarzy i powiodła nim po pokoju.

- Tak, kochasz go.

Natychmiast ją zniechęciłem, bo mnie zraniła. Co za dziewczyna! Podarła mój wiersz autorstwa Dowsona i pokazała mój telegram wszystkim w Columbia Buffet. Zrobiła ze mnie durnia na plaży. A teraz domyśliła się, że mam na nią ochotę, i skwitowała to szyderczym spojrzeniem. Wpatrywałem się w jej twarz i usta, myśląc, jak przyjemnie byłoby ją uderzyć, walnąć pięścią w nos i w zęby.

Znów zaczęła mówić o Sammym. Życie rzucało mu kłody pod nogi. Może byłby kimś, gdyby nie ciągle kłopoty ze zdrowiem.

- Co mu dolega?

- Ma gruźlicę.

- Kiepsko.

- Nie będzie długo żył.

Miałem to gdzieś.

- Wszyscy kiedyś umrzemy.

Zastanawiałem się, czy jej nie wyrzucić, czy nie powieździeć: jeśli przysłaś tu, żeby rozmawiać o tym koleśku, to wynocha, bo nie jestem zainteresowany. Pomyślałem, że to byłoby coś wspaniałego wyprosić ją; jest taka piękna na swój sposób, a jednak musi wyjść, bo ja jej każę.

- Sammy'ego już tutaj nie ma. Wyjechał.

Jeśli sądziła, że zapytam dokąd, wielce się myliła. Położyłem nogi na biurku i zapaliłem papierosa.

- A co u pozostałych twoich chłopaków?

To pytanie tak mi się jakoś wyrwało, natychmiast pożałowałem swoich słów. Próbowałem je złagodzić uśmiechem. Camilla odpowiedziała, ale kosztowało ją to sporo wysiłku.

- Nie mam żadnych chłopaków.

- Jasne - powiedziałem z lekkim sarkazmem. - Przepraszam za to obcesowe pytanie.

Milczała przez chwilę. Zagwizdałem i wtedy spytała:

- Dlaczego jesteś taki podły?

- Podły? - zdziwiłem się. - Moja miła, ja lubię ludzi i zwierzęta. Do nikogo nie żywię wrogości. Wielki pisarz nie może być podły.

Dostrzegłem drwinę w jej oczach.

- Jesteś wielkim pisarzem?

- Tego się nigdy nie wie.

Przygryzła dolną wargę i trzymała ją przez chwilę między białymi zębami, spoglądając to na okno, to na drzwi niby zwierzę w potrzasku. Potem znów się uśmiechnęła.

- Właśnie dlatego do ciebie przyszedłam.

Zaczęła przekładać duże koperty, które miała na kolanach. Podniecał mnie fakt, że przy okazji dotykała swojego ciała, muskała palcami uda. Koperty były dwie. Camilla otworzyła jedną z nich i wyjęła rękopis. Wziąłem go z jej rąk. Okazało się, że to opowiadanie niejakiego Samuela Wigginsa, nadane na poste restante w San Juan w Kalifornii. Nosiło tytuł *Coldwater Gatling* i zaczynało się tak: „Coldwater Gatling nie szukał kłopotów, ale z tymi złodziejami bydlą z Arizony to nigdy nie wiadomo. Jak zobaczysz takiego, to strzelba na biodro i leż płasko na ziemi. Kłopot z kłopotami polegał na tym, że kłopoty szukały Coldwatera Gatlinga. W Arizonie nie przepadano za teksaskimi jeźdźcami, toteż Coldwater Gatling postanowił trzymać się zasady »najpierw strzelaj, a potem sprawdzaj, kogoś zabił«. Tak robili w Stanie

Samotnej Gwiazdy, gdzie mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety chętnie gotowały dla rącho jeżdżących i celnie strzelających facetów, takich jak Coldwater Gatling, najtwardszy kowboj, jakiego tam mieli".

Tak brzmiał pierwszy akapit.

- Stek bzdur - skwitowałem.

- Proszę, pomóż mu.

Nie przeżyje roku, powiedziała. Wyjechał z Los Angeles i zaszył się gdzieś na obrzeżach pustyni Santa Ana. Mieszkał w jakiejś chacie i gorączkowo pisał. Zawsze chciał pisać. Teraz, gdy zostało mu tak mało czasu, wziął się ostro do roboty.

- Co mnie do tego? - spytałem.

- Ależ on umiera.

- Nie on jeden.

Otworzyłem kopertę z drugim rękopisem. To było coś podobnego. Pokręciłem głową.

- Kiepskie.

- Wiem - powiedziała. - Ale może coś byś z tym zrobił? Sammy odda ci połowę honorarium.

- Nie potrzebuję jego pieniędzy. Mam swoje.

Camilla wstała i położyła dłonie na moich ramionach. Potem zbliżyła usta do moich ust i poczułem jej ciepły, słodki oddech. Jej oczy były tak wielkie, że widziałem w nich swoją twarz. Drżałem, omdlewałem z podniecenia.

- Zrobisz to dla mnie?

- Dla ciebie? No cóż, dla ciebie... tak.

Pocałowała mnie. Bandini, ty sługusie. To był ciepły, namiętny pocałunek za niewykonaną jeszcze usługę. Odepchnąłem ją lekko.

- Nie musisz mnie całować. Zrobię, co w mojej mocy. -
Miałem już jednak pewien plan. Kiedy Camilla malowała przed lustrem usta, rzuciłem okiem na adres na kopercie. San Juan, Kalifornia. - Napiszę do niego w sprawie tych opowiadań - obiecałem.

Popatrzyła na moje odbicie w lustrze i jej dłoń trzymająca szminkę zastygła na chwilę w bezruchu. Camilla uśmiechnęła się drwiąco.

- Nie musisz tego robić - powiedziała. - Przyjdę po poprawione rękopisy i sama je wyślę.

Tak powiedziała, ale nie zwiedzisz mnie, Camillo, bo wspomnienia z tamtej nocy nad morzem masz wymalowane na twarzy. Nienawidzę cię, ależ ja cię nienawidzę!

- Dobrze - odparłem. - Chyba tak będzie najlepiej. Przyjdź jutro wieczorem.

Drwiła sobie ze mnie. Nie było tego widać w wyrazie jej twarzy czy ust, ale dało się to wyczuć.

- O której przyjść?

- O której kończysz pracę?

Odwrociła się, zamknęła torebkę na zatrzask i spojrzała na mnie.

- Przecież wiesz, o której kończę.

Załatwię cię, Camillo, zobaczysz.

- No to przyjdź po pracy - powiedziałem.

Podeszła do drzwi, położyła dłoń na gałce.

- Dobrej nocy, Arturo.

- Odprowadzę cię do wyjścia.

- Nie wygłupiaj się.

Drzwi się zamknęły. Stojąc na środku pokoju, słyszałem jej kroki na schodach. Czułem, że twarz mi pobladła - co za upokorzenie! Wpadłem w złość i zawyłem na całe gardło, rwąc włosy z głowy, pałając nienawiścią do tej dziewczyny; waliłem pięścią o pięść, zataczałem się po pokoju z rękami skrzyżowanymi na piersiach, rozpaczliwie usiłowałem o niej zapomnieć, przegnać ją ze swoich myśli.

Jednak nie byłem pozbawiony oręża - ten chory chłopak na pustyni też dostanie za swoje. Załatwię cię, Sammy. Potnę na kawałki. Będziesz żałował, że nie opuściłeś tego świata dużo wcześniej. Piórem można zwojować więcej niż mieczem, Sammy, a pióro Arturo Bandiniego może więcej niż twoje. To moja chwila, kolego. Teraz dostaniesz za swoje.

Przeczytałem jego opowiadania. Opatrzyłem komentarzem każdą linijkę, każde zdanie i akapit. Oba teksty były okropne, dało się zauważyć, że to pierwsze próby pisarskie - nieporadne, niejasne, niespójne i absurdalne. Godzinami paliłem papierosy i śmiałem się jak opętany z wycopin Sammy'ego, pastwiłem się nad nimi, zacierałem wesoło ręce. Już ja się postaram, żebyś leżał płasko na ziemi! Zerwałem się z krzesła i zacząłem walczyć z cieniem, krocząc dumnie po pokoju. A masz, Sammy! A masz! Jak ci się podobał ten lewy sierpowy? Co powiesz na tę kontrę z prawej? Trzask, prask, łup, cup, bęc!

Odwróciłem się i zobaczyłem zmarszczki na łóżku w miejscu, gdzie siedziała Camilla, zmysłowe kontury ud i pośladków na niebieskiej szenilowej narzucie. Zapomniałem na chwilę o Sammym i ogarnięty dziką tęsknotą rzuciłem się na kolana i ucałowałem to miejsce z nabożnym namaszczeniem.

- Camillo, kocham cię!

Kiedy ta chwila szaleństwa minęła, wstałem i poczułem wstręt do siebie - oto on, mroczny, odrażający Arturo Bandini, pies plugawy.

Usiadłem i zacząłem pisać list do Sammy'ego.

Drogi Sammy,

Była dzisiaj u mnie ta mata dziwka, wiesz, ta Latynoska 0 wspaniałej figurze i ptasim mózdzku. Przyniosła jakieś teksty napisane ponoć przez Ciebie. Co więcej, powiedziała, że kostucha puka do Twoich drzwi. W zwykłych okolicznościach uznałbym to za sytuację tragiczną. Ale po przeczytaniu tych pożalowania godnych rękopisów stwierdzam w imieniu całej ludzkości, że Twoje odejście z tego świata wszystkim wyjdzie na zdrowie. Nie umiesz pisać, Sammy. Proponuję, żebyś w tych ostatnich dniach, zanim świat odetchnie z ulgą po Twoim odejściu, skupił się na zrobieniu porządku w swojej zidiociałej duszy. Chciałbym móc ci szczerze powiedzieć, że jestem wstrząśnięty faktem, iż musisz wkrótce odejść. Chciałbym także, żebyś - tak jak ja - zostawił potomnym trwałą ślad swojej obecności na ziemskim padole. Skoro jednak nie jest to możliwe, zachęcam Cię, żebyś przeżył te ostatnie dni bez goryczy w sercu. Los nie był dla Ciebie łaskawy. Przypuszczam, że ty także jesteś rad, iż to wszystko wkrótce się skończy i Twoja pisanina nie zostanie poddana szerszemu osądowi. W imieniu wszystkich rozsądnych, cywilizowanych ludzi gorąco Cię namawiam do spalenia tej kupy literackiego łajna 1 niesięgania więcej po pióro. To samo się tyczy maszyny do pisania, jeśli takową posiadasz, bo nawet z ortografią jesteś na baki. Jeśli jednak zamierzasz pisać dalej z uporem maniaka, przyslij koniecznie to, co spłodzisz. Twoje opowiadki są przynajmniej zabawne. Wbrew intencjom autora, rzecz jasna.

Na tym zakończyłem swoją miazdzącą krytykę. Włożyłem rękopisy wraz z listem do dużej koperty, zakleiłem ją, zaadresowałem - Samuel Wiggins, poste restante, San Juan, Kalifornia - nakleiłem znaczek i wsunąłem do tylnej kieszeni. Potem wszedłem schodami na górę, przemierzyłem hol i skierowałem się do skrzynki pocztowej na rogu. Był przepiękny poranek, właśnie minęła trzecia. Błękity i biele nieba usianego jeszcze gwiazdami przywodziły na myśl pustynię i tchnęły tak wielkim spokojem, że aż zatrzymałem się na chwilę, zadziwiony tą niezwykłą aurą. Nie kołysał się ani jeden liść na brudnych palmach. Panowała głucha cicha.

Wszystko, co we mnie dobre, radowało się w tamtej chwili, przebudziły się moje najgłębiej ukryte pragnienia. Otaczał mnie wiecznie milczący spokój natury, obojętnej na losy tego wielkiego miasta; otaczała mnie pustynia, przyczajona pod ulicami i wokół nich, czekająca, aż miasto umrze, by móc je znów pogrzebać w piasku. Nagle zdałem sobie sprawę ze znikomości ludzkiego istnienia. Pustynia zawsze tam była - cierpliwe białe zwierzę - i czekała, aż ludzie powymierają, aż cywilizacje rozkwitną i przeminą. Ogarnął mnie podziw dla ludzkiej odwagi, poczułem się dumny z faktu, że jestem człowiekiem. Całe zło tego świata nie było w istocie złem, było czymś nieuniknionym i dobrym - częścią odwiecznej walki z pustynią.

Spojrzałem na południe, w kierunku dużych gwiazd. Wiedziałem, że gdzieś tam leży pustynia Santa Ana, a w chacie pod dużymi gwiazdami śpi człowiek, którego pustynia pochłonie zapewne szybciej niż mnie. Trzymałem w dłoni owoc jego pracy będącej wyrazem walki z nieprzejednaną ciszą, ku której zmierzał. Nie miało znaczenia, kim był - mordercą,

barmanem czy pisarzem, jego los to wspólny los nas wszystkich, jego śmierć to moja śmierć, w tym mieście zaciemnionych okien mieszkały miliony takich ludzi jak on, jak ja - równie do siebie podobnych jak usychające źdźbła trawy. Trudno jest żyć, ale umierać jeszcze trudniej. A Sammy miał wkrótce umrzeć.

Stałem przy skrzynce pocztowej, opierając o nią głowę. Opłakiwałem Sammy'ego, siebie, wszystkich żywych i umarłych. Przebac mi, Sammy! Przebac głupcowi! Wróciłem do swojego pokoju i przez trzy godziny pisałem najdelikatniejsze uwagi krytyczne, jakie tylko się dało. Nie pisałem, że to czy tamto jest złe. Pisałem, że moim zdaniem to można by zrobić tak, a tamto tak. O szóstej położyłem się do łóżka i zasnąłem błogim snem. Ależ ja byłem wspaniały! Szlachetny, uprzejmy, wrażliwy człowiek kochający wszystkie żywe stworzenia - ludzi i zwierzęta.

15

NIE WIDZIAŁEM JEJ przez tydzień. Dostałem za to list od Sammy'ego, w którym dziękował za poprawki. Sammy, jej prawdziwa miłość. Przy okazji udzielił mi paru wskazówek. Jak sobie radzisz z tą małą Latynoską? To nie jest zła dziewczyna, jest całkiem niezła, gdy zgaśnie światło, ale problem z tobą, Bandini, polega na tym, że nie wiesz, jak z nią postępować. Jesteś dla niej zbyt miły. Nie rozumiesz Meksykanek. One nie lubią być traktowane po ludzku. Kiedy facet jest dla nich miły, pomiatają nim.

Pracowałem nad książką, przerywając co jakiś czas, żeby ponownie przeczytać list od Sammy'ego. Czytałem go również w tamtą noc, gdy znów pojawiła się Camilla. Było około północy, weszła bez pukania.

- Cześć.
- Cześć, wariatko.
- Pracujesz?
- A jak myślisz?
- Jesteś na mnie zły?

- Nie, tylko zde gustowany.

- Mną?

- Naturalnie. Spójrz na siebie.

Miała pod płaszczem biały fartuch - cały w kropkach i plamach. Jedna z pończoch jej opadła, marszczyła się w okolicach kostki. Twarz Camilli wydawała się zmęczona, szminka częściowo starła się z ust. Na płaszczu kurz i paprochy. Na stopach tanie buty na wysokich obcasach.

- Za wszelką cenę chcesz zrobić z siebie Amerykankę - powiedziałem. - Po jakie лихо? Popatrz na siebie.

Podeszła do lustra i przyjrzała się sobie z powagą.

- Jestem zmęczona. Mieliśmy dziś urwanie głowy.

- To przez te buty. Powinnaś nosić takie buty, do jakich twoje stopy są stworzone, *huaraches*. No i ta tapeta na twarzy. Wyglądasz okropnie, jak tania podróbka Amerykanki. Wyglądasz niechlujnie. Spróbym cię, gdybym był Meksykaninem. Przynosisz wstyd własnemu narodowi.

- I kto to mówi? Jesteś takim Amerykaninem jak ja Amerykanką. W ogóle nie jesteś Amerykaninem. Spójrz na swoją śniadą skórę. To skóra makaroniarza. Poza tym masz czarne oczy.

- Brązowe.

- Nic podobnego. Włosy też masz czarne.

- Brązowe.

Zdjęła płaszcz, rzuciła się na łóżko i wetknęła sobie papierosa w usta. Potem zaczęła się obmacywać w poszukiwaniu zapalek. Moje zapalki leżały na biurku, miałem je w zasięgu ręki. Czekala, aż jej je podam.

- Nie jesteś kaleką - powiedziałem. - Sama je sobie weź.

Zapaliła papierosa. Paliła w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Dym wydobywał się z nosa i unosił w zelektryzowanym powietrzu. Na zewnątrz była mgła. Z oddali dobiegał ryk policyjnej syreny.

- Myślisz o Sammym? - spytałem.

- Może.

- Nie musisz myśleć o nim tutaj. W każdej chwili możesz wyjść.

Camilla wyjęła papierosa z ust i porwała go na strzępy. Potem równie nerwowo zwróciła się do mnie:

- Jezu, ale ty jesteś okropny. Musisz być potwornie niešťczęśliwy.

- Bzdury pleciesz.

Leżała ze skrzyżowanymi nogami. Między brzegiem białego fartucha a zwiniętymi nieco pończochami widać było pasek brązowej skóry - szeroki na cal albo dwa. Rozrzucone na poduszce włosy przypominały plamę rozlanego atramentu. Leżała na boku i wpatrywała się we mnie. Potem się uśmiechnęła. Uniosła dłoń i kiwnęła do mnie palcem.

- Chodź, Arturo - powiedziała ciepłym głosem.

Machnąłem ręką.

- Nie, dzięki. Tu mi dobrze.

Przez pięć minut patrzyła na mnie gapiącego się w okno. Mogłem jej teraz dotknąć, wziąć ją w ramiona; tak, Arturo, wystarczyło wstać z krzesła i położyć się obok, ale ja pamiętałem o nocy na plaży, wierszu na podłodze i telegramie miłosnym - te wspomnienia krążyły po pokoju niczym koszmary senne.

- Boisz się? - spytała.

- Ciebie? - zachichotałem.

- Boisz się.

- Wcale nie.

Otworzyła ramiona i zdawało się, że cała się na mnie otwiera, ale to sprawiło, że ja się jeszcze bardziej zamknąłem, prześladowany obrazem jej miękkiego i bujnego ciała.

- Jestem teraz zajęty - powiedziałem. - Spójrz.

Poklepałem stos kartek leżących obok maszyny do pisania.

- Ale poza tym się boisz.

- Czego?

- Mnie.

- Phi!

Cisza.

- Coś jest z tobą nie tak - powiedziała.

- Co?

- Jesteś ciotą.

Wstałem i podszedłem do niej.

- To nieprawda.

Leżeliśmy obok siebie. Wywierała na mnie presję swoją pogardą, pocałunkiem, którym mnie obdarzyła, grymasem ust, kpina w oczach, a ja coraz bardziej się usztywniałem i wkrótce nie czułem już nic poza przerażeniem i lękiem przed nią. Miałem poczucie, że jej uroda mnie przytłacza, że Camilla jest po stokroć piękniejsza ode mnie i głębiej zakorzeniona. Sprawiała, że widziałem w sobie kogoś obcego; ona była tymi wszystkimi spokojnymi nocami i wysokimi drzewami eukaliptusowymi, ziemią i niebem, gwiazdami nad pustynią, mgłą za oknem, a ja przyjechałem tu tylko po to, żeby zostać pisarzem, zdobyć pieniądze i sławę. Była o wiele lepsza ode mnie,

o wiele autentyczniejsza. Poczułem wstręt do siebie, nie mogłem patrzeć w jej ciepłe oczy, a kiedy objęła moją szyję i wsunęła mi palce we włosy, stłumiłem wywołany tym gestem dreszcz. Nie pocałowałem jej. Za to ona pocałowała mnie, autora *Śmiechu małego pieska*. Potem ujęła w dwie ręce mój nadgarstek. Przycisnęła wargi do wnętrza mojej dłoni. Położyła tę dłoń w zagłębieniu między swoimi piersiami. Skierowała twarz ku mojej i czekała. Natomiast Arturo Bandini, wielki pisarz, głęboko zatopiony w kolorowym świecie swojej wyobraźni, romantyczny Arturo Bandini, z głową pełną wyszukanych fraz - powiedział cicho i zalotnie:

- Cześć.

- Cześć? - powtórzyła ze zdziwieniem, a potem się roześmiała. - Cześć. Jak się masz?

- Świetnie.

Ach, ten Arturo! Gawędziarz, co się zowie!

I co teraz? Gdzie się podziały żar i namiętność? Camilla zaraz sobie pójdzie i wtedy to wszystko powróci. Ale ty nie możesz tego zrobić, Arturo! Pomyśl o swoich wspaniałych poprzednikach! Szanuj się, człowieku! Poczułem na sobie jej rękę, wędrującą po moim ciele. Przejęty strachem, przytrzymałem je w żelaznym uścisku. Jeszcze raz mnie pocałowała. Równie dobrze mogła przyłożyć usta do zimnego pościa szynki. Byłem żaloszny.

Odepchnęła mnie.

- Spadaj - powiedziała. - Puść mnie.

Niesmak, przerażenie i upokorzenie paliły mnie, ale nie zamierzałem jej puścić. Przywarłem do niej, przycisnąłem swoje zimne usta do jej ciepłego ciała. Próbowwała się uwolnić, ale

trzymałem ją kurczowo, wtulając w jej ramię twarz, którą wstydziłem się pokazać. Potem poczułem, że pogarda Camilli przeradza się w nienawiść. Walczyła jak lwica i właśnie wtedy jej zapragnąłem. Trzymałem ją i prosiłem, żeby się opamiętała, ale im bardziej się szarpała, tym większe podniecenie odczuwałem. Byłem szczęśliwy - brawo, Arturo! Radość i siła, siła płynąca z radości, słodkie poczucie siły, ogromne zadowolenie z siebie, zachwycająca świadomość, że gdybym tylko chciał, mógłbym teraz osiąść tę dziewczynę. Ale nie chciałem, bo już przeżyłem spełnienie. Byłem oszołomiony siłą i radością Arturo Bandiniego. Rozluźniłem uścisk, oderwałem dłoń od ust Camilli i wyskoczyłem z łóżka.

Siedziała ze śliną w kącikach ust, zgrzytając zębami, ciągnąc się za włosy i tłumiąc krzyk, który usiłował się wyrwać z jej gardła, lecz to nie miało znaczenia - mogła krzyczeć, ile dusza zapragnie, bo Arturo Bandini nie był ciotą, wszystko było w porządku z Arturo Bandinim, miał jurność sześcioro chłopca, właśnie się o tym przekonał; co za niesamowity facet, wielki pisarz, wielki kochanek, w zgodzie ze światem i ze swoją prozą.

Camilla poprawiała ubranie, wstała z łóżka - wystraszona i zdyszana - po czym podeszła do lustra, jakby chciała się upewnić, że zobaczy w nim siebie.

- Jesteś do niczego - powiedziała.

Usiadłem i zacząłem żuć paznokcie.

- Myślałam, że jesteś inny - dodała. - Nienawidzę brutalności.

Brutalność, phi! Jakie znaczenie miało to, co ona myślała? Najważniejsze, że udowodniłem sobie, iż mogę ją osiąść.

Byłem kimś więcej niż tylko wielkim pisarzem. Już się jej nie bałem. Mogłem patrzeć w jej oczy tak, jak mężczyzna powinien patrzeć w oczy kobiecie. Camilla wyszła bez słowa, a ja siedziałem dalej na krześle i upajałem się radosnym poczuciem pewności siebie - świat był taki ogromny, miałem jeszcze tyle do zrobienia. Ach, Los Angeles, miasto samotnych ulic spowitych pyłem i mgłą, ja nie jestem już samotny. A wy, duchy mojego pokoju, bądźcie cierpliwe, bo to się w końcu stanie; niech Camilla nacieszy się tym swoim Sammym, zaszytym gdzieś na pustyni, z jego marnymi opowiadaniem, z jego nędzną prozą, ale poczekajcie, aż zazna rozkoszy ze mną, bo to się stanie na pewno.

Minął tydzień, może dwa. Nie pamiętam. Wiedziałem, że ona wróci. Nie czekałem. Żyłem swoim życiem. Napisałem kilka stron. Przeczytałem kilka książek. Byłem spokojny: ona wróci. Przyjdzie nocą. Camilla w ogóle nie kojarzyła mi się z dniem. Ani razu nie widziałem jej za dnia. Pojawiała się tylko nocą jak księżyc.

Przyszła. Usłyszałem kamyki odbijające się od szyby. Otworzyłem szeroko okno i zobaczyłem ją. Stała na zboczu wzgórza w swetrze włożonym na fartuch. Patrzyła na mnie z lekko rozchylonymi ustami.

- Co robisz? - spytała.
 - Siedzę sobie.
 - Gniewasz się na mnie?
 - Nie. A ty na mnie?
- Zaśmiała się.
- Trochę.

- Czemu?

- Jesteś podły.

Wybraliśmy się na przejażdżkę. Camilla zapytała, czy umiem się posługiwać bronią palną. Nie umiałem. Pojechaliśmy na strzelnicę przy Main Street. Camilla była świetnym strzelcem. Znała właściciela, młodego chłopaka w skórzanej kurtce. Nie mogłem trafić w żaden cel, nawet w dużą tarczę na środku. Camilla płaciła, więc patrzyła na moje żalosne próby z dużym niesmakiem. Potrafiła wcelować w sam środek dużej tarczy nawet wtedy, gdy trzymała rewolwer pod pachą, a ja oddałem około pięćdziesięciu strzałów i nie trafiłem ani razu. Chciała mi pokazać, jak należy trzymać broń. Cofnąłem gwałtownie rękę i zacząłem wymachiwać lufą we wszystkie strony. Chłopak w skórzanej kurtce dał nura pod kontuar.

- Ostrożnie! - krzyknął. - Uważaj trochę!

Niesmak Camilli przerodził się w upokorzenie. Z kieszeni pełnej napiwków wyciągnęła pięćdziesięciocentówkę.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała. - Ale tym razem nie spudłuj, bo nie zapłacę.

Nie miałem przy sobie pieniędzy. Odłożyłem broń na kontuar i odmówiłem dalszego strzelania.

- Chrzanię to - powiedziałem.

- To oferta, Tim - wyjaśniła. - Potrafi tylko pisać wiersze.

Tim, rzecz jasna, nie lubił ludzi, którzy nie umieli strzelać. Popatrzył na mnie krzywo, ale nic nie powiedział. Sięgnąłem po wielostrzałowego winchestera, wycelowałem i zacząłem strzelać. Duża tarcza, która znajdowała się w odległości sześćdziesięciu stóp i była przytwierdzona do słupka trzy sto-

py nad ziemią, ani drgnęła. Kiedy trafiło się w środek tarczy, odzywał się dzwonek. Teraz jednak milczał. Po opróżnieniu całego magazynka wciągnąłem nosem ostry zapach prochu i zrobiłem głupią minę. Tim i Camilla ryknęli śmiechem. Na chodniku stał już spory tłumek gapiów. Podzielali niesmak Camilli, bo był zaraźliwy. Ja też czułem niesmak do siebie. Kiedy się odwróciła i zobaczyła tych wszystkich ludzi, jej policzki oblał rumieniec. Wstydziła się za mnie, była zdenerwowana i zażenowana. Szepnęła kątem ust, że powinniśmy już iść. Przecisnęła się przez tłum i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Poszedłem za nią bez pośpiechu. Co z tego, że nie umiałem strzelać z jakiejś cholernej spluwy, co z tego, że te gamonie się śmiały i że Camilla się śmiała? Czy którykolwiek z tych głupich palantów, nędznych szyderców z Main Street, potrafił napisać takie opowiadanie jak *Dawno utraczone wzgórze*? Żaden! Więc pał ich pogardę!

Wóz był zaparkowany przed kawiarnią. Zanim do niego dotarłem, Camilla zdążyła uruchomić silnik. Wsiadłem, ale nie czekała, aż usiądę. Zerknęła na mnie z szyderczym uśmieszkiem, po czym puściła sprzęgło. Rzuciło mną o fotel, a potem o przednią szybę. Byliśmy zastawieni z przodu i z tyłu przez dwa auta. Camilla najpierw pchnęła jedno, potem drugie, dając mi przy okazji odczuć, co myśli o moim popisie na strzelnicy. Kiedy w końcu wyjechaliśmy, odetchnąłem i usiadłem w fotelu.

- Bogu dzięki - powiedziałem.
- Zamknij się!
- Słuchaj - rzekłem. - Jeśli coś ci nie pasuje, wypuść mnie z auta. Chętnie się przejdę.

Natychmiast wdepnęła pedał gazu. Pędziliśmy ulicami centrum. Trzymałem się mocno i zastanawiałem, czy nie wyskoczyć z wozu. Potem dojechaliśmy do rejonu, w którym ruch uliczny był znacznie mniejszy. Znajdowaliśmy się dwie mile od Bunker Hill, we wschodniej części miasta, pełnej fabryk i browarów. Camilla zwolniła i zatrzymała auto przy krawężniku. Wzdłuż ulicy biegło niskie czarne ogrodzenie. Za nim piętrzyły się stopy stalowych rur.

- Dlaczego tutaj? - spytałem.

- Chciałeś się przejść - odparła. - Teraz możesz.

- Już mi się odechciało.

- Wsiadaj - zażądała. - Mówię poważnie. Jak można tak beznadziejnie strzelać? No już, wsiadaj!

Sięgnąłem po papierosy, próbowałem ją poczęstować.

- Porozmawiajmy - zaproponowałem.

Wytrąciła mi paczkę z ręki i wbiła we mnie wzrok.

- Nienawidzę cię - powiedziała. - Ależ ja cię nienawidzę!

Kiedy podnosiłem papierosy z podłogi, noc i wyludniona dzielnica fabryk pulsowały nienawiścią Camilli. Rozumiałem ją. To nie było tak, że nienawidziła Arturo Bandiniego. Nienawidziła tego, że nie spełniał jej oczekiwań. Chciała go kochać, ale nie mogła. Chciała, żeby był taki jak Sammy: cichy, małomówny, ponury, żeby dobrze strzelał i żeby był barmanem, który widzi w niej kelnerkę i nikogo więcej. Wsiadłem z wozu, szczerząc zęby, bo wiedziałem, że sprawię jej tym przykrość.

- Dobranoc - powiedziałem. - Jest piękna noc. Mogę się przejść.

- Mam nadzieję, że nie dojdiesz do domu - rzekła. - Mam nadzieję, że jutro rano znajdą cię martwego w rynsztoku.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Kiedy odjeżdżała, z jej gardła dobył się szloch, bolesny jęk. Jedno nie ulegało kwestii: Arturo Bandini nie był odpowiednim facetem dla Camilli Lopez.

16

DOBRE DNI, TŁUSTE DNI wypełnione pisaniem; dni obfitości, kiedy miałem coś do powiedzenia, kiedy opowiadałem historię Very Rivken i byłem szczęśliwy. Bajeczne dni - czynsz zapłacony, jeszcze pięćdziesiąt dolarów w portfelu, nic do roboty całymi dniami i nocami poza pisaniem i myśleniem o pisaniu; ach, takie słodkie dni, rodziła się na moich oczach, martwiłem się o nią, byliśmy tylko my dwoje, ja i moja książka, moje słowa, może ważne, może nieśmiertelne, ale przede wszystkim moje, nieustraszony Arturo Bandini pochłonięty pracą nad swoją pierwszą powieścią.

Nadchodzi wieczór. Co zrobić z duszą orzeźwioną kąpielą w potoku słów, co zrobić ze stopami stąpającymi twardo po ziemi? Co słychać u innych ludzi? Pójdę tam i popatrzę sobie na nią - na Camillę Lopez.

Tak też uczyniłem. Było jak dawniej, popatrywaliśmy na siebie. Ale Camilla się zmieniła, schudła, jej twarz wyglądała niezdrowo, w kącikach ust pojawiły się zajady. Wymienialiśmy uprzejme uśmiechy. Dawałem jej napiwki, a ona dzie-

kowala. Wrzucałem pięciocentówki do szafy grającej, wybierając ulubione melodie Camilli. Nie tańczyła przy pracy i nie spoglądała na mnie tak często jak kiedyś. Może z powodu Sammy'ego, może za nim tęskniła.

Spytałem ją:

- Co u niego?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba w porządku.

- Nie widzisz się z nim?

- Jasne, że się widuję.

- Nie wyglądasz dobrze.

- Ale dobrze się czuję.

Wstałem.

- Muszę lecieć. Wpadłem, żeby zobaczyć, co u ciebie.

- Miło z twojej strony.

- Drobiazg. Odwiedzisz mnie jeszcze?

Uśmiechnęła się.

- Może kiedyś.

Droga Camillo, w końcu do mnie przyszłaś. Rzuciłaś kamykami w szybę, wciągnąłem cię do środka i poczułem whisky w twoim oddechu, a potem patrzyłem na ciebie ze zdziwieniem, kiedy siedziałaś lekko podpita przy mojej maszynie do pisania, chichocząc i bawiąc się klawiaturą. W pewnym momencie odwróciłaś się, żeby na mnie spojrzeć, i wtedy w świetle lampy zobaczyłem wyraźnie twoją twarz - dolna warga była spuchnięta, a pod lewym okiem widniał ciemnofioletowy siniak.

„Kto cię uderzył?” - spytałem, a ty odpowiedziałaś: „Miałam wypadek”. Ja na to: „Sammy prowadził to drugie auto?”.

Rozpłakałaś się, pijana i zrozpaczona. Mogłem cię wtedy dotykać, nie dbając o to, czy czuję podniecenie, czy nie. Mogłem leżeć obok ciebie, trzymać cię w ramionach i słuchać, jak mówisz, że Sammy cię nienawidzi, że po pracy pojechałaś do niego na pustynię, a on przyłożył ci dwa razy za to, że obudziłaś go o trzeciej nad ranem.

- Czemu do niego pojechałaś?

- Bo go kocham.

Wyciągnęłaś z torebki małą flaszkę i wypiliśmy ją razem - twoja kolej, moja kolej. Kiedy była pusta, skoczyłem do sklepu po dużą flaszkę. Przez całą noc piliśmy i płakaliśmy. Mogłem mówić, co mi leży na sercu, wyrzucać z siebie te wszystkie piękne słowa, okraszone kwiecistymi porównaniami, bo ty płakałaś za innym facetem i nie słuchałaś tego, co mówiłem, ale ja słyszałem własne słowa - Arturo Bandini był całkiem niezły tamtej nocy, bo mówił do swojej prawdziwej miłości, ale to nie byłaś ty ani Vera Rivken, tylko po prostu jego prawdziwa miłość. Pięknie mówiłem tamtej nocy, Camillo. Klęcząc obok ciebie na łóżku i trzymając cię za rękę, mówiłem: „Och, Camillo, zagubiona dziewczyno! Rozchyl długie palce swoich dłoni i oddaj mi moją zmęczoną duszę! Całuj mnie, bo tęsknię za chlebem meksykańskich wzgórz. Tchnij zapach utraconych miast w moje rozpalone nozdrza i pozwól mi umrzeć tutaj z ręką na twojej delikatnej szyi, bladej niczym piasek jakiegoś zapomnianego południowego wybrzeża. Weź tęsknotę moich niespokojnych oczu i nakarm nią samotne jaskółki śmigające nad jesiennym polem, bo kocham cię, Camillo, a twoje imię jest tak samo święte jak imię dzielnej księżniczki, która umarła z uśmiechem na twarzy, mimo że kochała bez wzajemności”.

Upiłem się tamtej nocy, Camillo, upiłem się whisky za siedemdziesiąt osiem centów, a ty upiłaś się whisky i smutkiem. Pamiętam, że po zgaszeniu światła trzymałem cię w ramionach - naga, z jednym butem na nodze - i spałem spokojnie pośród twoich szlochów, przebudzając się jednak i denerwując, kiedy twoje gorące łzy spływały mi do ust, bo czując ich słony smak, myślałem o Sammym i jego okropnych rękopisach. Jak ten dureń śmiał cię uderzyć? Nawet jego interpunkcja była do niczego.

Kiedy obudziliśmy się rano, oboje odczuwaliśmy mdłości, twoja spuchnięta warga wyglądała jeszcze bardziej groteskowo niż wcześniej, a siniak pod okiem zrobił się zielony. Wstałaś, podeszłaś chwiejnym krokiem do umywalki i umyłaś twarz. Słyszałem, jak pojękujesz. Widziałem, jak się ubierasz. Poczuliśmy na czole twój pocałunek, a potem się pożegnałaś i od tego też mnie zemdliło. Wyszłaś przez okno. Słyszałem, jak się zataczasz, brnąc w górę zbocza, słyszałem szelest trawy i trzask gałązek łamiących się pod twoimi niepewnymi stopami.

Próbuję przypomnieć sobie wszystko po kolei. Zima, wiosna i lato niczym się od siebie nie różniły, takie same dni następowały po sobie bez końca. Dobrze, że przychodziły noce, że robiło się ciemno, bo inaczej nie wiedzielibyśmy, kiedy kończy się jeden dzień i zaczyna następny. Miałem napisanych dwieście czterdzieści stron, moja powieść była na ukończeniu. Reszta to już spacerek. Potem książka trafi do Hackmutha, tra la, i zacznie się koszmar.

Mniej więcej wtedy wybraliśmy się z Camilla na Terminal Island, sztuczną wyspę, długi palec usypany z ziemi, wskazujący

Catalinę. Ziemia, fabryki konserw i zapach ryb, brązowe domki pełne japońskich dzieci, plaże z białym piaskiem i szerokie asfaltowe aleje, japońskie dzieci grające na ulicach w futbol amerykański. Camilla była rozdrażniona. Ostatnio dużo piła i jej oczy straciły dawny blask. Zaparkowaliśmy na szerokiej ulicy i poszliśmy na plażę oddaloną o jakieś sto jardów. Nad wodą było trochę poszarpanych skał i głazów, wśród których roiło się od krabów. Skorupiaki nie miały łatwego życia, bo uwzięły się na nie mewy - skrzeczały, drapały pazurami i walczyły między sobą. Siedzieliśmy na piasku i obserwowaliśmy je. Camilla powiedziała, że mewy są piękne.

- Nienawidzę ich - oznajmiłem.

- Ty wszystkiego nienawidzisz.

- Spójrz na nie - powiedziałem. - Czemu się znęcają nad tymi biednymi krabami? Kraby nic złego nie robią. Po co mewy je dręczą?

- Kraby - odparła. - Faj!

- Nienawidzę mew - powtórzyłem. - Jedzą wszystko, a najchętniej odpadki.

- Zamknij się, na litość boską! Zawsze musisz wszystko zepsuć. Nie obchodzi mnie, co one jedzą.

Na ulicy mali Japończycy grali w futbol amerykański. Żaden nie miał jeszcze dwunastu lat. Jeden z nich był świetnym podającym. Odwróciłem się plecami do morza i zacząłem oglądać mecz. Chłopak, który tak dobrze podawał, rzucił właśnie piłkę do kolegi z drużyny. Zainteresowałem się i usiadłem prosto.

- Patrz na morze - powiedziała Camilla. - Powinieneś podziwiać to, co piękne. Jesteś pisarzem.

- Ale on pięknie podaje.

Opuchlizna już zniknęła z jej wargi, ale siniak pod okiem wciąż był widoczny.

- Kiedyś przyjeżdżałam tu bardzo często - odezwała się po chwili Camilla. - Prawie co wieczór.

- Pewnie z tym drugim pisarzem - powiedziałem. - Z tym naprawdę wielkim pisarzem, genialnym Sammym.

- Jemu się tu podobało.

- To wielki pisarz, a jakże! Opowiadanie, które napisał o twoim lewym oku, to arcydzieło.

- On w przeciwieństwie do ciebie nie gada jak najęty. Wie, kiedy milczeć.

- Drań!

Zanosiło się na sprzeczkę. Postanowiłem jej uniknąć. Wstałem i ruszyłem w stronę ulicy, na której grały dzieciaki. Camilla spytała, dokąd idę.

- Chcę z nimi pograć - odparłem.

Była oburzona.

- Z nimi? Z tymi żółtkami?

Brnąłem dalej przez piasek.

- Pamiętaj, co było tamtej nocy! - zawołała.

Odwrociłem się.

- Co?

- Pamiętasz, jak musiałeś wracać pieszo do domu?

- Nie ma sprawy - odparłem. - Autobusem jest bezpieczniej.

Dzieciaki nie chciały, żebym grał, bo obie drużyny liczyły po tyle samo zawodników, ale pozwoliły mi trochę posędziować. Wkrótce jednak zespół, który miał w składzie tego świetnego podającego, uzyskał tak miażdżącą przewagę, że

trzeba było coś zmienić. Wzmocniłem więc tę drugą drużynę. Każdy w naszym zespole chciał być rozgrywającym, w związku z czym wybuchło spore zamieszanie. Postanowili, że zagram jako środkowy. Nie podobało mi się to, bo na tej pozycji nie otrzymywałem żadnych podań. W końcu kapitan mojej drużyny zapytał, czy umiem podawać, i dał mi szansę na pozycji biegacza. Wykonałem celne podanie. Potem było mnóstwo frajdy. Camilla pojechała niemal natychmiast. Graлиśmy aż do zmroku, moja drużyna została pokonana, ale nieznacznie. Wróciłem do Los Angeles autobusem.

Nie było sensu robić postanowienia, że już nigdy się z nią nie zobaczę. Każdy dzień mógł przynieść coś nieoczekiwanego. Minęły dwa dni, odkąd Camilla zostawiła mnie na Terminal Island. Wybrałem się wieczorem do kina. Około północy zszedłem po starych schodach do swojego pokoju. Drzwi były zamknięte od środka. Kiedy przekreśliłem gałkę, usłyszałem następujące słowa: „Chwileczkę, Arturo. To ja”.

To była bardzo długa chwila, trwała mniej więcej pięć minut. Słyszałem, jak Camilla krząta się nerwowo po pokoju, jak zatrząskuje drzwi szafy i otwiera okno. Jeszcze raz przekreśliłem gałkę. Zaraz potem Camilla otworzyła. Była zdyszana, jej biust wznosił się i opadał. Miała płomyki w oczach, wypieki na policzkach i zdawała się tryskać radością. Ta niespodziewana zmiana wzbudziła we mnie lęk - to trzepotanie rzęs, promienny uśmiech, połyskujące śliną zęby.

- O co tu chodzi? - zapytałem.

Rzuciła mi się na szyję. Jej pocałunki były tak żarliwe, że od razu wyczułem ich fałsz. Ten pozorny wybuch czułości

miał mnie jak najdłużej zatrzymać w progu. Camilla coś ukrywała, nie chciała, żebym wszedł do środka. Patrząc nad jej ramieniem, rozejrzałem się po pokoju. Na łóżku poduszka z wgłębieniem po głowie. Na oparciu krzesła jej płaszcz. Na szafce małe grzebyki i spinki do włosów. Na razie nic podejrzanego. Wszystko było w porządku z wyjątkiem dwóch czerwonych dywaników przy łóżku. Zostały przesunięte, bez wątpienia, bo zawsze leżały w takim miejscu, bym wstając rano, czuł je pod stopami.

Odsunąłem ręce Camilli i spojrzałem na szafę. Wtedy Camilla zaczęła sapać nerwowo i cofać się w jej stronę. Oparła się plecami o drzwi szafy i rozłożyła ramiona, broniąc dostępu do niej.

- Nie otwieraj jej, Arturo - błagała. - Proszę!

- Co to ma znaczyć, do cholery?

Cała się trzęsała. Oblizywała wargi i przelykała ślinę, uśmiechała się i płakała jednocześnie.

- Kiedyś ci powiem - zapewniła. - Ale teraz tam nie zagłądaj, Arturo. Nie możesz. Nie wolno ci. Proszę!

- Kto tam jest?

- Nikt - odparła, prawie krzyżąc. - Nie o to chodzi. Nikogo tu nie zaprosiłam. Ale proszę, nie otwieraj! Proszę!

Podeszła do mnie ostrożnie, jakby się skradała, z wyciągniętymi rękami, gotowymi w każdej chwili udaremnić mój ewentualny atak na szafę. Potem rozchyliła usta i zaczęła mnie całować z jakimś dziwnym zapamiętaniem, w którym było tyleż namiętności co chłodu, tyleż ognia co obojętności. Nie podobało mi się to. Jedna połowa jej serca zdradzała drugą, a ja nie wiedziałem która którą. Usiadłem na łóżku

i popatrzyłem na Camillę stojącą między mną a szafą. Próbowała ukryć swoją cyniczną euforię jak ktoś, kto jest pijany, lecz nie może dać tego po sobie poznać. Jednak tej euforii nie sposób było ukryć.

- Jesteś pijana, Camillo. Nie powinnaś tyle pić.

Tak ochoczo potwierdziła moje słowa, że natychmiast wzbudziło to moje podejrzenia. Stała tam i kiwała głową jak niegrzeczne dziecko, ze wstydliwym uśmiechem na twarzy, ustami w podkówkę i spuszczonego wzrokiem. Wstałem i pocałowałem ją. Owszem, była odurzona, ale nie whisky czy innym alkoholem. Jej oddech był zbyt słodki. Pociągnąłem ją za sobą na łóżko. Z jej oczu bił żar uniesienia, rozpalonymi tęsknotą palcami odnalazła moją szyję. Nuciała coś z ustami przyciśniętymi do mojej głowy.

- Gdybyś tylko był nim - szepnęła. A potem nagle wydarła się na całe gardło tak głośno, że od jej krzyku zarysowały się ściany. - Dlaczego nie jesteś nim? Jezu Chryste, dlaczego?

Zaczęła mnie okładać pięściami, zadając ciosy w głowę z lewej i z prawej, wrzeszcząc i drapiąc w wybuchu szaleństwa skierowanym przeciwko losowi, który nie raczył sprawić, bym ja był jej Sammym. Złapałem ją za nadgarstki i krzyknąłem, żeby się uciszyła. Jedną dłonią przytrzymałem jej rękę, a drugą zatkałem usta. Spojrzała na mnie wybałuszonymi oczami, walcząc o oddech.

- Dopiero jak obiecasz, że będziesz cicho - powiedziałem.

Kiwnęła głową i wtedy ją puściłem. Potem podszedłem do drzwi, nasłuchując kroków. Camilla leżała na brzuchu i płakała. Zbliżyłem się na palcach do szafy. Instynkt jednak nie zawiódł Camilli. Odwróciła się gwałtownie na łóżku z twarzą

zalaną łzami, oczami podobnymi do rozgniecionych winogron.

- Jeśli otworzysz te drzwi, zacznę krzyczeć - ostrzegła. - Będę krzyczeć i krzyczeć.

Nie chciałem tego. Wzruszyłem ramionami. Znow położyła się na brzuchu i płakała dalej. Liczyłem na to, że zaraz się wypłacze i odeśle ją do domu. Sprawy jednak potoczyły się inaczej. Po półgodzinie wciąż płakała. Nachyliłem się nad nią i dotknąłem jej włosów.

- Czego ty chcesz, Camillo?

- Jego - odparła, szlochając. - Chcę do niego pojechać.

- Teraz? - spytałem. - Mój Boże, to sto pięćdziesiąt mil stąd.

Nie obchodziło jej, ile to mil - równie dobrze mogło być tysiąc albo milion. Musiała się z nim jak najszybciej zobaczyć. Powiedziałem, że może robić, co chce, że to jej sprawa, że ma samochód i w ciągu pięciu godzin powinna dotrzeć na miejsce.

- Chcę, żebyś pojechał ze mną - zaszlochała. - On mnie nie lubi. Ale lubi ciebie.

- Nic z tego - odparłem. - Idę spać.

Nie dawała za wygraną. Padła przede mną na kolana, objęła moje nogi i podniosła na mnie wzrok. Powiedziała, że bardzo go kocha i że wielki pisarz powinien rozumieć, co to znaczy tak kochać, i że na pewno wiem, czemu nie może jechać sama. W tym momencie dotknęła swojego sinego oka. Sammy jej nie przepędzi, jeśli z nią pojedą. Będzie wdzięczny, że mnie przywiozła, a potem my dwaj, Sammy i ja, utniemy sobie pogawędkę, bo ten chłopak może się tak dużo ode mnie nauczyć o pisaniu i będzie za to wdzięczny nie tylko

mnie, ale również jej. Patrzyłem na nią i zgrzytałem zębami, próbując się oprzeć sile jej argumentów, lecz kiedy ujęła rzecz w ten sposób, zmiękłem i wyraziłem zgodę, tyle że wtedy oboje już płakaliśmy. Pomogłem jej wstać, otarłem łzy z jej oczu i poczułem się za nią odpowiedzialny. Podreptaliśmy cichutko na górę, potem przez hol i wyszliśmy na ulicę, przy której Camilla zostawiła auto.

Jechaliśmy na południe i nieco na wschód, zmieniając się za kierownicą. O świcie dotarliśmy do szarego pustkowia z kaktusami, bylicą i drzewami Jozuego, do pustyni, gdzie piasku było niewiele, a rozległą równinę znaczyły pojedyncze głązy i niskie pagórki. Po jakimś czasie skręciliśmy z głównej szosy w polną drogę, rzadko uczęszczaną i usianą kamieniami. Droga wznosiła się i opadała w rytm ospałych wzgórz. Kiedy znaleźliśmy się na obszarze pełnym kanionów i stromych wąwozów, dwadzieścia mil w głąb pustyni Mojave, było już zupełnie jasno. Camilla pokazała mi niską chatę z suszonej cegły, w której mieszkał Sammy. Stała u stóp trzech strzelistych wzgórz, na krawędzi piaszczystej doliny, która na wschodzie ciągnęła się w nieskończoność.

Byliśmy wykończeni jazdą w podskakującym fordzie. Na domiar złego o tej porze panował jeszcze przejmujący chłód. Musieliśmy zostawić auto dwieście jardów od chaty i dojść do niej kamienną ścieżką. Ja szedłem przodem. Potem stałem przez chwilę pod drzwiami. Z wnętrza chaty dobiegało głośne chrapanie. Camilla stała trochę dalej. Miała ręce splecione na piersiach, bo było jej zimno. Zapukałem i w odpowiedzi usłyszałem tylko przeciągły jęk. Zapukałem ponownie i tym razem Sammy przemówił.

- Jeśli to ty, mała Latynosko, wybije ci zęby.

Kiedy otworzył drzwi, zobaczyłem zaspaną twarz, nieprzytomne oczy i potargane włosy.

- Cześć, Sammy.

- Och - westchnął. - Myślałem, że to ona.

- Ona też tu jest.

- To powiedz jej, żeby spadała. Nie chcę jej tutaj.

Camilla stała teraz nieco z boku, oparta o ścianę chaty. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że uśmiecha się z zakłopotaniem. Całej naszej trójce było bardzo zimno, dzwoniły nam zęby. Sammy otworzył szerzej drzwi.

- Ty możesz wejść - powiedział. - Ale nie ona.

Wszedłem do środka. Było tam niemal zupełnie ciemno, śmierdziało starą męską bielizną i snem chorego człowieka. Okno zasłonięto kawałkiem tkaniny workowej, ale przez wąską szczelinę sączyła się strużka światła. Zanim zdążyłem zareagować, Sammy zamknął drzwi na zasuwę.

Był w długiej bieliźnie. Podłogę chaty stanowiło klepisko - suche, zapiaszczone i zimne. Sammy zerwał szmatę z okna i do wnętrza wpadło poranne światło. Z naszych ust buchała para.

- Wpuść ją, Sammy - powiedziałem. - Nie wygłupiaj się.

- Tę sukę? Nigdy!

Stał w długiej bieliźnie z czarnymi plamami brudu na łokciach i kolanach. Wysoki, chudy, z ciemną opalenizną, był już wrakiem człowieka. Podszedł do węglowego pieca i zaczął rozpalać ogień. Teraz dla odmiany odezwał się łagodnym tonem.

- W zeszłym tygodniu napisałem kolejne opowiadanie. Tym razem chyba całkiem niezłe. Chciałbym, żebyś je przeczytał.

- Jasne - powiedziałem. - Ale nie wygłupiaj się. Ona jest moją przyjaciółką.

- Fe! - skwitował. - Jest do niczego. To kompletna wariatka. Napyta ci biedy.

- Ale wpuść ją. Jest zimno na zewnątrz.

Sammy otworzył drzwi i wystawił głowę.

- Ej, ty!

Słyszałem, jak Camilla płacze, a potem próbuje wziąć się w garść.

- Tak, Sammy?

- Co tak sterczysz jak kołek? Wchodzisz czy nie?

Weszła ostrożnie niczym zalękniona łania, a Sammy podszedł znów do pieca.

- Mówiłem, że nie chcę cię tu więcej widzieć - rzekł.

- Przywiozłam jego - odparła. - Arturo. Chciał z tobą porozmawiać o pisaniu. Prawda, Arturo?

- Prawda.

Nie poznawałem jej. Duma i waleczność tej dziewczyny gdzieś się ulotniły. Stała z boku przygaszona i nieśmiała, z opuszczonymi ramionami i głową zwieszoną bezwładnie, jakby za ciężką na to, by szyja mogła ją utrzymać w górze.

- Ej, ty! - zwrócił się do niej Sammy. - Przynies trochę drewna.

- Ja przyniosę - powiedziałem.

- Niech ona idzie - upierał się. - Wie, gdzie jest.

Patrzyłem, jak Camilla wymyka się z chaty. Po chwili wróciła z naręczem suchych patyków. Wrzuciła je do skrzynki przy piecu, a potem bez słowa zaczęła dokładać do ognia. Sammy usadowił się na skrzynce po drugiej stronie izby i za-

jął się wkładaniem skarpetek. Poza tym rozgadał się na temat swoich opowiadań, trajkotał jak katarynka. Tymczasem Camilla stała z ponurą miną obok pieca.

- Ej, ty! - rzucił nagle Sammy. - Zrób nam kawy.

Camilla wykonała posłusznie jego polecenie i podała kawę w blaszanych kubkach. Siedzieliśmy teraz przy piecu. Sammy się wyspał, więc był pełen wigoru i entuzjazmu. Ja z kolei byłem zmęczony i senny, a żar ognia sprawiał, że jeszcze bardziej ciążyły mi powieki. Camilla krzątała się za nami i wokół nas. Zamiotła podłogę, pościeliła łóżko, umyła naczynia, powiesiła na wieszakach walające się po izbie ubrania - cały czas uwijała się jak mrówka. Im dłużej Sammy mówił, tym bardziej był przyjazny i otwarty. W większym stopniu niż samo pisanie interesowały go kwestie finansowe z nim związane. Ile płaci ten magazyn, ile tamten. Żywił przekonanie, że bez odpowiednich koneksji nie da się sprzedać żadnego opowiadania, trzeba mieć w redakcji kuzyna, brata albo kogoś takiego. Nie było sensu się z nim spierać, nawet nie próbowałem, wiedząc, że ludzie, którzy nie umieją pisać, muszą sobie w ten sposób tłumaczyć własne niepowodzenia.

Camilla przygotowała śniadanie. Jedliśmy je, trzymając talerze na kolanach. Śniadanie składało się z jajek na bekonie i smażonej kukurydzy. Sammy jadł z tą szczególną łapczywością charakterystyczną dla chorych ludzi. Kiedy skończyliśmy, Camilla zabrała blaszane talerze i umyła je. Potem sama zjadła, siedząc cichutko w kącie; słychać było jedynie dźwięk widelca stukającego o blaszany talerz. Sammy mówił przez cały poranek. Naprawdę nie potrzebował żadnych rad dotyczących pisania. Na wpół drzemiąc, słyszałem niezbyt

wyraźnie, jak mówił, że to trzeba zrobić tak, a tamto tak. Byłem potwornie zmęczony. Powiedziałem, że muszę się na chwilę położyć. Sammy zaprowadził mnie do altany z liści palmowych. Teraz powietrze było już ciepłe, a słońce wysoko na niebie. Położyłem się na hamaku i zasnąłem. Ostatnie, co pamiętam, to widok Camilli pochylonej nad balią z brudną wodą, w której pływało kilka par majtek i spodnie ogrodniczki.

Camilla obudziła mnie sześć godzin później, mówiąc, że już druga i musimy wracać. O siódmej zaczynała pracę w Columbia Buffet. Zapytałem, czy spała. Pokręciła głową. Na jej twarzy malowała się udręka i skrajne zmęczenie. Zszedłem z hamaka i stanąłem w gorącym powietrzu pustyni. Moje ubranie było przesiąknięte potem, ale czułem się odświeżony i wypoczęty.

- Gdzie nasz geniusz? - zapytałem.

Skinęła głową w stronę chaty. Podchodząc do drzwi, musiałem się schylić, żeby nie zahaczyć o sznurek, na którym wisały czyste i suche już części garderoby.

- Ty to wszystko uprałaś?

Uśmiechnęła się.

- Sprawilo mi to frajdę.

Z wnętrza chaty dochodziło głośnie chrapanie. Zajrzałem do środka. Sammy leżał na łóżku na wpol nagi, z otwartymi szeroko ustami, z rozłożonymi rękami i nogami. Wróciłem na palcach do Camilli.

- Śpi - powiedziałem. - Możemy jechać.

Weszła do chaty i podeszła bezszelestnie do łóżka. Stojąc w drzwiach, widziałem, jak pochyla się nad Sammym, jak przygląda się jego twarzy i całemu ciału. Potem jeszcze bar-

dziej się nachyliła, jakby chciała go pocałować. W tym momencie Sammy się obudził. Ich spojrzenia się spotkały.

- Wynos się stąd - warknął.

Odwróciła się i wyszła z chaty. Wracaliśmy do Los Angeles w całkowitym milczeniu. Nawet kiedy wysiadałem z samochodu przed hotelem Alta Loma, żadne z nas nic nie powiedziało, ale Camilla podziękowała mi uśmiechem, a ja wyraziłem uśmiechem swoje współczucie. Potem odjechała. Było już prawie ciemno, różowe słońce gasło na zachodzie. Poszedłem do swojego pokoju, ziewnąłem i padłem na łóżko. Nagle przypomniałem sobie o szafie. Wstałem i otworzyłem ją. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, garnitury wisiały na wieszakach, walizki leżały na górnej półce. Jednak w szafie nie było światła. Zapaliłem zapalniczkę i spojrzałem na podłogę. W narożniku leżała wypalona zapalniczka i jakies brązowe ziarenka podobne do grubo zmielonej kawy. Wziąłem kilka na palec i spróbowałem koniuszkiem języka. To była marihuana. Nie miałem co do tego wątpliwości, bo Benny Cohen pokazał mi kiedyś tę substancję, przestrzegając przed nią. A więc dlatego Camilla weszła do szafy. Żeby zapalić marihuanę, potrzebowała szczelnie zamkniętej przestrzeni. To również tłumaczyło, czemu dywaniki zostały przesunięte. Zatkąła nimi szparę pod drzwiami.

Camilla była ćpunką. Powąchałem powietrze w szafie, przytknąłem nos do ubrań. Zapach podobny do zapachu przypalonych wąsów kukurydzy. Ćpunka Camilla.

To nie była moja sprawa, ale tu chodziło o Camillę, dziewczynę, która wystrychnęła mnie na dudka, która mną gardziła i kochała kogoś innego, lecz zarazem była bardzo piękna

i bardzo jej potrzebowałem, więc uznałem, że to jest moja sprawa. O jedenastej wieczorem czekałem w jej aucie.

- A więc ćpasz - powiedziałem.
- Czasami - odparła. - Kiedy jestem zmęczona.
- Musisz z tym skończyć.
- Nie jestem uzależniona.
- Ale skończ z tym.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma powodów do niepokoju.
- Obiecuj, że z tym skończysz.

Uczyniła na sercu znak krzyża.

- Przysięgam na wszystko, co święte.

Jednak te słowa zostały wypowiedziane wobec Arturo, a nie wobec Sammy'ego. Wiedziałem, że Camilla nie dotrzyma obietnicy Uruchomiła silnik. Pojechaliśmy ulicą Broadway do Ósmej, a potem na południe w kierunku Central Avenue.

- Dokąd jedziemy? - spytałem.
- Zobaczysz.

Wjechaliśmy do dzielnicy murzyńskiej. Central Avenue, nocne kluby, opuszczone kamienice, niszczące lokale użytkowe, wymarła ulica; dla czarnych ulica biedy, dla białych - rozrywki. Zatrzymaliśmy się pod markizą lokalu nocnego o nazwie Club Cuba. Camilla знаła odźwiernego, olbrzymiego faceta w niebieskim uniformie ze złotymi guzikami.

- Mam sprawę - powiedziała.

Odźwierny wyszczerzył zęby, kiwnął na kogoś, żeby go zastąpił, po czym wskoczył na boczny stopień naszego auta. To wszystko odbywało się według ustalonej procedury, więc pewnie nie pierwszy raz.

Skęciliśmy za rogiem, przejechaliśmy dwie ulice, a potem wjechaliśmy w boczną uliczkę. Camilla zgasiła światła i prowadziła teraz ostrożnie w ciemności. Kiedy znaleźliśmy się przed drzwiami jakiegoś budynku, wyłączyła silnik. Potężny Murzyn zeskoczył ze stopnia, zapalił latarkę i pokazał, żebyśmy szli za nim.

- O co tu chodzi, do jasnej cholery? - zapytałem.

Weszliśmy do budynku. Murzyn prowadził. Trzymał Camillę za rękę, a ona mnie. Przemierzaliśmy długi korytarz, stąpając po drewnianej podłodze. Gdzieś w oddali echo naszych kroków niczym spłoszone ptaki odbijało się od ścian klatki schodowej. Wspięliśmy się na trzecie piętro, a potem znów szliśmy korytarzem. Na końcu były drzwi. Murzyn je otworzył. Wewnątrz panowała całkowita ciemność. Weszliśmy. Pomieszczenie wypełniały kłęby dymu, którego nie było widać, za to ostro szczypał w oczy. Zacząłem się dusić i krztusić. Z trudem łapałem oddech. Murzyn znów zapalił latarkę.

Snop światła omiótł pokój, nieduży pokój. Na podłodze i na łóżku, czyli w tym wypadku samym materacu na sprężynach, leżeli Murzyni i Murzynki, w sumie około dwudziestu osób. Widziałem ich oczy w świetle latarki, były szeroko otwarte, szare, podobne do ostryg. Stopniowo przyzwyczajałem się do gryzącego dymu i zobaczyłem małe ogniste punkciki, bo towarzystwo paliło marihuanę - w milczeniu i ciemności. Kiedy to sobie uświadomiłem, aż zakłuło mnie w płucach. Potężny Murzyn zrzucił z łóżka tych, którzy na nim leżeli, traktując ich jak worki ze zbożem, a potem, przyświecając sobie latarką, wy dobył coś z dziury w materacu. Była to puszka po tytoniu marki Prince Albert. Otworzył drzwi i tą samą drogą

wróciliśmy do samochodu. Murzyn dał Camilli puszkę, a ona jemu dwa dolary. Potem zawieźliśmy go na jego posterunek przed klubem, sami zaś pojechaliśmy dalej Central Avenue w kierunku przedmieść.

Milczałem. Po jakimś czasie dotarliśmy do Tempie Street, ulicy, przy której mieszkała Camilla. To był obrzydliwy drewniany budynek, zapasywały i konający w słońcu. W mieszkaniu znajdowało się łóżko chowane w szafie, radio oraz brudne niebieskie wyściełane meble. Na dywanie było pełno kurzu i okruchów, a w kącie - niczym naga modelka w nieprzyzwoitej pozie - leżał rozłożony magazyn filmowy. Roilo się od lalek i jarmarcznych pamiątek z nadmorskich kurortów. W rogu stał rower, sflaczałe koła świadczyły o tym, że już dawno nikt na nim nie jeździł. W innym rogu zauważyłem wędkę z poplątaną żyłką i haczykami, a w jeszcze innym - zakurzona śrutówkę. Pod sofą leżał kij bejsbolowy, a między poduszki wyściełanego krzesła wciśnięto Biblię. Łóżko było opuszczone na podłogę, a pościel brudna. Na jednej ścianie wisiała reprodukcja *Błękitnego chłopca*, a na innej rycina przedstawiająca Indianina z ręką wyciągniętą ku niebu.

Wszedłem do kuchni, poczułem smród śmieci w zlewie, zobaczyłem zatłuszczone patelnie na kuchence. Otworzyłem lodówkę, ale nie znalazłem w niej niczego poza skondensowanym mlekiem i kostką masła. Drzwiczki zamrażalnika nie chciały się zamknąć, ale chyba już od dawna się nie zamykały. Zajrzałem do szafy za łóżkiem, było tam mnóstwo ubrań i haczyków na ubrania, ale wszystkie ubrania leżały na podłodze szafy, z wyjątkiem słomkowego kapelusza, który wisiał samotnie, budząc śmiech i politowanie.

A więc tutaj mieszkała! Powąchałem, dotknąłem, obszedłem dookoła. Wszystko było takie, jak sobie wyobrażałem. To jej dom, bez wątpienia. Poznałbym go nawet z zawiązanymi oczami, bo to miejsce było przesiąknięte jej zapachem, naznaczone piętnem jej szalonej i pogmatwanej egzystencji. Mieszkanie przy Tempie Street, mieszkanie w Los Angeles. Ona stanowiła jedno ze wzgórzami, dzikimi pustyniami i wysokimi górami; zdewastowałyby każde mieszkanie, spustoszyła każde takie małe więzienie. Właśnie tak wyobrażałem sobie zawsze jej dom - ruina, obraz jej niespełnionych marzeń.

Camilla zrzuciła płaszcz i położyła się na sofie. Potem wpatrywała się posepnie w brzydki dywan. Siedziałem na wyściełanym krześle i paliłem papierosa, wodząc wzrokiem po krzywiznie jej pleców i bioder. Ciemny korytarz w hotelu przy Central Avenue, ponury Murzyn, mroczny pokój pełen ćpunów, a teraz dziewczyna zakochana w facecie, który jej nie cierpiał. To wszystko było z jednej bajki - perwersyjnej, przesyconej fascynującą brzydotą. Północ przy Tempie Street, między nami puszcza z marihuaną. Camilla leżała na sofie, apatyczna, zmęczona, ze zwisającą luźno ręką.

- Próbowałeś kiedyś tego? - spytała.
- Nie.
- Raz nie zaszkodzi.
- Nie chcę.

Usiadła i sięgnęła do torebki po puszkę z marihuaną. Potem wyjęła jeszcze paczkę bibułek. Wysypała trochę marihuany na bibułkę, zwinęła, polizała, ścisnęła oba końce i podała mi skręta. Biorąc go, powtórzyłem:

- Nie chcę.

Zrobiła drugiego dla siebie. Potem wstała i zamknęła okna, dociskając mocno klamki. Ściągnęła z łóżka koc i zatkała nim szparę pod drzwiami. Rozejrzała się uważnie wokół siebie. Później popatrzyła na mnie. Uśmiechnęła się.

- Każdy reaguje inaczej - uprzedziła. - Może zrobi ci się smutno i będziesz płakał.

- Nie chcę - powiedziałem kolejny raz.

Zapaliła swojego skręta i podała mi palącą się jeszcze zapalkę.

- Nie powinienem tego robić.

- Zaciągnij się i trzymaj dym w płucach. Długo. Aż cię zabolą. Potem wypuść.

- To jest złe.

Zaciągnąłem się. Trzymałem dym w płucach, aż mnie zaboląło. Potem go wypuściłem. Camilla odchyliła się na oparcie sofy i zrobiła to samo.

- Czasem trzeba wypalić dwa - powiedziała.

- Na mnie to nie podziała - zapewniłem.

Wypaliliśmy skręty do końca, aż zaczęły nas parzyć w palce. Potem skręciłem dwa następne. W połowie drugiego to przyszło - wrażenie odrywania się od ziemi i unoszenia w powietrzu, radość z przezwyciężenia grawitacji, niezwykle poczucie siły. Zaśmiałem się i znów zaciągnąłem. Camilla leżała na sofie i na jej twarzy malowały się takie same, równie sprzeczne emocje co poprzedniej nocy - podniecenie i chłód, miłosna pasja i obojętność. Ale ja znajdowałem się już poza pokojem, pokonałem ograniczenia własnego ciała i szybowałem swobodnie pośród jasnych księżyców i migoczących gwiazd. Byłem niezwykłony. Nie byłem sobą, lecz człowie-

kiem przepojonym gorzkim szczęściem i dziwną odwagą. Na stole stała lampa. Podniosłem ją, obejrzałem, a potem upuściłem na podłogę. Roztrzaskała się na kawałki. Zarechotałem. Camilla usłyszała huk, spojrzała na podłogę i też zarechotała.

- Co cię tak rozbawiło? - spytałem.

Znowu się zaśmiała. Wstałem z krzesła, przeszedłem przez pokój i wziąłem ją w ramiona. Moje ramiona wydawały się teraz wyjątkowo silne. Ścisnął ją bowiem tak mocno i tak namiętnie, że aż sapnęła.

Camilla wstała i rozebrała się. Patrząc na nią, pomyślałem, że kiedyś już widziałem u niej taki wyraz twarzy, takie posłuszeństwo i strach, i przypomniałem sobie chatę na pustyni i Sammy'ego, kiedy mówił, żeby przyniosła drewno. Od samego początku wiedziałem, że prędzej czy później będzie tak jak teraz. Wślizgnęła się w moje ramiona, a ja zachichotałem, widząc, że płacze.

Kiedy ulotniło się wrażenie szybowania ku świetlistym gwiazdom, a ciało znów dostało się w okowy własnych ograniczeń, kiedy wróciłem do tego obskurnego pokoju z pustym nijakim sufitem, do tego zmęczonego i zmarniałego świata, nie czułem nic poza dobrze mi znanym poczuciem winy, jakbym popełnił zbrodnię, dokonał spustoszenia. Usiadłem na brzegu sofy, obok leżącej Camilli. Popatrzyłem na dywan i zobaczyłem kawałki szkła z rozbitej lampy. A kiedy wstałem i ruszyłem przez pokój, poczułem nagle ostry ból w stopach, rozciętych pod ciężarem mojego ciała. Bolało i był to zasłużony ból. Wsunąłem pokaleczone stopy w buty i wyszedłem stamtąd wprost w objęcia zdumionej nocy. Utykając, przeszedłem całą długą drogę do hotelu. Myślałem, że już nigdy nie zobaczę Camilli Lopez.

17

ZBLIŻAŁY SIĘ WAŻNE WYDARZENIA, a ja nie miałem z kim o nich porozmawiać. Wkrótce nadszedł dzień, w którym skończyłem pisanie powieści o Verze Rivken. Potem musiałem ją jeszcze zredagować i przepisać. Szło mi bardzo gładko, to była czysta frajda. Hackmuth, już za kilka dni zobaczysz coś wielkiego. Skończyłem redakcję książki i wysłałem ją. Teraz pozostało tylko czekać i mieć nadzieję. Znowu zacząłem się modlić. Chodziłem na mszę i przyjmowałem komunię. Odmawiałem nowennę. Zapalałem świece przed ołtarzem Przenajświętszej Pani. Modliłem się o cud.

I cud się zdarzył. A wyglądało to tak: stałem przy oknie w swoim pokoju i obserwowałem robaka pełzającego po parapecie. Było czwartkowe popołudnie, godzina trzecia piętnaście. Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem je i zobaczyłem roznosiciela telegramów. Po złożeniu podpisu usiadłem na łóżku, zastanawiając się, czy wino wykończyło mojego ojca. Telegram brzmiał: książka przyjęta do druku, dzisiaj wysłałem umowę, Hackmuth. To było wszystko. Upuściłem kartkę

na dywan. Przez dłuższą chwilę siedziałem bez ruchu. Potem rzuciłem się na podłogę i zacząłem całować telegram. Wczołgałem się pod łóżko i leżałem tam. Już nie potrzebowałem słonecznego blasku. Nie potrzebowałem ziemi ani nieba. Byłem szczęśliwy i czułem, że umieram. Już nic lepszego nie mogło mnie spotkać. Moje życie dobiegło kresu.

Czy umowa ma przyjść pocztą lotniczą? Przez następne dni przemierzałem nerwowo pokój. Czytałem gazety. Poczta lotnicza nie budziła mojego zaufania. Precz z pocztą lotniczą! Codziennie spadają samoloty, pokrywając ziemię swoimi szczątkami, zabijając pilotów; to zbyt niepewne, zbyt pionierskie i gdzie - do licha - jest moja umowa? Zadzwoiłem na pocztę. Jakie warunki pogodowe nad Sierra Nevada? To dobrze. Żaden samolot nie zaginął? To dobrze. Żaden nie spadł? To gdzie moja umowa? Spędziłem wiele godzin na ćwiczeniu podpisu. Postanowiłem posłużyć się także drugim imieniem, tak by całe nazwisko brzmiało - Arturo Dominie Bandini, A.D. Bandini, Arturo D. Bandini, A. Dominie Bandini. Umowa - wysłana jako przesyłka ekspresowa - dotarła w poniedziałek rano. Dołączono do niej czek na pięćset dolarów. O Boże, pięćset dolarów! Byłem bogaty, ustawiony na całe życie.

Wojna w Europie, przemówienie Hitlera, inwazja na Polskę - to były tematy dnia. A co w tym ciekawego? Hej wy, podżegacze wojenni, starzy ludzie siedzący w holu hotelu Alta Loma, mam dla was ciekawszą nowinę. Widzicie tę kartkę zapisaną prawniczymi formułkami? Wydaję książkę! Do diabła z Hitlerem, to jest ważniejsze od Hitlera, bo dotyczy mojej książki. Ona nie wstrząśnie światem, nikogo nie zabije,

nie odda ani jednego strzału, ale nie zapomnicie jej do końca życia, nawet na łożu śmierci uśmiechniecie się, kiedy sobie o niej przypomnicie. Historia Very Rivken, kawałek życia.

Nie byli zainteresowani. Woleli wojnę w Europie, śmieszne obrazki i Louellę Parsons - biedni, nieszczęśni ludzie. Siedziałem w holu hotelowym i ze smutkiem kręciłem głową.

Ktoś musiał się dowiedzieć o mojej książce - Camilla. Nie widziałem jej od trzech tygodni, od czasu, kiedy paliliśmy marihuanę przy Tempie Street. Jednak nie było jej w barze. Inna dziewczyna zajęła jej miejsce. Zapytałem ją o Camillę. Nie chciała nic powiedzieć. Columbia Buffet wydawał mi się teraz martwy jak grób. Zapytałem grubego barmana. Camilla nie przychodziła od dwóch tygodni. Została zwolniona? Nie potrafił powiedzieć. Jest chora? Nie wiedział. On też nie chciał mówić.

Było mnie stać na taksówkę. Było mnie stać na dwadzieścia taksówek, mogłem nimi jeździć od rana do wieczora. Pojechałem do mieszkania Camilli przy Tempie Street. Zapukałem. Cisza. Nacisnąłem klamkę. Drzwi się uchyliły. W środku było ciemno, więc zapaliłem światło. Camilla leżała na łóżku. Jej pośliznięta twarz przypominała różę zasuszoną w książce, tylko w oczach tliło się życie. W pokoju śmierdziało. Zasłony były zasunięte, a drzwi stawiały pewien opór, dopóki nie kopnąłem na bok wciśniętego pod nie dywanika. Camilla westchnęła, kiedy mnie zobaczyła. Cieszyła się, że przyszedłem.

- Arturo! - wykrzyknęła. - Och, Arturo!

Nie powiedziałem jej o książce ani o umowie. Kogo obchodzi jakaś powieść, jeszcze jedna cholerna powieść? To, co teraz widziałem, kłuło w oczy, bo moje oczy pamiętały dziką,

krzepką dziewczynę biegającą po plaży w świetle księżyca, piękną dziewczynę tańczącą z tacą zastawioną piwem. Teraz ta dziewczyna była cieniem samej siebie, gdy tak leżała na łóżku ze spodkiem wypełnionym po brzegi brązowymi niedopałkami. Zrezygnowała z pracy. Chciała umrzeć.

- Jest mi wszystko jedno - oznajmiła.

- Musisz jeść - powiedziałem, bo jej twarz wyglądała jak czaszka, na którą naciągnięto żółtą skórę.

Usiadłem na łóżku i ująłem jej dłoń. Byłem zaskoczony, że ma takie drobne kości - ona, do niedawna jeszcze taka postawna i okrągła dziewczyna.

- Jesteś głodna.

Camilla zaprzeczyła.

- Mimo to musisz coś zjeść.

Poszedłem zrobić zakupy. Parę domów dalej był mały sklep spożywczy. Kupowałem bez umiaru. Proszę to, proszę tamto. Mleko, pieczywo, soki w puszkach, owoce, masło, warzywa, mięso, ziemniaki. Nazbierało się tego tyle, że musiałem nosić zakupy na trzy raty. Kiedy wszystko było już w kuchni, popatrzyłem na tę stertę zapasów i podrapałem się w głowę, zastanawiając się, czym poczęstować Camillę.

- Ja nic nie chcę - powiedziała.

Mleko. Umyłem szklanke i nalałem do pełna. Camilla usiadła. Jej różowa koszula nocna, rozdarła na ramieniu, jeszcze bardziej się rozdarła, kiedy Camilla siadała. Uniosła głowę, wypła trzy łyki, a potem wzdrygnęła się ze wstrętem i znów położyła.

- To może sok owocowy? - zaproponowałem. - Z winogron. Jest słodszy, lepiej smakuje.

Otworzyłem butelkę, nalałem pełną szklanę i podałem ją Camilli. Wypiła, położyła się i nagle zaczęła ciężko sapać. Potem wychyliła głowę za łóżko i zwymiotowała. Sprzątnąłem to. Posprzątałem całe mieszkanie. Umyłem naczynia i wyszorowałem zlew. Otarłem jej twarz z potu. Zbiegłem na dół, złapałem taksówkę i jeździłem nią po całym mieście, szukając sklepu, w którym można było kupić koszulę nocną. Kupiłem też trochę cukierków i różne magazyny ilustrowane, takie jak „Look”, „Pic”, „See”, „Sic”, „Sac”, „Whack” - kupiłem ich mnóstwo, żeby Camilla mogła zająć myśli czymś innym i trochę się odprężyć.

Kiedy wróciłem, drzwi były zamknięte. Wiedziałem, co to oznacza. Zacząłem w nie walić pięściami i kopać piętami. Huczało w całym budynku. Otworzyły się drzwi innych mieszkań, wychyliły głowy. Z dołu przyszła kobieta w starym szlafroku, właścicielka domu, potrafiłem rozpoznać takie osoby w mgnieniu oka. Stała u szczytu schodów, bojąc się podejść bliżej.

- Czego chcesz? - spytała.

- Drzwi są zamknięte - odparłem. - Muszę wejść do środka.

- Zostaw tę dziewczynę w spokoju - powiedziała. - Już ja znam takich jak ty. Zostawisz tę biedną dziewczynę w spokoju albo dzwonię na policję.

- Jestem jej przyjacielem.

Z wnętrza mieszkania dobiegł euforyczny, histeryczny śmiech Camilli, a potem rozdzierający krzyk protestu. „On nie jest moim przyjacielem! Nie chcę go tutaj!”. Potem znów rozległ się jej śmiech, piskliwy i nerwowy, podobny do ptasiego świergotu, uwięziony w czterech ścianach pokoju. Ca-

ły korytarz wypełnił się rozneglizowanymi ludźmi. Atmosfera była nieprzyjemna i złowieszcza. Jakiś zwalisty facet z cygarem podciągnął spodnie i powiedział: „Wyrzucmy stąd koleśia”. Musiałem się wycofać, uciec od tych ludzi. Schodząc szybko po schodach, słyszałem jeszcze pogardliwe komentarze właścicielki domu. Kiedy już znalazłem się na ulicy, zacząłem biec. Na rogu Broadway i Tempie zobaczyłem taksówkę. Wsiadłem do niej i powiedziałem kierowcy, żeby po prostu jechał przed siebie.

To nie była moja sprawa. Nie mogłem jednak zapomnieć o czarnych włosach Camilli, dzikim błysku w jej oczach i o skurczu żołądka, który czułem w pierwszych dniach naszej znajomości. Przez dwa dni trzymałem się z daleka od jej mieszkania, ale dłużej nie wytrzymałem - chciałem jej pomóc. Chciałem ją wyciągnąć z tej dusznej pułapki, wysłać na południe, nad morze. Mogłem to zrobić. Miałem dużo pieniędzy. Pomyślałem o Sammym, lecz on za bardzo jej nienawidził. Wyjazd za miasto mógł wyjść Camilli na zdrowie. Postanowiłem spróbować jeszcze raz.

Koło południa było gorąco, zbyt gorąco w hotelowym pokoju. To właśnie upał sprawił, że to zrobiłem - żar lejący się z nieba, pył unoszący się w powietrzu, gorące podmuchy od stromy pustyni Mojave. Poszedłem na tyły budynku przy Tempie Street. Były tam drewniane schody wiodące na piętro. Podejrzałem, że w tak upalnym dniu Camilla otworzyła drzwi swojego mieszkania na oścież, żeby zapewnić przewiew.

Miałem rację. Drzwi były otwarte, tylko że jej tam nie było. Na środku pokoju leżał stos kartonów i walizek, z których wystawały ubrania. Łóżko było rozłożone - gołe, pozbawione

pościeli. Mieszkanie wyglądało tak, jakby ulotniło się z niego życie. Nagle poczułem zapach środka dezynfekującego. Przeprowadzono odkażanie. Pognałem schodami na dół, przeskakując po trzy stopnie naraz, i zapukałem do drzwi właścicielki domu.

- To ty! - krzyknęła po otwarciu drzwi. - To ty! - powtórzyła, zatrzaskując je.

Nie poddawałem się.

- Jestem jej przyjacielem - powiedziałem, stojąc na zewnątrz. - Przysięgam na Boga. Chcę jej pomóc. Musi mi pani uwierzyć.

- Odejdź albo zadzwonię na policję.

- Wtedy źle się czuła - dodałem. - Potrzebowała pomocy. Chcę coś dla niej zrobić. Musi mi pani uwierzyć.

Otworzyła drzwi i popatrzyła mi prosto w oczy. Była średniego wzrostu i krępej postury. Twarz miała surową, pozbawioną emocji.

- Wejść - powiedziała.

Wszedłem do dziwnego pokoju, bogato ozdobionego, lecz ponurego, zagraconego różnymi bibelotami. Było tam pianino, na którym stały zdjęcia w masywnych oprawach, były chusty w krzykliwych kolorach, fantazyjne lampy i wazy. Zapropionowała, żebym usiadł, ale nie zrobiłem tego.

- Ta dziewczyna już tutaj nie mieszka - oznajmiła. - Oszałała, więc musiałam to zrobić.

- Gdzie jest? Co się stało?

- Musiałam to zrobić, choć była miłą dziewczyną.

Potem powiedziała, że była zmuszona wezwać policję. Wszystko wydarzyło się nazajutrz po mojej wizycie. Camilla

wpadła we wściekłość, tłukła naczynia i wyrzucała meble przez okno, wrzeszczała i kopała w ściany, cięła nożem zasłony. Właścicielka domu zadzwoniła na policję. Policjanci przyjechali, wyważyli drzwi i obezwładnili Camillę. Nie chcieli jednak zabrać jej ze sobą. Poczekali na przyjazd karetki. Camilla rzucała się i wyła, kiedy wyprowadzano ją z mieszkania. I jeszcze jedno: dziewczyna nie zapłaciła czynszu za trzy ostatnie miesiące i poczyniła nieodwracalne szkody. Właścicielka podała kwotę, a ja zapłaciłem. Potem wręczyła mi rachunek i uśmiechnęła się nieszczerze.

- Wiedziałam, że jesteś dobrym chłopcem - powiedziała.
 - Wiedziałam, odkąd cię ujrzałam. Ale w tym mieście nie można ufać nieznanym.

Pojechałem tramwajem do szpitala okręgowego. Kiedy zapytałem o Camillę Lopez, pielęgniarka siedząca w recepcji przejrzała karty przyjęć.

- Tak, jest tutaj - powiedziała. - Ale na razie nie można jej odwiedzać.

- Jak się czuje?

- Nie wolno mi udzielać takich informacji.

- Kiedy będę mógł się z nią zobaczyć?

Chorych można było odwiedzać w środy. Musiałem więc poczekać cztery dni. Wyszedłem z ogromnego budynku. Pospacerowałem trochę po terenie wokół szpitala i popatrzyłem w jego okna. Potem wróciłem tramwajem na Hill Street i Bunker Hill. Cztery dni czekania. Wypełniałem sobie czas grą na flipperach i automatach. Szczęście mi nie sprzyjało. Straciłem mnóstwo pieniędzy, ale udało mi się zabić mnóstwo czasu. We wtorkowe popołudnie wybrałem się do centrum,

żeby zrobić zakupy dla Camilli. Kupiłem przenośne radio, pudełko cukierków, szlafrok, różne kremy do twarzy i inne kosmetyki. Potem udałem się do kwiaciarni i kupiłem dwa tuziny kamelii. W środowe popołudnie przyszedłem do szpitala mocno obciążony. Kamelie zwiędły w ciągu nocy, bo zapomniałem je wstawić do wody. Pot łał mi się z czoła, kiedy wchodziłem po szpitalnych schodach. Wiedziałem, że mam mnóstwo piegów, niemal czułem, jak wyskakują mi z twarzy.

W recepcji siedziała ta sama pielęgniarka. Położyłem prezenty na krześle i zapytałem o Camillę Lopez. Pielęgniarka zajrzała do karty.

- Panny Lopez już tutaj nie ma - oznajmiła. - Została przeniesiona.

Było mi gorąco, padałem z nóg.

- Gdzie teraz jest? - zapytałem, a chwilę potem jęknąłem, kiedy siostra oświadczyła, że nie może mi powiedzieć. - Jestem jej przyjacielem - zapewniłem. - Chcę jej pomóc.

- Przykro mi - rzekła.

- Kto może mi powiedzieć?

Właśnie, kto? Biegałem po całym szpitalu, z jednego piętra na drugie. Rozmawiałem z lekarzami i ich asystentami, z pielęgniarkami i ich asystentkami, czekałem w holach i korytarzach, ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Wszyscy zaglądali do karty i mówili to samo: została przeniesiona. Ale żyła. W tej kwestii też byli zgodni. Pacjentka nie umarła, tylko trafiła do innej placówki. To było na nic. Kiedy wyszedłem głównym wejściem ze szpitala, oślepiło mnie słońce. Ruszyłem w kierunku linii tramwajowej. Wsiadając do tramwaju, przypomniałem sobie o prezentach. Zostały gdzieś w szpitalu,

nie pamiętałem nawet, w której poczekalni. Było mi wszystko jedno. Niepocieszony pojechałem na Bunker Hill.

Jeśli Camillę gdzieś przeniesiono, to z pewnością do innej placówki okręgowej lub stanowej, bo nie miała pieniędzy. Ja miałem pieniądze. Miałem trzy kieszenie wypchane pieniędzmi, a oprócz tego niemałą sumę w hotelu, w innych spodniach. Mogłem zebrać je wszystkie i zanieść ludziom ze szpitala, ale oni i tak nie powiedzieliby mi, co stało się z Camilla. Po co mi pieniądze? I tak bym je wydał. Te senne korytarze, ci tajemniczy lekarze o niskich głosach, te małowówne pielęgniarki - to wszystko razem przytłoczyło mnie. Kiedy wysiadłem z tramwaju, byłem otępiały. W połowie schodów wiodących na Bunker Hill usiadłem pod jakimiś drzwiami i popatrzyłem w dół na miasto pogrążone w oparach późnego popołudnia. Gorące powietrze unosiło się, oddychałem nim. Nad miastem wisiała biała zasłona podobna do mgły. Ale to nie była mgła, to był żar pustyni, potężne podmuchy od strony Mojave i Santa Ana, blade palce pustyni upominającej się o swoje porwane dziecko.

Nazajutrz udało mi się dowiedzieć, co zrobili z Camilla. Zadzwoiłem ze sklepu w centrum do Okręgowego Zakładu dla Obłąkanych w Del Marii. Zapytałem o nazwisko lekarza dyżurnego.

- Doktor Danielson.
- Proszę mnie połączyć z jego gabinetem.

Wkrótce usłyszałem inny kobiecy głos.

- Gabinet doktora Danielsona.
- Mówi doktor Jones - przedstawiłem się. - Chciałbym rozmawiać z doktorem Danielsonem. To pilne.

- Chwileczkę.

Potem męski głos.

- Danielson, słucham.

- Witam, doktorze - powiedziałem. - Tu doktor Jones, Edmond Jones z Los Angeles. Wysłaliśmy do was pacjentkę ze szpitala okręgowego, Camillę Lopez. W jakim jest teraz stanie?

- Trudno powiedzieć - odrzekł Danielson. - Na razie jest na obserwacji. Edmond Jones? Dobrze usłyszałem?

Rozłączyłem się. Teraz przynajmniej wiedziałem, gdzie ona jest. To była jednak dopiero połowa sukcesu, a na odwiedzenie Camilli nie miałem żadnych szans. Rozmawiałem z ludźmi, którzy znali obowiązujące tam procedury. Trzeba było być kimś z rodziny i na dodatek móc to udowodnić. Trzeba było złożyć podanie i czekać, aż je rozpatrzą. Nie wolno było pisać listów do pacjentów ani wysyłać im żadnych prezentów. Nie pojechałem do Del Marii. Wystarczała mi świadomość, że zrobiłem, co mogłem. Camilla postradała zmysły, ale to nie była moja sprawa. Poza tym kochała Sammy'ego.

Mijały dni, nadeszły deszcze zimowe. Pod koniec października dostałem próbny wydruk swojej książki. Kupiłem samochód, fordą z 1929 roku. Nie miał dachu, ale pędził jak wiatr, więc kiedy znów zrobiło się sucho, zacząłem jeździć na długie przejażdżki po wybrzeżu, na północ do Ventury, Santa Barbara i San Clemente, na południe do San Diego; mknąłem wzdłuż białej linii wymalowanej na szosie, pod rozgwieżdżonym niebem, ze stopami na desce rozdzielczej, z głową pełną pomysłów na następną książkę, gnałem tak noc w noc, a każda z tych nocy zapowiadała kolejny wymarzony dzień, jakiego nigdy jeszcze nie przeżyłem, kolejny

łogi dzień, któremu nic nie można było zarzucić. Krążyłem swoim foldem po mieście, odkrywałem tajemnicze uliczki, samotne drzewa, stare, gnijące domy pochodzące z odległej przeszłości. Całymi dniami i nocami nie rozstawałem się ze swoim autem, jeśli nie liczyć krótkich postojów w dziwnych przydrożnych barach, do których zaglądałem na chwilę, żeby kupić hamburgera i kawę. To było życie dla mężczyzny - ciągła wędrówka z krótkimi postojami, nieustanne przemierzanie dróg ciągnących się wzdłuż wybrzeża, relaks za kierownicą, palenie papierosów oraz idiotyczne poszukiwanie sensu na nieodgadnionym niebie pustyni.

Którejś nocy natrafiłem na miejsce w Santa Monica, gdzie kąpaliśmy się kiedyś z Camilla. Zatrzymałem się i popatrzyłem na spienione fale i tajemniczą mgłę. Przypomniałem sobie dziewczynę taplającą się w skłębionej wodzie, upojoną wolnością. Ach, ta Camilla!

W połowie listopada wybrałem się na Spring Street, żeby pobuszować trochę w antykwariatach. Columbia Buffet był kawałek dalej. A co mi tam, pomyślałem, zrobię to przez wzgląd na dawne czasy. Poszedłem do baru i zamówiłem piwo. Byłem weteranem tej knajpy. Rozejrzałem się z szyderym uśmiechem po sali, przypominając sobie, jakie to było kiedyś wspaniałe miejsce. Teraz już nikt mnie tam nie poznał. Ani nowa barmanka z ustami pełnymi gumy do żucia, ani te dwie kobiety, które wciąż grały *Opowieści Lasku Wiedeńskiego*, jedna na skrzypcach, druga na pianinie.

A jednak gruby barman mnie pamiętał. Steve, Vince, Vinnie, czy jak mu tam było.

- Dawno cię tu nie widziałem - rzekł.

- Odkąd odeszła Camilla - powiedziałem.

Cmoknął językiem.

- Szkoda dziewczyny. Lubiłem ją.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Wypiłem drugie piwo, potem trzecie. Po wypiciu czwartego zamówiłem od razu dwa - dla siebie i dla barmana. I tak upłynęła godzina. W pewnym momencie barman wyciągnął z kieszeni jakiś wycinek prasowy i położył na kontuarze. Podniosłem go.

- Pewnie już to widziałeś - powiedział.

To było najwyżej sześć linijek tekstu z dołu wewnętrznej strony gazety, poprzedzonych dwiema linijkami nagłówek.

Lokalna policja poszukuje	wieczoru zauważono jej
22-letniej Camilli Lopez	zniknięcie z zakładu w Del
z Los Angeles. Zeszłego	Maria.

Wycinek był sprzed tygodnia. Odstawiłem piwo, wybiegłem z baru i pognałem do hotelu. Coś mi mówiło, że Camilla do mnie zawita. Czuję jej pragnienie powrotu do mojego pokoju. Postawiłem krzesło przy oknie, usiadłem na nim i oparłem stopy o parapet, a potem czekałem przy zapalonym świetle, kurząc papierosy. Czuję, że Camilla przyjdzie. Przecież nie było innej osoby, do której mogłaby się zwrócić o pomoc. Ale nie przyszła. Położyłem się spać, lecz zostawiłem zapalone światło. Prawie przez cały następny dzień i wieczór nie ruszałem się z pokoju, czekając na stukot kamyków o szybę. Po trzech dniach moja pewność, że Camilla przyjdzie, zaczęła słabnąć. Nie, ona tu nie przyjdzie, ucieknie do Sammy'ego, do swojej prawdziwej miłości. Arturo

Bandini to ostatnia osoba, o której pomyśli. I bardzo dobrze. Wszak byłem teraz powieściopisarzem i autorem opowiadań, przynajmniej we własnym mniemaniu.

Następnego ranka dostałem pierwszy z jej telegramów wysłanych na koszt adresata. To była prośba o pieniądze. Miałem je przesłać do oddziału Western Union w San Francisco na nazwisko Rita Gomez. Chociaż Camilla podpisała telegram imieniem „Rita”, tożsamość nadawcy była oczywista. Wysłałem jej dwadzieścia dolarów i napisałem, żeby pojechała na południe do Santa Barbara - że tam się spotkamy. Przesłała odpowiedź: „Wolę jechać na północ, dzięki, wybacz, Rita”.

Następny telegram przyszedł z Fresno. Znowu prośba o pieniądze. Tym razem miały zostać przesłane Ricie Gomez za pośrednictwem Postal Telegraph. Otrzymałem ten telegram dwa dni po pierwszym. Poszedłem do centrum i wysłałem piętnaście dolarów. Zanim jednak to zrobiłem, siedziałem długo w punkcie telegraficznym, zastanawiając się, jaką wiadomość dołączyć do pieniędzy. Nie mogłem się na nic zdecydować, więc w końcu wysłałem same pieniądze. Niezależnie od tego, co bym napisał, i tak nie miałyby to żadnego znaczenia dla Camilli Lopez. Wracając do hotelu, przysięgałem sobie, że ta dziewczyna nie wyciągnie już ode mnie ani centa. Od tej pory musiałem się pilnować.

Trzecia prośba o pieniądze dotarła w niedzielę wieczorem, tym razem z Bakersfield. Wytrwałem w swoim postanowieniu dwie godziny. Potem wyobraziłem sobie Camillę snującą się bez pieniędzy w deszczu i wysłałem jej pięćdziesiąt dolarów z wiadomością, żeby kupiła sobie jakieś ciuchy i chowała się przed deszczem.

KIEDY TRZY DNI PÓŹNIEJ wróciłem z kolejnej przejażdżki, drzwi mojego pokoju były zamknięte od wewnątrz. Wiedziałem, co to oznacza. Zapukałem, ale Camilla nie zareagowała. Zawołałem jej imię i znowu nic. Poszedłem szybko korytarzem do tylnych drzwi, zszedłem schodami na dół, a potem wbiegłem po zboczu na górę. Chciałem przyłapać Camillę na gorącym uczynku. Okno było opuszczone, a zasłony zasunięte, lecz nie do końca, więc przez wąską szparę mogłem zajrzeć do środka. Na biurku paliła się lampka, oświetlając pokój. Wiedziałem całe pomieszczenie, ale nie widziałem Camilli. Drzwi szafy były zamknięte, więc domyśliłem się, gdzie jest. Położyłem ręce na szybie, pchnąłem ją cicho do góry i wślizgnąłem się do pokoju. Dywaniki zniknęły. Podeszedłem na palcach do szafy. Słyszałem, jak Camilla porusza się w środku, siedząc na podłodze. Poczujęm delikatny zapach marihuany, podobny do zapachu pieprzu kubeba.

Wyciągnąłem dłoń w stronę gałki w drzwiach i nagle przeszła mi ochota na przyłapanie Camilli na tym, co właśnie

robiła. Taki szok nie byłby dobry dla niej ani dla mnie. Przypomniałem sobie, co mi się przydarzyło w dzieciństwie. Siedziałem w takiej szafie jak ta i moja matka otworzyła zniehacka drzwi. Pamiętałem, jak mnie to przeraziło, więc teraz przeszedłem na palcach do krzesła przy biurku i usiadłem. Po pięciu minutach zapragnąłem jak najszybciej opuścić pokój. Nie chciałem, żeby Camilla wiedziała. Wymknąłem się oknem, zamknąłem je i wróciłem tylnym wejściem do hotelu. Potem trochę poczekałem. Kiedy uznałem, że jest już po wszystkim, podszedłem głośnym dziarskim krokiem do drzwi swojego pokoju i wparowałem do środka.

Leżała na łóżku, zasłaniając szczupłą dłonią oczy.

- Camillo! - zawołałem. - Przyjechałaś!

Wstała i spojrzała na mnie rozbieganymi czarnymi oczami, czarnymi, błędnymi i nieprzytomnymi. Napięta szyja uwydatniała powiększone węzły chłonne. Usta milczały, ale upiornie blada twarz, zęby, które teraz sprawiały wrażenie za dużych i zbyt białych, zalękniony uśmiech - wszystko to mówiło głośno o jej traumatycznych przeżyciach. Zaciśnąłem mocno zęby, żeby się nie rozpłakać. Kiedy zbliżałem się do łóżka, Camilla gwałtownie podkurczyła kolana, jakby bała się, że ją uderzę.

- Spokojnie - powiedziałem. - Wszystko będzie dobrze. Wyglądasz świetnie.

- Dzięki za pieniądze - odezwała się swoim charakterystycznym nosowym głosem.

Kupiła nowe ciuchy, tanie i krzykliwe: jasnożółtą sukienkę ze sztucznego jedwabiu z czarnym aksamitnym paskiem, niebiesko-żółte buty, skarpetki do kostek z czerwono-zielonymi

lamówkami. Paznokcie miała prosto od manikiurzystki, wypolerowane i pomalowane na krwistą czerwień, a wokół nadgarstków lśniły zielone i żółte koraliki. Wszystko to kontrastowało z trupią bledością jej twarzy i szyi. Zawsze najlepiej wyglądała w prostym białym fartuchu, który nosiła w pracy. Nie zadawałem żadnych pytań. Wszystko, co chciałem wiedzieć, było wypisane na jej udręczonym obliczu. Nie miałem wrażenia, że widzę osobę obłąkaną, ale raczej mocno przerażoną. Z dużych oczu, których czujność potęgował narkotyk, wyzierał ogromny strach.

Camilla nie mogła zostać w Los Angeles. Potrzebowała wypoczynku, miejsca, w którym mogłaby jeść i spać, pić mleko i chodzić na długie spacery. Wpadłem na pewien pomysł. Laguna Beach! Wydawało się, że to idealne miejsce dla niej. Była zima, więc moglibyśmy tanio wynająć dom. Opiekowałbym się nią i rozpoczął pracę nad nową książką. Miałem już na nią pomysł. Nie musielibyśmy brać ślubu, moglibyśmy żyć ze sobą jak brat z siostrą. Kąpalibyśmy się w morzu i spacerowali brzegiem półwyspu Balboa. W mgliste dni siedzielibyśmy przy kominku, a gdyby dał nadmorski wiatr, spalibyśmy pod grubymi kocami. Rozwijałem to, roztaczając przed Camilla piękną wizję. Nagle jej twarz się rozjaśniła, a z oczu popłynęły łzy.

- I jeszcze pies! - powiedziałem. - Kupię ci pieska, szczeniaka, małego teriera szkockiego. Nazwiemy go Willie.

Klasnęła w dłonie.

- Och, Willie! - zawołała. - Do nogi, Willie! Do nogi!

- Kupię ci też kota - powiedziałem. - Kota syjamskiego. Nazwiemy go Chang. To będzie duży kot o złotych oczach.

Camilla wzdrygnęła się i zakryła twarz rękami.

- Nie - zaprotestowała. - Nienawidzę kotów.
- Dobrze. Żadnych kotów. Ja też ich nienawidzę.

Camilla wyobrażała sobie to wszystko w radosnym uniesieniu i uzupełniała elementami, które podsuwała jej fantazja.

- Jeszcze konie - dorzuciła. - Kiedy zarobisz dużo pieniędzy, każde z nas będzie miało konia.

- Zarobię miliony - zapewniłem.

Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Camilla źle spała - budziła się nagle, pojękiwała i mamrotała przez sen. W pewnym momencie usiadła, włączyła światło i zapaliła papierosa. Leżałem z zamkniętymi oczami, próbując zasnąć. Wkrótce potem wstała, owinęła się moim szlafrokiem i wzięła z biurka swoją torebkę. To była biała ceratowa torebka wypchana po brzegi różnymi rzeczami. Słyszałem, jak Camilla wlecze się do toalety na korytarzu, szurając kapciami. Wróciła po dziesięciu minutach wyraźnie spokojniejsza. Sądząc, że śpię, pocałowała mnie w skroń. Poczułem zapach marihuany. Przez resztę nocy spała kamiennym snem, a na jej twarzy malował się spokój.

O ósmej rano wymknęliśmy się przez okno i zeszliśmy po zboczu do uliczki na tyłach hotelu, gdzie zostawiłem swojego forda. Camilla wyglądała tragicznie, była niewyspana i posępna. Pojechaliśmy przez miasto do Crenshaw, a stamtąd do bulwaru Long Beach. Camilla siedziała ze spuszczoną głową, a zimny poranny wiatr rozwiewał jej włosy. W Maywood zatrzymaliśmy się na śniadanie w przydrożnym barze. Zamówiłem dla siebie kiełbasę, jajka, sok owocowy i kawę. Camilla

chciała tylko czarną kawę. Po pierwszym łyku zapaliła papierosa. Miałem ochotę zajrzeć do jej torebki, bo wiedziałem, że jest tam marihuana, ale Camilla trzymała ją kurczowo. Potem wypiliśmy jeszcze po kawie i ruszyliśmy w dalszą drogę. Camilla poczuła się lepiej, ale wciąż była w ponurym nastroju.

Kilka mil za Long Beach zauważyłem psią farmę. Wjechaliśmy na jej teren i wysiedliśmy z auta. Rosły tam palmy i eukaliptusy. Po chwili ze wszystkich stron zbiegły się psy, szciekając wesoło. Od razu polubiły Camillę, wyczuły w niej przyjaciela. I po raz pierwszy tego ranka Camilla się uśmiechnęła. To były owczarki szkockie, wilczury i teriery. Upadła na kolana i wyciągnęła ręce, a psy obskoczyły ją, skomląc radośnie i liżąc długimi różowymi językami. Objęła jakiegoś teriera, a potem kołysała go w ramionach jak niemowlę, mrużąc czule. Jej twarz znów jaśniała, to była twarz dawnej Camilli.

Właściciel psiarni - starszy człowiek z krótką siwą bródką - zszedł z tylnej werandy i ruszył w naszą stronę. Kuśtykał, podpierając się laską. Psy nieszczerze się mną interesowały. Podeszły, obwąchały moje buty i nogi, po czym odwróciły się wyraźnie rozczarowane. To nie było tak, że mnie nie lubiły, po prostu wołały Camillę z jej czułością i znajomością psiej mowy. Powiedziałem staruszkowi, że chcemy kupić szczeniaka, a on zapytał o rasę. Decyzja należała do Camilli, która jednak nie mogła się zdecydować. Obejrzelśmy różne szczeniaki. Wszystkie były niezwykle delikatne, takie małe futrzane kuleczki zniewalające swoim urokiem. W końcu znaleźliśmy pieska, którego Camilla chciała mieć - owczarka szkockiego o białej sierści. Miał dopiero sześć tygodni i był tak gruby, że ledwie mógł chodzić. Camilla postawiła go na ziemi. Prze-

szedł chwiejnym krokiem między jej nogami, potem jeszcze kawałek, a następnie usiadł i zasnął. I właśnie tego szczeniaka Camilla pragnęła najbardziej.

Ciężko przełknąłem ślinę, kiedy staruszek wymienił kwotę. Dwadzieścia pięć dolarów. Wzięliśmy pieska wraz z papierami i poszliśmy do auta. Odprowadziła nas jego matka, też cała biała, czekając, jakby chciała nam powiedzieć, żebyśmy go dobrze traktowali. Kiedy odjeżdżaliśmy, spojrzałem przez ramię. Na podjeździe siedziała matka szczeniaka. Miała zadarte uszy i przechylony łeb. Patrzyła za nami, aż skręciliśmy w główną drogę.

- Willie - oznajmiłem. - Wabi się Willie.

Piesek leżał na jej kolanach, cicho pomrukując.

- Nie - powiedziała Camilla. - Będzie miał na imię Śnieżka.

- Przecież to nie jest suczka.

- Nie szkodzi.

Zatrzymałem auto na poboczu.

- Właśnie, że szkodzi - powiedziałem. - Albo dasz mu inne imię, albo wraca na farmę.

- No dobrze - rzekła pojednawczo. - Niech będzie Willie.

Od razu się lepiej poczułem. Nie pokłóciliśmy się, a to oznaczało, że Willie miał pozytywny wpływ na Camillę. Była teraz potulna i rozsądniejsza. Spokój zagościł na jej twarzy. Willie spał, ale jednocześnie ssał jej mały palec. Na południe od Long Beach zatrzymaliśmy się przed sklepem, kupiliśmy butelkę ze smoczkiem i butelkę mleka. Wille otworzył ślepią, kiedy Camilla przyłożyła mu smoczek do pyszczka, a potem przyssał się do butelki jak pijawka, pijąc łąpczywie. Camilla

podniosła ręce, przeczesła palcami włosy i ziewnęła rozkosznie. Była bardzo szczęśliwa.

Zmierzałyśmy cały czas na południe, wzdłuż pięknej białej linii. Jechałem wolno. Dzień był przyjemny - niebo w kolorze morza, morze w kolorze nieba. Po lewej stronie złote wzgórza, złoto zimy. Oboje milczeliśmy, podziwiając samotne drzewa, piaskowe wydmy, stopy białych kamieni przy drodze. To była kraina Camilli - morze i pustynia, piękna ziemia i przepastne niebo, a daleko na północy majaczący jeszcze księżyc.

Dotarliśmy do Laguny przed południem. Dwie godziny biegałem po agencjach nieruchomości i oglądałem różne domy, zanim znalazłem taki, który mi odpowiadał. Camilli było wszystko jedno. Teraz liczył się dla niej tylko Willie. Mogła mieszkać wszędzie, byle z nim. Dom, który mi przypadł do gustu, miał dwuspadowy dach, był otoczony białym płotem i znajdował się niespełna pięćdziesiąt jardów od morza. Tylny ogród przypominał piaskownicę wypełnioną białym piaskiem. Dom był dobrze umeblowany dominowały w nim pastelowe kolory, w oknach wisiały jasne zasłony. Najbardziej podobał mi się pokój na górze. Wychodził na morze. Mógłbym postawić przy oknie maszynę do pisania i pracować. Tak, to było doskonałe miejsce do pracy. Wpatrywałbym się w dal i czerpał z niej natchnienie. Wystarczyło, że zajrzałem do tego pomieszczenia, a już ogarniał mnie twórczy niepokój, już widziałem zdania maszerujące po kartce papieru.

Kiedy zszedłem na dół, okazało się, że Camilla zabrała Willie'ego na spacer brzegiem morza. Stojąc przy tylnych drzwiach, widziałem ich ćwierć mili od siebie. Camilla schy-

łała się, klaskała w dłonie, podbiegała, a Willie próbował nieporadnie dotrzymać jej kroku. Ale Willie'ego właściwie nie widziałem, bo był malutki, a poza tym wtapiał się idealnie w tło białego piasku. Wróciłem do środka. Na kuchennym stole leżała torebka Camilli. Otworzyłem ją i wysypałem całą zawartość na stół. Z torebki wypadły między innymi dwie puszkiki po tytoniu Prince Albert wypełnione marihuaną. Opróżniłem puszkiki nad sedesem, a kiedy już były puste, wyrzuciłem do pojemnika na śmieci.

Potem wyszedłem na werandę, usiadłem na schodkach w ciepłym słońcu i patrzyłem, jak Camilla i pies wracają do domu. Było około drugiej. Musiałem pojechać do Los Angeles, żeby spakować swoje rzeczy i wymeldować się z hotelu. Potrzebowałem na to pięciu godzin. Dałem Camilli pieniądze, żeby zrobiła zakupy. Kiedy wsiadałem do auta, leżała na plecach, z twarzą do słońca. Na jej brzuchu spał Willie zwinęty w kłębek. Pożegnałem się, puściłem sprzęgło i wyjechałem na nadmorską autostradę.

W drodze powrotnej, wioząc maszynę do pisania, książki i walizki, złapałem gumę. Wkrótce zrobiło się ciemno. Była prawie dziewiąta, kiedy wreszcie zajechałem pod dom na plaży. Nie paliły się żadne światła. Otworzyłem kluczem frontowe drzwi i zawołałem Camillę. Odpowiedziała cisza. Zapaliłem światła w całym domu i przeszukałem wszystkie pokoje, wszystkie szafy. Nie było jej. Willie'ego też. Wyjąłem bagaże z samochodu i zaniósłem do domu. Pomyślałem, że może Camilla znów poszła z psem na spacer. Ale tylko się łudziłem. Nie było jej. O północy zacząłem wątpić w jej powrót,

a godzinę później miałem już całkowitą pewność, że nie wróci. Szukałem jakiegoś listu, wiadomości, ale nie pozostał po niej najmniejszy ślad, jakby nigdy jej tam nie było.

Postanowiłem zostać. Czynsz był zapłacony za cały miesiąc, a poza tym chciałem wypróbować pokój na górze. Przenocowałem tam, ale już nazajutrz rano zacząłem nienawidzić tego domu. Kiedy była w nim Camilla, był wyśnionym domem, bez niej niczym więcej niż domem. Wrzuciłem bagaże na tylne siedzenie auta i pojechałem do Los Angeles. Kiedy wróciłem do hotelu, okazało się, że ktoś już wynajął mój pokój. Wszystko szło w złym kierunku. Wziąłem pokój na parterze, ale nie podobał mi się. Wszystko się waliło. Nowy pokój był taki obcy, taki zimny. Nie miałem żadnych wspomnień z nim związanych. Znajdował się dwadzieścia stóp nad ziemią. Koniec z wychodzeniem przez okno. Żaden kamyk już w szybę nie zastuka. Postawiłem maszynę do pisania w jednym miejscu, potem w innym. Nigdzie nie pasowała. Coś było nie tak, wszystko było nie tak.

Poszedłem na spacer. Mój Boże, znowu wędrowałem po tym mieście. Patrzyłem w twarze otaczających mnie ludzi, wiedząc, że moja wygląda tak samo. To były twarze, z których odpłynęła krew, twarze spięte, zmartwione i zagubione. To były twarze podobne do kwiatów, które wyrwano z ziemi i wstawiono do pięknego wazonu, gdzie szybko więdły. Musiałem uciec z tego miasta.

19

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ ukazała się moja książka. Przez chwilę było nawet fajnie. Mogłem wejść do księgarni i zobaczyć ją pośród tysiąca innych - swoją książkę, swoje nazwisko, sens swojego życia. Ale to nie była taka satysfakcja jak ta, którą odczuwałem, kiedy zobaczyłem *Śmiech małego pieska* w magazynie Hackmutha.

Tamto już dawno minęło. Camilla się nie odzywała, nie dostałem od niej żadnego telegramu. Zostawiłem jej wtedy piętnaście dolarów. Wiedziałem, że te pieniądze wystarczą jej najwyżej na dziesięć dni. Sądziłem, że skontaktuje się ze mną, gdy zostanie bez środków do życia. Camilla i Willie - co się z nimi stało?

Przyszła kartka od Sammy'ego. Znalazłem ją w mojej przegródce na listy, kiedy wróciłem tamtego popołudnia do hotelu. Jej treść była następująca:

Drogi Bandini,

Jest tutaj ta Meksykanka, a ja - jak wiesz - nie przepadam za towarzystwem kobiet. Jeśli jest Twoją dziewczyną, zabierz ją stąd, bo nie chcę, żeby mi się tu pałętała.

Sammy

Kartka była sprzed dwóch dni. Rzuciłem egzemplarz swojej książki na przedni fotel auta, zatankowałem do pełna, a potem pojechałem do samotni Sammy'ego na pustyni Mojave.

Dotarłem tam po północy. W oknie chaty paliło się światło. Kiedy zapukałem, Sammy otworzył drzwi. Bez słowa rozejrzałem się po chacie. Sammy usiadł z powrotem na krześle przy lampie naftowej. Wziął jakiś szmatławy magazyn z opowiadkami kowbojskimi i wrócił do lektury. Cały czas milczał. Camilli ani śladu.

- Gdzie ona jest? - zapytałem.
- Nie mam pojęcia. Poszła sobie.
- Wyrzuciłeś ją?
- Nie potrzebowałem jej tutaj. Jestem chorym człowiekiem.
- Dokąd poszła?

Pokazał kciukiem na południowy wschód.

- Gdzieś tam.
- Na pustynię?

Kiwnął głową.

- Ze szczeniakiem, małym psem, cholernie uroczym.
- Kiedy to było?
- W niedzielę wieczorem.
- W niedzielę! - wykrzyknąłem. - Jezu Chryste! Trzy dni temu! Zabrała ze sobą coś do jedzenia i picia?

- Mleko - odparł. - Wzięła butelkę mleka dla psa.

Wyszedłem z chaty i popatrzyłem na południowy wschód. Było bardzo zimno, księżyc znajdował się wysoko na niebie, gęste skupiska gwiazd migotały na sklepieniu niebieskim. Na zachodzie, południu i wschodzie rozpościerało się pust-

kowie z krzakami, ponurymi drzewami Jozuego i niskimi pagórkami. Pobieglem z powrotem do chaty.

- Chodź, pokażesz mi, w którą stronę poszła - powiedziałem.

Sammy oderwał wzrok od swojego magazynu i pokazał na południowy wschód.

- W tamtą - rzekł.

Wyrwałem mu z ręki magazyn, złapałem go za kark i wywlokłem z chaty. Był chudy, lekki i ledwie trzymał się na nogach.

- Pokażesz mi - powiedziałem.

Przeszliśmy kawałek do miejsca, z którego więcej było widać. Sammy mamrotał, że jest chory i że nie mam prawa tak nim pomiatać. Obciągnął koszulę i poprawił pasek u spodni.

- Pokaż, gdzie była, kiedy widziałeś ją po raz ostatni - poleciłem.

Pokazał.

- Zniknęła za tą granią.

Zostawiłem Sammy'ego i ruszyłem w kierunku szczytu grani, oddalonego o jakieś ćwierć mili. Było tak zimno, że opatuliłem szyję kołnierzem płaszcza. Szedłem po grubym, ciemnym, zbitym piachu i małych kamyczkach - po dnie prehistorycznego morza. Za granią były inne podobne granie, setki górskich grzbietów sięgających aż po horyzont. Nie widziałem żadnych śladów stóp, jakby nikt nigdy tamtędy nie przechodził. Z trudem posuwałem się naprzód. Grząski grunt zapadał się pod moimi stopami i zasypywał je szarymi grudkami piasku.

Po przebyciu około dwóch mil usiadłem na białym okrągłym kamieniu. Pociłem się, mimo że było bardzo zimno.

Księżyc zniżał się na północy. Musiało już być po trzeciej. Do tej pory szedłem niespiesznym, ale równym tempem. Wzgórza i pagórki ciągnęły się jednak w nieskończoność i tylko dzięki porastającym je kaktusom, szaławii i różnym brzydkim roślinom, których nie znałem, odcinały się od ciemnego horyzontu.

Przypomniałem sobie mapy tego obszaru. Aż do drugiego krańca pustyni nie było żadnych dróg, miasteczek ani ludzkich osad - jedynie sto mil pustkowiec. Wstałem i ruszyłem w dalszą wędrówkę. Byłem zdrętwiały z zimna, ale wciąż lał się ze mnie pot. Szarawe niebo na wschodzie najpierw się zaróżowiło, a potem zalała je czerwień. Wkrótce zza poczerniałych wzgórz wyłoniła się ogromna ognista kula. Pusta przestrzeń wokół mnie tchnęła skrajną obojętnością, bezdusnością odchodzącej nocy i rodzącego się dnia, a jednak dyskretność tych wzgórz i ciche, kojące piękno umniejszały wagę śmierci. Mogłeś umrzeć, ale pustynia - odwieczny wiatr, żar i chłód - nikomu by tego nie wyjawiała, przykryłaby pamięć o tobie grubą warstwą piasku.

To było na nic. Gdzie miałem jej szukać? Po co miałem jej szukać? Co mogłem jej ofiarować poza powrotem do brutalnego świata, który złamał jej ducha? Wracalem o świcie, nieestety o świcie. Teraz należała do wzgórz. Niech te wzgórze ją ukryją! Niech otoczy ją samotność dyskretnych wzgórz. Niech ta dziewczyna żyje z kamieniami i niebem, z wiatrem rozwiewającym jej włosy aż po kres. Niech podąży tą drogą.

Słońce było wysoko, kiedy dotarłem do chaty. Zrobiło się już gorąco. Sammy stał w drzwiach.

- Znalazłeś ją? - spytał.

Nie odpowiedziałem. Byłem zmęczony. Popatrzył na mnie przez chwilę, a potem zniknął w środku. Słyszałem, jak zamyka drzwi na zasuwę. W oddali nad pustynią Mojave drgało rozgrzane powietrze. Poszedłem ścieżką do swojego forda. Na fotelu leżał egzemplarz mojej książki, mojej pierwszej książki. Sięgnąłem po ołówek, otworzyłem książkę na stronie tytułowej i napisałem:

Ukochanej Camilli
Arturo

Zniosłem książkę sto jardów na południowy wschód i rzucałem ją z całej siły w kierunku, w którym poszła Camilla. Potem wróciłem do samochodu, uruchomiłem silnik i pojechałem do Los Angeles.